WILHELM SZEWCZYK

OBSKURANTYZM I NIETOLERANCJA W KULTURZE*

1

WSPÓŁCZESNA ofensywa obskurantyzmu i nietolerancji na pozycje kulturalne nie jest zjawiskiem nowym. Sięga ona po środki dobrze nam znane przeszłości, ale i wykorzystuje doskonałość pewnych nowych zjawisk w naszym życiu kulturalnym, ich eksperymentalny często charakter, lub ich niesłuszny kierunek rozwojowy. Kultura nasza idzie ku socjalizmowi, tak jak całe nasze życie zmienia się w tym znaczeniu. Dlatego nie trudno stwierdzić, że wszelkie przejawy obskurantyzmu i nietolerancji mają charakter antysocjalistyczny.

Zanim jednak przejdę do cząstkowej — ze względu na rozmiary niniejszego szkicu — analizy różnorodnych form obskurantyzmu, do przykładów jego ingerencji w nasze życie kulturalne, trzeba powiedzieć na samym początku, dla uniknięcia nieporozumień, że ani przejawy chwilowego zamętu ideowego, ani istniejące wciąż jeszcze dysproporcje między twórcą a konsumentem, ani sporadyczne wypadki dekadenckiego ujmowania zjawisk, będące zresztą raczej niefortunnymi formami poszukiwań niż aktem zdecydowanej wrogości, ani owe niezwykłe i gigantyczne rozmiarami rendez-vous, które na terenie polskiego życia kulturalnego wyznaczyły sobie prądy umysłowe Wschodu i Zachodu — rzecz zrozumiała po latach, które nie były wolne od schematycznych nacisków czy nawet przymusów — ani pomyłki czy potknięcia, ani indywidualne zdrady, istniejące obok naszej heroicznej codzienności, nie są w stanie zmienić kierunku naszego marszu ku socjalizmowi. Kultura polska ma tak piękne i bogate postępowe tradycje, że nawet chwilowe niepowodzenia wielkich twórców pozwalają jej na pełne dozbrojenie. Realizujemy tęsknoty i marzenia wszystkich postępowych twórców polskich dziejów, czyniąc to po raz pierwszy chyba w pełnej jedności z klasą robotniczą, szukając kontaktu z nią, komunikując się z nią przy pomocy poszczególnych dzieł.

Cenne jest wszystko to, co bezpośrednio wspiera nasz marsz do socjalizmu. Dobre jest wszystko to, co sprawia, że stan umysłowy naszego społeczeństwa podnosi się, że bogaci się jego świadomość kulturalna, że poszerza się krąg naszych wspólnych intelektualnych doznań. Pożyteczne jest wszystko to, co wzbogaca nasze funkcje poznawcze o nowe doświadczenia, choćby bezpośrednio nieprzydatne w naszej walce o nowy kształt życia, pośrednio jednak pouczające i znamienne. Dlatego przede wszystkim popierać będziemy sztukę i kulturę zdecydowaną w swej treści ideowej, w swej politycznej wymowie. Nie należy owej „politycznej wymowy" mylić z doraźnymi funkcjami agitacyjnymi. Polityczna wymowa naszej kultury i sztuki to szukanie uzasadnienia dla jej jedyności, to wiązanie jej emocjonalnych i poznawczych elementów z naszym ogólnym socjalistycznym rozwojem. Dlatego — dalej — pochwalać będziemy import i własną hodowlę takich zjawisk kulturalnych, które wyprowadzą nas z odwiecznego zaścianka, z zacofania intelektualnego, na które w każdym niemal pokoleniu narzekali politycy i filozofowie, pisarze i ekonomiści. To nasze stanowisko wiąże się już z problemem tolerancji, którą przeciwstawiamy obskurantyzmowi, aczkolwiek jego ona obejmować nie może.

Dlatego wreszcie poznawać pragniemy cudze doświadczenia, śledzić cudzy rozwój, przyglądać się nawet obcym nam ideowo konstrukcjom kulturowym, jeśli czegoś mogą nas one nauczyć, przynajmniej tego, jak uniknąć błędów.

(Dokończenie na str 3)

* Fragmenty prelekcji zagajającej wojewódzką naradę inteligencji.

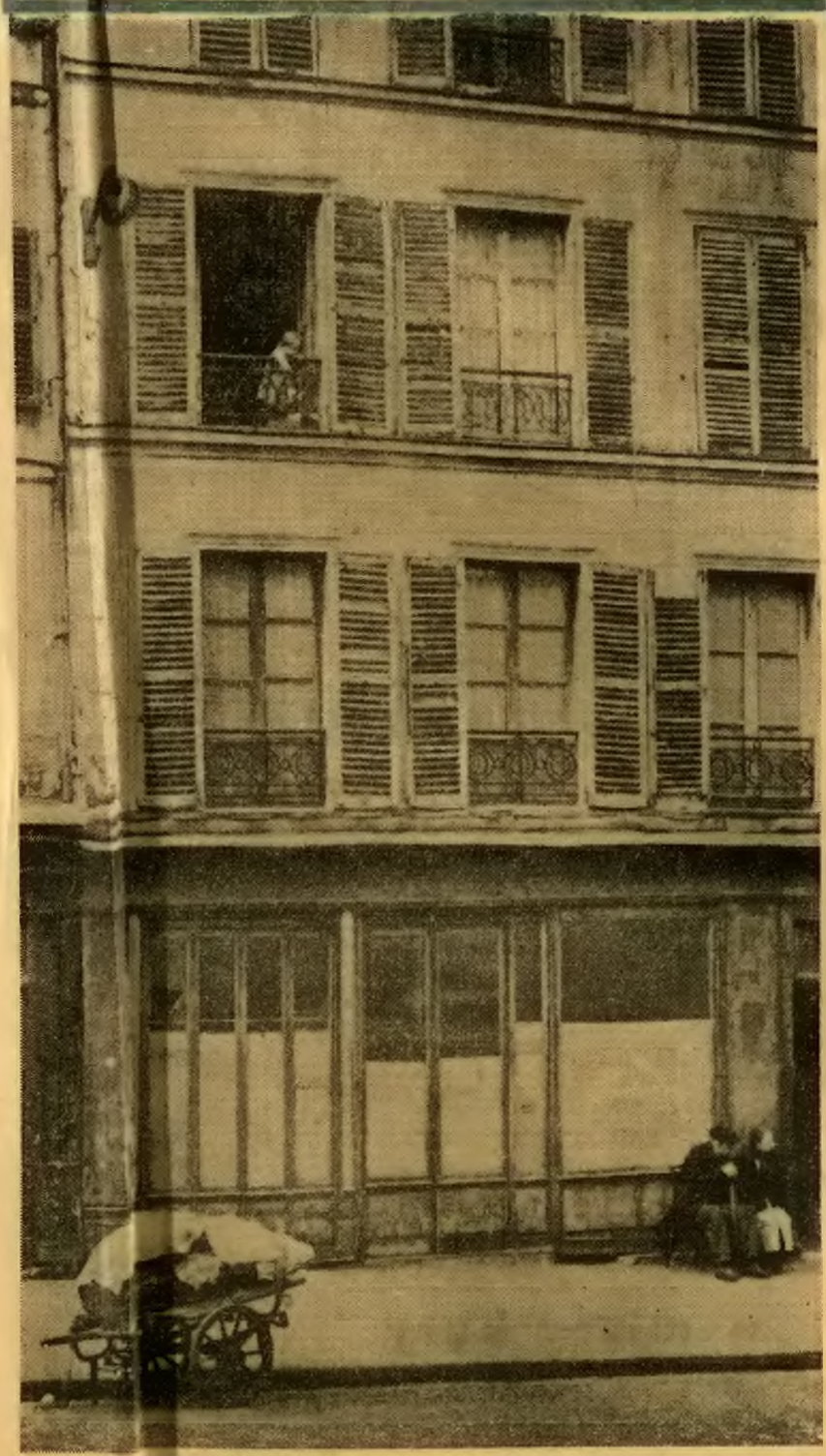

Typowy stary dom przy nadsekwańskiej uliczce na Wyspie św. Ludwika.

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

TRYBUNA ROBOTNICZA

12 stron
CENA 1 zł

Nr 235 (4581)
4-5 X. 1958 r.

NAKŁAD 383467 egz.

MAGAZYN NIEDZIELNY

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

W NUMERZE:

str. 4
„Chuchrak" — reportaż o rekordziście świata i 7-krotnym rekordziście Polski.

Strona 5 jest ciekawa

str. 7
Wspomnienie pióra Zdzisława Hierowskiego o niedawno zmarłym znakomitym uczonym prof. Nitschu.

Stanisław Broszkiewicz pisze o tym jak został ekscelencją.

str. 9
Reportaż z Chin Ireny Krzeczewskiej „Popraw ki do Kischa"

str. 6
Gustaw Morcinek pisze o swojej podróży po Jugosławii

O lichwiarzach

str. 10
Moda jesienna

str. 12
Sputniczek

PIERWSI POLACY NA ZIEMI KOLUMBA

PIERWSI Polacy przyjechali do Ameryki Północnej równo 350 lat temu. Z tej właśnie okazji kilkumilionowa Polonia amerykańska święci w tym roku 350 rocznicę powstania polskiego osadnictwa. W związku z tym warto chyba odgrzebać i przypomnieć niektóre fakty i wydarzenia z tej trzy i pół wiecznej historii. Faktów tych jest stosunkowo niewiele — powszechnie wiadomo o zasługach Kościuszki i Pułaskiego w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, rzadziej już znane są dokonania Krzyżanowskiego, czy Albina Scheopfa, prawie nic natomiast społeczeństwo nasze nie wie o tych Polakach, którzy na początku XVII wieku razem z Anglikami budowali w Ameryce Północnej pierwsze osady.

Poczynione ostatnio przez historyków i organizacje emigracyjne badania przyczyniły się do odgrzebania nowych faktów z przeszłości osadnictwa polskiego w Ameryce.

Przy okazji godzi się rzec, że badania prowadzą w zasadzie dwie organizacje polonijne: Kongres Polonii Amerykańskiej i Związek Sokolstwa Polskiego. Obie te organizacje mogłyby dawno już wiele w tej sprawie zrobić — były jednak tak bardzo zajęte antypolską i antykomunistyczną propagandą, że na prace historyczne czasu i środków finansowych nie stało. W międzyczasie wiele cennych dokumentów historycznych i innych materiałów uległo zniszczeniu lub zaginęło.

(Dokończenie na str. 8)

„Fort Pulaski" jest jednym z historycznych pomników Ameryki. Miejsce to co roku odwiedzają tysiące turystów — większość z nich to Polacy.

Paryż od A do Z

WITOLD ZECHENTER

A APERITIF, infusion, likier, piwo, a przede wszystkim wino pije się tu od rana do wieczora, a mimo to nie widuje się tu awantur i burd ulicznych ani nie słyszy się „wiantszków" tak pięknie dobranych słówek", jak u nas po kolejce „czystej". Niekiedy tylko w upalne południe na rozgrzanym chodniku ktoś utnie sobie „szlumerka" pod strażą niedopitej flaszki wina.

A A DI... A DI... (fonetyczne „On dit... on dit...") — to znaczy: mówi się, że... Nie, nic się nie mówi — w Paryżu bowiem nikogo nie obchodzi, kto z kim poszedł do kina, do kawiarni czy gdziekolwiek indziej. Szczęśliwe miasto! Plotki (p o t i n s) istnieją tylko na wielkich szyldach magazynów żywnościowych „Felix Potin".

B BRAMY zamyka się w Paryżu o 11 lub nawet wcześniej, ale nikt nie uprawia biegów krótkodystansowych, by zdążyć przed „szperą". Może dlatego, że „szpery" się nie płaci, bo za naciśnięciem dzwonka bramę otwiera ze swego mieszkania „konsjerżka", mająca przy łóżku odpowiedni aparat.

C CASINO DE PARIS — największy i najelegantszy music-hall paryski szczycący się tradycjami Mistinguette, Chevaliera, Josephine Backer, Saint-Graniera. Tak jak w konkurencyjnych F o l i e s B e r g è r e olśniewa tu przepych wystawy, pomysły inscenizacyjne i tabuny ładnych artystek w nagiej krasie wdzięków.

Ć ĆMY NOCNE czyli „poznane nogi" są, zwłaszcza na Montmartrze i w dzielnicy między „worcem św. Łazarza, a Operą. Są jednak raczej dyskretne i nie natarczywe.

D DO PRANIA oddaje się bieliznę — jak u nas — do prania. Taka jedynie różnica, że można ją odebrać nazajutrz, za specjalną dopłatą już za sześć godzin, a w pralniach „express" za... godzinę.

E ELEKTRYCZNOŚĆ pali się bez oszczędzania, nie wiedzą tu, co to jest „godzina szczytu". Reklamy świetlne często w ogóle nie są wygaszane nawet podczas dnia.

Ę Ę. DE TRUA (fonetyczne: un, deux, trois) czyli: jeden, dwa, trzy — tak statystycy obliczali niedawno na Wielkich Bulwarach i w alei Pól Elizejskich przejeżdżające auta i naliczyli że w jednej minucie w godzinach południowych przejeżdża przez bulwary 57, a przez Champs-Elysées 69 pojazdów mechanicznych. Traktory i motocykle, jako hałaśliwe, są w Paryżu w ogóle nie znane.

F FRANKI są we Francji — jak wiadomo — francuskie w przeciwieństwie do belgijskich czy szwajcarskich i odznaczają się ustawiczną tendencją dewaluacyjną, stąd ceny wyrażają się tu w setkach i tysiącach.

G GABINET FIGUR WOSKOWYCH, słynne muzeum Grévin przy Wielkich Bulwarach, ukazuje historię Francji i świata w woskowych lalkach. Wszystkie epoki i ustroje zgodnie podają sobie tu ręce.

(Dokończenie na str. 8)

Wiadomości polityczne na str. 2

Popovic w ONZ:
Taiwan częścią terytorium ChRL.

Na Cyprze wre —
— Antybrytyjskie demonstracje w Atenach

Rok temu sputnik przekroczył próg kosmosu

Wielki strajk w USA

Liban odrzuci pomoc w ramach „doktryny Eisenhowera"

Pomnik Karola Miarki zostanie odsłonięty w Zabrzu

W niedzielę, 5 bm. o godz. 11 odsłonięty zostanie w Zabrzu pomnik Karola Miarki — wielkiego bojownika o polskość Śląska.

Pomnik wysokości 160 cm, wykonany z brązu przez prof. Konarzewskiego z Istebnej stanął na granitowym cokole u zbiegu ulic Powstańców i K. Miarki obok gmachu Prezydium MRN.

Z inicjatywą budowy pomnika K. Miarki w Zabrzu wystąpił w ubiegłym roku Związek Nauczycielstwa Polskiego. Fundatorem pomnika jest społeczeństwo Zabrza, a przewodniczącym Komitetu Budowy — przewodniczący Prezydium MRN w Zabrzu tow. Knapik.

W Urzędzie Rady Ministrów

Narada w sprawie stabilizacji cen towarów konsumpcyjnych

W dniu 3 bm. pod przewodnictwem prezesa Rady Ministrów **J. Cyrankiewicza**, z udziałem wicepremiera, **Z. Nowaka**, ministra finansów **T. Dietricha**, prezesa NIK **K. Dąbrowskiego**, wiceprzewodniczącego Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów — **Bobrowskiego** oraz przedstawicieli zainteresowanych resortów odbyła się narada przewodniczących prezydiów wojewódzkich rad narodowych, kierowników wojewódzkich wydziałów handlu, przewodniczących wojewódzkich komisji cen oraz sekretarzy ekonomicznych komitetów wojewódzkich PZPR. Narada poświęcona była omówieniu sytuacji w dziedzinie cen towarów konsumpcyjnych i ustaleniu najskuteczniejszych środków gwarantujących pełną realizację uchwał XI Plenum KC PZPR, w myśl których zasadą polityki partii i rządu jest stabilizacja cen.

Podstawą do wyczerpującej dyskusji był referat przewodniczącego Państwowej Komisji Cen — Strumińskiego, który omówił politykę cen oraz naświetlił szereg związanych z tym zjawisk. M. in. stwierdził on, że obok podwyżek akceptowanych przez rząd koniecznych, nielicznych zresztą i skompensowanych wprowadzonymi obniżkami cen na inne towary konsumpcyjne, (jak np. w odniesieniu do nawozów sztucznych, materiałów budowlanych, których ceny były zaniżone i nierentowne; niektórych artykułów sezonowych, jak jaja i warzywa, niektórych artykułów importowanych będących przedmiotem spekulacji i innych nielicznych zmian cen) — daje się zaobserwować niejednokrotnie w terenie szkodliwą, niezgodną z intencjami rządu tendencję do podwyższania cen na pewne towary, zwłaszcza produkowane przez przemysł drobny i spółdzielczość. Niestety, często obserwuje się takie praktyki, jak wycofywanie tańszych asortymentów i wprowadzanie do sprzedaży droższych, nie różniących się w zasadzie jakością. Częstokroć zdarzają się pewne nadużycia w zakresie cen bądź to przez ustalanie przez terenowe komisje cen zbyt wysokich cen towarów w stosunku do kosztów wytwórczych, bądź przez pobieranie przez placówki handlu cen wyższych od ustalonych. Podobne praktyki obserwuje się również w dziedzinie usług. Jawne nadużycia zdarzają się również w przemyśle gastronomicznym, gdzie przez niezgodne z przepisami zestawianie potraw, fałszowanie receptury itp. pobiera się od konsumenta ceny wyższe, odbijające się ujemnie na jego stopie życiowej.

Te wszystkie objawy uznano za politycznie i gospodarczo szkodliwe, stwierdzono również, że tendencje te zostały zahamowane w 1958 r. przy pomocy szeregu środków.

Uczestnicy narady w obszernej dyskusji przeprowadzili analizę swej działalności i postanowili wzmóc walkę o stabilizację cen towarów konsumpcyjnych przez: systematyczną analizę produkcji na swym terenie, wnikliwą analizę cen w oparciu o koszty produkcji i weryfikację tych cen w kierunku obniżki, prowadzenie systematycznej kontroli pobieranych cen w handlu, kontrolę gospodarki finansowej w spółdzielczości i przemyśle drobnym, systematyczną walkę o wzrost produkcji towarowej, o odpowiedni jej asortyment i dobrą jakość.

Ponadto prezydia wojewódzkich rad narodowych zobowiązane zostały do niesienia bieżącej pomocy wojewódzkim komisjom cen i do periodycznej analizy pracy tych komisji. Postanowiono również wzmocnić obsadę personalną komisji.

Państwowa Komisja Cen organizować będzie systematyczne narady dla odpowiednich komórek terenowych, wzmocni instruktaż i kontrolę nad tymi organami.

Popovic:

Taiwan i wyspy przybrzeżne - częścią terytorium ChRL

Jugosłowiański minister spraw zagranicznych **Koca Popovic** omawiając podczas generalnej debaty Zgromadzenia Ogólnego NZ sytuację na Dalekim Wschodzie oświadczył m. in., że **żadna obiektywna analiza nie może obalić zasadniczego faktu iż Taiwan i wyspy leżące w Cieśninie Taiwańskiej stanowią część terytorium Chin Ludowych.**

W sprawie Bliskiego Wschodu Popovic oświadczył, że ewakuacja obcych sił zbrojnych w Libanie i Jordanii powinna być przeprowadzona możliwie jak najszybciej i wypowiedział się przeciwko „wszelkim nowym warunkom" jakie mogłyby wysunąć w związku ze sprawą ewakuacji Stany Zjednoczone i Wielka Brytania.

LIBAN przeciw „doktrynie Eisenhowera"

Według doniesień, jakie nadeszły z Bejrutu, w piątek doszło do nowych incydentów w stolicy Libanu.

Opozycyjne oddziały falangistów urządziły demonstrację a następnie przystąpiły do wznoszenia barykad. Celem przywrócenia porządku w mieście interweniowały oddziały wojsk rządowych, które użyły kilkakrotnie broni.

Oddziały rządowe zajęły wschodnią część stolicy, starając się przywrócić spokój; czołgi obsadziły ważniejsze punkty.

Atmosfera w Bejrucie jest napięta, mimo to większość sklepów była otwarta.

W godzinach wieczornych premier Karame spotkał się z charges d'affaires Zjednoczonej Republiki Arabskiej w Bejrucie i odbył z nim rozmowę.

Premier Libanu miał również oświadczyć w dniu wczorajszym, że rząd przyjmie każdą pomoc finansową i gospodarczą z zagranicy, o ile nie będzie ona związana z jakimikolwiek warunkami. Premier dodał, iż rząd zamierza odrzucić pomoc w ramach „doktryny Eisenhowera", która była zaaprobowana przez poprzedni reżim.

Jakość koksu decyduje o produkcji żelaza i stali

Wczoraj w gmachu Zjednoczenia Hutnictwa Żelaza i Stali w Katowicach odbyła się z udziałem wiceministra przemysłu ciężkiego inż. F. Kaima i nacz. dyr. Zjednoczenia inż. St. Sikory narada aktywu przemysłu koksochemicznego, której celem było zobrazowanie dotychczasowych osiągnięć tej gałęzi przemysłu oraz wytyczenie kierunków działania na przyszłość.

Narada koksochemików wykazała, że produkujemy już blisko 11 mln ton koksu rocznie, z czego 70 proc. idzie na potrzeby przemysłu hutniczego, 20 proc. na eksport, a reszta na potrzeby innych gałęzi przemysłu i ludności. Poza tym koksownie dostarczają ponad miliard m sześc. gazu, dziesiątki tysięcy ton siarczanu amonu dla rolników oraz poważne ilości produktów węglopochodnych do dalszej przeróbki chemicznej. Dzięki systematycznej rozbudowie naszej koksochemii i stale wzrastającej produkcji, znaleźliśmy się na szóstym miejscu w skali światowej.

Głównym odbiorcą koksu jest hutnictwo, przed którym stawiane są coraz wyższe zadania. W takim więc stopniu rosną wymagania w stosunku do przemysłu koksochemicznego. Po to, by hutnicy mogli produkować więcej surówki i stali muszą mieć zapewnione dostateczne dostawy koksu wsadowego o odpowiedniej jakości, odpowiadającej wymogom technologicznym nowoczesnych wielkich pieców

Dyskusja toczyła się głównie wokół trudności, związanych z zaopatrzeniem koksowni w węgiel i jego jakości. Huty skarżą się, że nie są równomiernie utrzymywane dostawy, a przy tym węgiel jest zbyt wilgotny i zawiera nadmiar popiołu. Dużo uwagi poświęcono również dalszemu rozwojowi postępu technicznego i dalszej poprawie technologii dla uzyskania lepszej jakości koksu metalurgicznego itp. Podkreślono także konieczność utworzenia nadrzędnego organu międzyresortowego, który by zabezpieczał interesy zakładów koksochemicznych w kopalniach dostarczających węgiel dla koksochemii. (bp)

Otwarcie Wojskowej AM

W Łodzi w obecności ministra obrony narodowej gen. broni Mariana Spychalskiego odbyło się uroczyste otwarcie pierwszej Wojskowej Akademii Medycznej. Rektor Wojskowej Akademii Medycznej płk. dr Marian Garlicki przedstawił w inaugurującym uroczystość przemówieniu program działalności tej nowej w kraju, a jedenastej z rzędu wyższej uczelni medycznej. Następnie zabrał głos minister obrony narodowej, gen. broni Marian Spychalski, który omówił zaszczytne cele i zadania wojskowej kadry medycznej w służbie całego społeczeństwa i rozwijaniu obronności kraju.

Wielki strajk w USA

Według doniesień z Waszyngtonu, w dniu wczorajszym na skutek strajku pracowników drukarni, w stolicy Stanów Zjednoczonych nie ukazały się pierwsze wydania dzienników wieczornych.

Do strajku przystąpili również robotnicy towarzystwa samochodowego „General Motors". W strajku bierze udział blisko 300 tys. robotników, którzy domagają się zawarcia z właścicielami towarzystwa nowego układu zbiorowego.

Napad na kierowcę taksówki w Szopienicach

Przedwczoraj, dnia 2 października br. na ul. Tyskiej w Szopienicach dokonany został napad na kierowcę taksówki Jana Kurczabińskiego.

Około godz. 17 Kurczabiński przyjechał z Sosnowca do Szopienic. Po zakończeniu kursu zawracał na ulicy. W tym właśnie czasie podbiegło do taksówki trzech osobników. Jeden z nich otworzył drzwiczki i złapał kierowcę za włosy, drugi zaś wymierzył Kurczabińskiemu kilka ciosów nożem w głowę i rękę. Kurczabiński zdołał się wyrwać napastnikom i zaczął uciekać. Dopadli go jednak i w pobliskim rowie znów zaczęli znęcać się nad swoją ofiarą.

Szosą przejeżdżała akurat karetka sanitarna z Katowic. Pasażerowie karetki wyskoczyli na ulicę i pospieszyli kierowcy z pomocą. Bandyci rzucili się do ucieczki. Kilku przechodniów rozpoczęło pogoń, a jeden z nich zawiadomił o napadzie Komendę Miejską MO.

Dzięki natychmiastowej akcji milicyjnej prowodyr bandytów — Marian Pieniak, ten właśnie, który posługiwał się nożem został ujęty.

MIR

Dziś przyjeżdża JAN KIEPURA

Jak nas informuje PPIE „Estrada", słynny śpiewak **Jan Kiepura** przyjeżdża dziś, w sobotę o godz. 21,55 do Katowic. Mistrz ma zamieszkać w hotelu „Monopol".

Całkowite opanowanie kosmosu - celem nauki radzieckiej

Rok sputników

MOSKWA (PAP)

Nowej erze w rozwoju nauki światowej — rocznicy wyrzucenia pierwszego radzieckiego satelity Ziemi — poświęca całą kolumnę „Prawda" z 3 bm.

W artykule pt „Wkład uczonych radzieckich" wiceprezes Akademii Nauk ZSRR **A. Topczijew** podkreśla, że wyrzucenie w ZSRR pierwszego sputnika nie było przypadkowym sukcesem.

Topczijew pisze dalej, że dużo miejsca poświęca się nauce w perspektywicznym planie siedmioletnim. Przewiduje się kontynuowanie intensywnych badań jądra atomowego, przede wszystkim w dziedzinie opracowania metod kierowania reakcjami termojądrowymi.

* * *

Jak wiadomo, 3 listopada 1957 r. wystrzelono w Związku Radzieckim drugiego sputnika, który na pokładzie miał pierwszego podróżnika kosmosu — psa Łajkę. Drugi sputnik radziecki okrążył Ziemię 2370 razy i przebył ponad 100 milionów km.

Trzeci sputnik o wadze 1327 kg krąży już od 15 maja br. Wystrzelony został z szybkością ponad 8 km na sekundę na wysokość 1880 km.

* * *

Prezes Akademii Nauk ZSRR **A. W. Niesmiejanow** informuje że u podstaw wielkich osiągnięć nauki i techniki radzieckiej leżały przeprowadzone w ZSRR badania w dziedzinie aerodynamiki szybkości ponaddźwiękowych, w dziedzinie radiotelemechaniki i automatyki.

Wiadomo — mówił dalej Niesmiejanow — jak ogromną rolę we wszystkich problemach fizyki górnych warstw atmosfery odgrywa jonosfera, to tajemnicze laboratorium, w którym biorą początek liczne zjawiska przyrody. Sztuczny satelita Ziemi — latające laboratorium naukowe — sygnalizuje drogą radiową informacje o tym, co dzieje się na wysokości kilkuset kilometrów, przenika tajemnice jonosfery i promieni kosmicznych, dzięki czemu wiedza o jonosferze, co ma tak doniosłe znaczenie dla rozchodzenia się fal radiowych, zostanie pogłębiona. Znajomość tych zjawisk jest niezbędnym przygotowaniem do podróży kosmicznych.

Skonstruowanie sztucznych satelitów Ziemi stawia przed nami zadanie opanowania przestrzeni kosmicznej i wszechstronnego jej zbadania.

Na Cyprze wre

LONDYN (PAP)

W związku z wprowadzeniem planu brytyjskiego demonstracje na Cyprze nie ustają.

Niedaleko Nikozji demonstrujący studenci ranili kamieniami żołnierza brytyjskiego i policjanta tureckiego.

Arcybiskup Makarios oznajmił, że wystosował orędzie do ludności Cypru wzywając ją do przeciwstawienia się realizacji planu Macmillana.

Kilkuset studentów ateńskich demonstrowało w piątek przed gmachem uniwersytetu domagając się wolności dla Cypru. „Precz z planem Macmillana" — wołali studenci.

Ateński dziennik wieczorny „Ethnos" informuje, iż rząd grecki rozważa obecnie cztery następujące możliwości:

1. **wystąpienie Grecji z NATO**, chociaż krok ten uważa się za nieprawdopodobny, 2. **odmowa współpracy w NATO i pozostanie w pakcie w roli obserwatora**, 3. **całkowita neutralność Grecji w stosunkach między Wschodem a Zachodem i ściślejsza współpraca z krajami prowadzącymi politykę neutralności**, 4. **podjęcie akcji protestacyjnej wobec sojuszników z NATO i zaostrzenie kursu politycznego przeciwko Turcji.**

De Gaulle stawia ultimatum powstańcom algierskim

W końcowym etapie swej podróży po Algierii premier de Gaulle przybył w piątek do Constantine, gdzie wygłosił przemówienie na temat intencji obecnego rządu francuskiego wobec tego kraju. Przedstawił on z jednej strony swój 5-letni plan przeobrażenia Algierii, przyrzekając miejscowej ludności różne reformy gospodarcze i społeczne, z drugiej zaś strony swoje koncepcje przyszłości politycznej tego kraju, którą wyobraża sobie tylko w ścisłej łączności z Francją.

Punktem wyjścia rozważań gen. de Gaulle'a na temat przyszłości politycznej Algierii była jego teza, że wynik referendum w tym kraju interpretuje on jako „votum zaufania" oraz świadectwo, że Algieria pozostanie „na zawsze" związana z Francją.

Część swego przemówienia poświęcił gen. de Gaulle apelowi do powstańców algierskich, który miał jednoczesnie charakter pewnego ultimatum.

* * *

W piątek wieczorem gen. de Gaulle w drodze powrotnej z Algierii przybył samolotem do Ajaccio na Korsyce. Następnymi etapami podróży mają być Marsylia i Lyon.

„TEATR SKUSZANKI" w Katowicach

Po wakacyjnej przerwie znów ujrzymy na scenie teatralnej Pałacu Młodzieży lubiany przez katowicką publiczność Teatr Ludowy z Nowej Huty, znany w całej Polsce jako „Teatr Skuszanki". Tym razem teatr wystąpi ze sztuką Carle Gocci — „Turandot".

Przedstawienia odbędą się w sali teatralnej Pałacu Młodzieży w czwartek 9. 10. o godz. 19, w piątek 10. 10. o godz. 18, w sobotę 11. 10. o godz. 19 i w niedzielę 12. 10. o godz. 19.

Przedsprzedaż biletów w kasie teatralnej Pałacu Młodzieży i w kasach „Orbisu".

Prokurator w sprawie zajść w Olkuszu:

Żądam wysokiego wymiaru kary

KRAKÓW (PAP)

3 bm. w siódmym dniu procesu przeciwko winnym zajść w Olkuszu, zabrał głos prokurator St. Bartkowski, który stwierdził, że źródłem działania oskarżonych były przede wszystkim, szerzące się w zastraszający sposób, nietolerancja i fanatyzm religijny niektórych wyznawców kościoła rzymsko-katolickiego. Wysokiego wymiaru kary prokurator zażądał dla ks. Kazimierza Biernackiego i pozostałych oskarżonych.

Proces trwa.

24 godziny za granicą

Wizyta delegacji Sejmu w Rumunii

Zwiedzanie spółdzielni produkcyjnej Topraisar, spotkanie z gronem radnych obwodowej rady narodowej w Konstancy, zwiedzanie nadmorskich miejscowości wypoczynkowych, zapoznanie się z pracą stoczni i wreszcie lot samolotem nad deltą Dunaju do Bukaresztu, gdzie powitał delegację ambasador PRL w Bukareszcie Janusz Zambrowicz — to w skrócie przebieg czwartego dnia pobytu delegacji Sejmu PRL w Rumunii.

Ciekawy przebieg miała wizyta delegacji w spółdzielni produkcyjnej w miejscowości Dobraiser, gdzie 410 rodzin gospodaruje na 2.700 hektarach ziemi.

21 poważne ostrzeżenie ChRL

Rząd ChRL złożył wobec USA 21 poważne ostrzeżenie wobec ponownego wtargnięcia 20 amerykanskich samolotów do obszaru powietrznego ChRL oraz naruszenia przez 4 okręty chińskich wód terytorialnych. Wczoraj w godzinach popołudniowych myśliwce Chin Ludowych zestrzeliły nad wyspą Quemoy 2 czangkaiszekowskie samoloty.

Pociski „Nike" na Taiwan

Jak donosi agencja Reutera, amerykańskie pociski „Nike-Herkules" są już w drodze na Taiwan. Amerykańskie władze wojskowe stwierdziły, iż pociski te służyć mają do obrony Taiwanu.

Susłow w Brukseli

Członek Prezydium KC KPZR, M. Susłow, przybył w piątek do Brukseli. Celem podróży Susłowa jest zwiedzenie EXPO 58.

Ewakuacja wojsk francuskich z Tunezji

W połowie października br. Francuzi rozpoczną ewakuację swoich wojsk z Tunezji — zgodnie z porozumieniem francusko-tunezyjskim z 17 czerwca br. przewidującym wycofanie oddziałów francuskich z Tunezji (z wyjątkiem Bizerty).

Proces redaktorów „Humanite"

Dzisiaj dwóch redaktorów „Humanite" Andre Stil i Ostave Rabate stanie przed sądem w Paryżu.

Proces ten został wytoczony redakcji „Humanite" z powodu artykułu zamieszczonego 30 września 1957 r., domagającego się wypuszczenia na wolność żołnierza francuskiego, Albana Liechti, skazanego na dwa lata więzienia za przeciwstawianie się wojnie w Algierii.

Nowy rząd Gwinei

W Konakry podano oficjalnie do wiadomości skład nowego rządu Gwinei. Na czele rządu stanął Sekou Toure, który ponadto objął teki ministra spraw zagranicznych i obrony narodowej.

● Jak donosi radio kairskie, Zjednoczona Republika Arabska uznała oficjalnie Republikę Gwinei.

Okręty USA dla NRF

Zachodnio-niemiecka marynarka wojenna otrzymała w tych dniach 6 łodzi desantowych, zakupionych w USA. Są to jednostki tego samego typu, co łodzie użyte podczas amerykańskiej agresji na Liban. Wśród zakupionych statków znajdują się dwa okręty o wyporności 500 ton, na których zainstalowane są urządzenia do wystrzeliwania pocisków rakietowych. Okręty te mają służyć do wspierania akcji desantowych.

Zamiast paktu bagdadzkiego

Według doniesień prasy tureckiej, zapowiadana ostatnio narada w sprawie utworzenia tzw. konfederacji „ARIAN" między Turcją, Pakistanem, Iranem i Afganistanem, która miałaby wypełnić „próżnię polityczną" jaka powstała wskutek rozkładu paktu bagdadzkiego, odbędzie się w najbliższym czasie w Ankarze.

Żądają zwrotu skarbów wawelskich

Nadzwyczajny zjazd delegatów stowarzyszeń polskich w Argentynie przyjął uchwałę, w której stwierdza, że wywiezione w 1939 roku do Kanady skarby wawelskie są niezaprzeczalną własnością narodu polskiego i muszą jak najszybciej wrócić z wilgotnych piwnic muzeum kanadyjskiego do królewskich sal Wawelu.

Brytyjskie odrzutowce pasażerskie nad Atlantykiem

Brytyjskie zamorskie linie lotnicze postanowiły wczoraj po raz pierwszy rozpocząć obsługę transatlantycką przy pomocy samolotów o napędzie odrzutowym „Comet IV".

Amerykański samolot odrzutowy, który ma być rywalem „Comet IV", mianowicie „Boeing 707" wylądował wczoraj w Rzymie po próbnym locie z Nowego Jorku.

54 górników zginęło w Jugosławii

Według ostatnich doniesień liczba ofiar w katastrofie górniczej w Serbii wzrosła z 30 do 54 osób. Jeszcze 8 górników nie zostało wydobytych z podziemi kopalni.

w kraju

Minister Lesz powrócił z Moskwy

Z Moskwy powróciła delegacja Ministerstwa Handlu Wewnętrznego pod przewodnictwem min. M. Lesza. W czasie pobytu w ZSRR przedstawiciele polskiego handlu przeprowadzili rozmowy na temat wymiany nadwyżek towarów rynkowych między obu krajami i podpisali w tej sprawie dodatkową umowę. Tak więc łączna wartość obustronnych transakcji zawartych w tym roku wynosi 96 mln. rubli, tj. czterokrotnie więcej niż w roku ub.

Samoloty austriackie na linii warszawskiej

Na linii lotniczej Warszawa — Wiedeń kursować mają, obok samolotów PLL „Lot", również maszyny austriackich linii lotniczych AUA. Będą to 4-silnikowe „Viscounty".

◆ Trzy mecze międzypaństwowe
◆ Ostatni akord tenisowy sezonu

Kalendarzyk sportowy

Dawno już nie było tak bogatej w imprezy sportowe niedzieli! Jest kilka spotkań międzypaństwowych, sporo różnego rodzaju zawodów na terenie naszego województwa. Zacznijmy od spotkań najważniejszych — międzypaństwowych.

Piłkarze wylecieli samolotem na „Zieloną Wyspę". W stolicy Irlandii — Dublinie nasi piłkarze rozegrają rewanż z Irlandią Płd. Pierwszy mecz tych zespołów na Stadionie tegoż roku zakończył się wynikiem remisowym 2:2. Przed wojną wygraliśmy z Irlandią 6:0, by w tym samym roku — 1938 — przegrać w Dublinie 2:3. Niedzielny mecz jest więc czwartym pojedynkiem. Oto skład: Gronowski (Stefaniszyn) — Szczepański, Korynt, Woźniak — Gawlik, Zientara Pohl, Majewski, Hachorek, Norkowski, Baszkiewicz. Rezerwa: Floreński, Grzywocz, Szarzyński i Gawroński.

Bokserzy już w sobotę zmierzą rękawice z najsilniejszą dziesiątką NRD. Kapitan związkowy PZB — Cendrowski, wyjeżdża do Niemiec z zespołem, w którym nie brak mistrzów Europy i wielokrotnych reprezentantów Polski, nie brak też debiutantów. Oto skład: Kukier, Kowalski (Woźniak), Brychlik, Paździor, Drogosz, (Papież), Misiak, Wasilewski, Walasek, Piątrzykowski, Jędrzejewski (Braniecki). Drugi pojedynek Polska—NRD odbędzie się w niedzielę w Bydgoszczy, ale pomiędzy zespołami hokeja na trawie.

Wreszcie ostatnia zapowiedź międzypaństwowa: mecz a raczej trójmecz żużlowy Polska — Anglia. W dniu dzisiejszym w drukim meczu wchodzącym do punktacji ogólnej trzech pojedynków, żużlowcy Polski i Anglii zmierzą się na torze Górnika Rybnik. Początek o godz. 15, a w barwach Polski wystąpią: podajemy parami: Tkocz—Kajzer, Maj—Philipp, Kupczyński—Zyto, oraz rezerwowi: Kapała, Połukard.

Na kortach Baildonu w dwudniowym meczu o tytuł mistrza Polski spotkają się dwa najlepsze zespoły tenisowe naszego kraju: Baildon (zeszłoroczny mistrz) z Legią (wicemistrz z ub. roku). W ramach zawodów dojdzie do atrakcyjnego zawsze pojedynku dwóch najlepszych rakiet: Licisa ze Skoneckim. Początek gier w sobotę — godz. 14.30, w niedzielę — godz. 10.00. Obok kortów na stadionie w tych samych dniach i o identycznej porze — lekkoatleci: Jagielonii Białystok, AZS Kraków, Lechii Gdańsk, Olimpii Poznań oraz chorzowskiego AKS i katowickiego Startu, walczyć będą o utrzymanie się w lidze. W tym samym czasie oczekiwać będziemy na meldunki z Krakowa, gdzie lekkoatleci Górnika Zabrze ubiegać się będą o tytuł mistrza Polski z poważnymi szansami na końcowy sukces.

Awizujemy ciekawy dwumecz piłkarski na stadionie Ruchu: niedziela, godz. 13: Śląsk — Rzeszów o Puchar Przeworskiego (zespoły młodzieżowe), oraz godz. 15: Śląsk — Opole o Puchar Kałuży.

Częstochowa w niedzielę o g. 15 emocjonować się będzie meczem eliminacyjnym o wejście do II ligi: RKS Raków — BBTS. W sobotę w Chorzowie AKS spotka się w meczu towarzyskim ze Słowianem Katowice (godz. 15.30) a w niedzielę o godz. 15 rozegrane zostaną dalsze pojedynki o Puchar Śl. OZPN. Oto ciekawsze mecze: GKS Gliwice — Małapanew Ozimek, Ruch Radzionków — Siemianowiczanka, Podlesianka — Unia Zdzieszowice, Slavia Ruda — Stal Zabrze, Płomień Milowice — Stal Mikołów, Start Chorzów — Unia Kędzierzyn, Wawel Wirek — Pogoń Prudnik, 09 Mysłowice — BKS Bielsko, AKS Niwka — Polonia Piekary.

W Siemianowicach nastąpi w niedzielę o godz. 16.30 otwarcie krytej pływalni Siemianowiczanki — i oczywiście zawody.

„Karolinka" płaci 4x33.870 zł.

„Karolinka" zawiadamia, że w wyniku sprawdzenia kuponów normalnych zgłoszonych oraz kuponów urlopowych z losowania dodatkowego 31 gry stwierdzono:

1) z losowania dodatkowego: — 4 wygrane z 5 trafieniami w wysokości po zł 33.870.

Wygrane padły na następujące numery kuponów: 253.440 (78) 2.127.973 (94) 1.574.738 (219) 2.935.099 (317).

2) z losowania na domek: 2 wygrane z 5 trafieniami, które padły na następujące numery kuponów: 8.010.286 (189) 4.487.728 (277).

Posiadacze 5 trafień z losowania na domek wezmą udział w jego rozlosowaniu w dniu 5 października br.

Dnia 1 października 1958 r. zmarła po krótkich lecz ciężkich cierpieniach

Małgorzata Huebszer

długoletni pracownik Miejskiego Handlu Mięsem w Siemianowicach.

W Zmarłej utraciliśmy pełnowartościowego współpracownika i najlepszą koleżankę.

CZEŚĆ JEJ PAMIĘCI!

RADA ZAKŁADOWA DYREKCJA
MIEJSKIEGO HANDLU MIĘSEM
W SIEMIANOWICACH

Dnia 2 października 1958 zmarł na skutek tragicznego wypadku w czasie pełnienia obowiązków służbowych

Waldemar Trzęsimiech

lat 25

nasz wzorowy pracownik, powszechnie kochany i szanowany kolega.

DYREKCJA I ZAŁOGA
KATOWICKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA
OBROTU PRODUKTAMI NAFTOWYMI „CPN"

Pogrzeb odbędzie się dnia 5 października br. godz. 15 z domu żałoby w Katowicach, ul. Rybnicka 6

„DOM KSIĄŻKI"

ZAPRASZA

◆ bibliotekarzy wszystkich zakładów produkcyjnych
◆ bibliotekarzy instytucji, szkół i uczelni technicznych
◆ wszystkie osoby interesujące się literaturą techniczną

na

TARGI BIBLIOTECZNE

ORAZ WYSTAWĘ I KIERMASZ KSIĄŻEK TECHNICZNYCH.

Miejsce: Katowice, ul. Podgórna nr 4 („Klub Technika" w gmachu N. O. T.)

Czas trwania: 6 — 13 października br,

Godziny otwarcia: 10 — 18.

6535kr

◆ *Autentyczny dyliżans przejedzie przez miasta śląskie* ◆ *Wystawa filatelistyczna* ◆ *Tydzień pisania listów*

400 lat poczty polskiej

W październiku 1558 r. uruchomiono dyliżansowe połączenie pocztowe między Krakowem a Wenecją. Od powstania poczty polskiej mija więc 400 lat. Obchody tego jubileuszu będą miały szczególnie uroczysty przebieg na Śląsku. O programie obchodów poinformowano wczoraj dziennikarzy na konferencji prasowej w Wojewódzkim Zarządzie Łączności.

W ramach Międzynarodowego Tygodnia Pisania Listów organizowanego w dniach 5 — 11 X. przez Światowy Kongres Pocztowców odbędzie się 9 bm. — „Dzień znaczka".

10 bm. w ambulansie, który stanie na peronie pocztowym na rogu ul. Kościuszki i Konopnickiej otwarta zostanie wystawa filatelistyczna. Zwiedzający wystawę będą mogli podstemplować znaczki specjalnymi pamiątkowymi datownikami. Przedstawiają one herby miejscowości, w których kiedyś rozbrzmiewała trąbka dyliżansowa: Opola, Paczkowa, Nysy, Tarnowskich Gór, Cieszyna, Będzina itd Wystawa potrwa do 14 października.

13 października ze Strzelec Opolskich przyjedzie do Gliwic **autentyczny dyliżans z pracownikami poczty ubranymi w charakterystyczne średniowieczne „mundury"**. Powitanie dyliżansu nastąpi w Gliwicach na Rynku o godz. 14. 14 bm. dyliżans wyruszy z Gliwic do Katowic.

Członkami honorowymi komitetu obchodu 400-lecia poczty polskiej na Śląsku są m. in.:

Sekretarz KC i I sekretarz KW PZPR **Edward Gierek**, przewodniczący Woj. RN **Ryszard Nieszporek**, Komendant Wojewódzkiej MO płk. **Franciszek Szlachcic**, I sekretarz KM PZPR w Katowicach **Antoni Walaszek**, przewodniczący Prezydium MRN w Katowicach **Antoni Wojda**, redaktor naczelny Trybuny Robotniczej **Włodzimierz Janiurek**, redaktor naczelny Telewizji Śląskiej **Janusz Korczyński**, dyrektor naczelny katowickiej rozgłośni Polskiego Radia **Jerzy Sochanik**, redaktor naczelny Dziennika Zachodniego **Bronisław Schmidt - Kowalski**, dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji **Józef Flak**, przewodniczący Zarządu Okręgowego Zw. Zaw Pracowników Łączności **Augustyn Graniczny**.

MIR

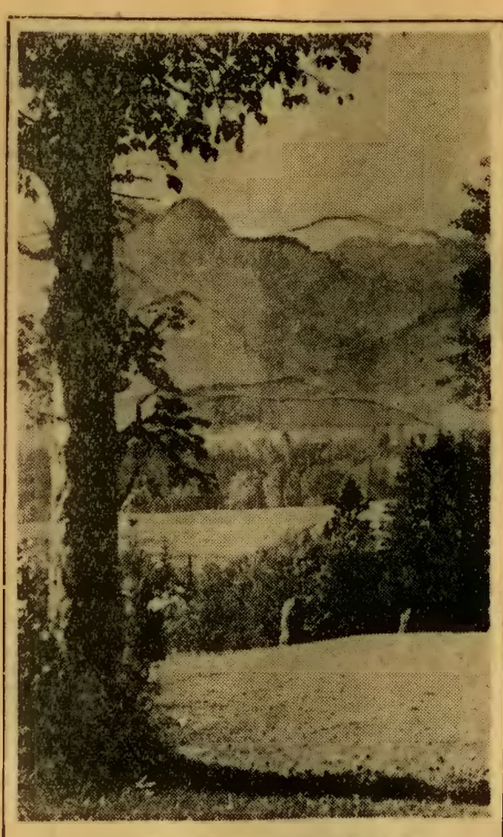

PIERWSZY ŚNIEG W TATRACH

Na stokach Gubałówki owies jeszcze w kopkach, a za Giewontem na Czerwonych Wiercach biało od śniegu.

CAF — fot. Olszewski

Do Waszej wiadomości

Z kraju

Pragniemy Was dziś zapoznać z ciekawymi liczbami związanymi z gospodarką naszego województwa.

PRZEROSTY

PROWADZONA od kilku miesięcy akcja likwidacji przerostów w zatrudnieniu przyniosła do sierpnia zwolnienie 46.000 pracowników fizycznych oraz 5.300 pracowników umysłowych. Łącznie — 48.500 osób, w tym 35.000 pracowników, którym przyznano renty. Ogólnie biorąc, należy uważać dotychczasowe wyniki akcji za pomyślne, o tyle zastanawiająca jest ilość zwolnionych etatów w administracji, a przecież nie gdzie indziej jak właśnie w administracji mieliśmy — i mamy — do czynienia z najpoważniejszymi przerostami zatrudnienia.

WOLNE MIEJSCA

ZWOLNIENIA wcale nie złagodziły dość napiętej sytuacji na śląskim rynku pracy. Jak się ocenia, w chwili obecnej w województwie naszym może znaleźć zatrudnienie 20.000 robotników niewykwalifikowanych i 5.000 robotników wykwalifikowanych. Największe luki w zatrudnieniu odczuwa górnictwo, budownictwo, przedsiębiorstwa podległe radom narodowym oraz zakłady chemiczne. (Same „Azety" gotowe są zatrudnić grubo ponad tysiąc pracowników).

ABSENCJA

NOTUJEMY zwiększenie się dyscypliny pracy. Podczas gdy w IV kwartale ub. roku na podstawie zwolnień chorobowych opuszczono w naszym województwie 6.650.000 roboczodni, to w II kwartale br. — już tylko 4.565.000 roboczodni. Nawet jeśli się uwzględni, iż ostatni kwartał przynosi zawsze zwiększoną ilość rzeczywistych zachorowań liczby te mogą tylko cieszyć.

DOCHODY I WYDATKI

KILKA danych o dochodach i wydatkach ludności województwa katowickiego. W III kwartale ub. roku ogólne dochody ludności wyniosły ok. 8,8 miliarda zł podczas gdy wydatki wyraziły się kwotą ok. 6,5 miliarda zł. Jak wyglądała sytuacja w II kwartale roku bieżącego? Notujemy dalszy wzrost nadwyżki dochodów nad wydatkami: dochody — ok. 10,2 miliarda zł, wydatki — 7,5 miliarda zł. Dochody wzrosły więc o 1,4 miliarda zł, wydatki — o miliard zł. Należy oczekiwać iż dane za III i IV kwartał będą nieco zmienione. W tym bowiem okresie rosną na ogół wydatki ludności. Tym niemniej można mówić o zwiększeniu szacunku do złotówki...

ZAPASY

GDY mówimy o poprawie zaopatrzenia rynku i o lepszej pracy handlu, sprawa ta ściśle wiąże się ze wzrostem zapasów towarowych. I znów liczby: w połowie ub. roku wartość zapasów w hurcie wynosiła 768 milionów zł, w detalu — 720 milionów zł, w połowie bież. roku odpowiednio 1.093 miliony i 1.114 milionów zł. Wzrost b. poważny, na niektórych odcinkach wręcz rewelacyjny. Wystarczy powiedzieć, iż „Arged", przedsiębiorstwo rozprowadzające wszelakiego rodzaju artykuły gospodarstwa domowego, dysponuje obecnie dwa i pół raza większą masą towarową niż przed rokiem.

Z zagranicy

CHINY TOPIĄ STAL

JAK DONOSI agencja Sinhua, w całych Chinach trwa wielka akcja, której celem jest podniesienie tegorocznej produkcji stali do 10,7 miliona ton. Sinhua informuje przy tym, iż obok wzrostu produkcji wielkich zakładów hutniczych, decydującą rolę w osiągnięciu tego zadania odegrają setki tysięcy drobnych zakładów, porozrzucanych po całych Chinach, w najbardziej odległych zakątkach. Od stycznia do czerwca br. wybudowano ponad 11.000 małych pieców do wytopu żelaza, a z końcem sierpnia liczba pieców - liliputów doszła do 240.000, z czego jedynie w sierpniu zbudowano 190.000. Objętość tych pieców nie przekracza zazwyczaj 0,5 metra sześc., a uzyskana ilość surówki dochodzi do 2 ton na dobę. W ciągu pierwszych dwudziestu dni września piece - liliputy dały prawie połowę całej produkcji żelaza w Chinach. Oblicza się, iż w robotach związanych z wydobyciem rudy, jej transportem i wytopem — a więc w całym przemyśle hutniczym Chin — pracuje w chwili obecnej około 20 milionów ludzi.

„OBRONA PSYCHOLOGICZNA"

JAK PAMIĘTAMY, w swoim czasie Hitler wysunął hasło „wojny psychologicznej", obliczonej na wyczerpanie i rozbrojenie psychiczne przeciwnika. Ten szczególny rodzaj wojny III Rzesza zastosowała z powodzeniem m. in. przeciwko Austrii, Czechosłowacji, Litwie. Dziś boński minister od spraw Bundeswehry, Strauss, lansuje plan „obrony psychologicznej", obliczony na zwalczanie całej opozycji wobec rządu Adenauera. (Nie wyłączając SPD). Wynika to jasno z wywiadu, przeprowadzonego ostatnio przez tygodnik „Der Spiegel" z organizatorami „obrony psychologicznej". Zdaniem ekspertów zatrudnianych przez Straussa, „akcja walki ze śmiercią atomową musi osłabiać gotowość obronną ludności i zdolność bojową żołnierzy".

„OTWARTE ORIENNICE"

TAKIM tytułem tygodnik „Espresso" zaopatrzył reportaż poświęcony oficjalnej likwidacji wszystkich domów publicznych we Włoszech. (Ustawa uchwalona przez parlament przed sześciu miesiącami weszła w życie w ostatnich dniach września). W całych Włoszech zamknięto 560 domów, w których przebywało ok. 7.000 kobiet. Rząd obiecuje iż większość z nich uzyska możliwości powrotu do normalnego życia. Jak dotąd, część prasy włoskiej pisze o tym raczej sceptycznie.

XYZ

WILHELM SZEWCZYK

OBSKURANTYZM I NIETOLERANCJA W KULTURZE

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Z tym wiąże się sprawa tak zwanej wolności twórczej. W naszej sytuacji historycznej anarchiczna swoboda twórcza, jakiej domagają się na przykład Camus i Hemingway, sami zresztą zdyscyplinowani w stosunku do określonej postawy ideowej, nie może być nikomu przyznana. Zasada przynależności do narodu, do społeczeństwa, wprzęgniętego w wielki proces przebudowy społecznej naszego państwa, obowiązuje również twórców, obowiązuje ich również na terenie samej pracy twórczej. Być może, że tak jak zdarzały się nadużycia w tej dziedzinie, zdarzać się będą one od czasu do czasu nadal i to zdarzać będą się po obu stronach. Należy jednak ufać, że twórcy i działacze nie będą usiłowali wyłamywać się spod pewnego rygoru społecznego, a odpowiednie czynniki władzy taktownie i ze zrozumieniem danej konwencji artystycznej rozstrzygać będą ewentualne spory.

2

KTÓRE pozycje i w jaki sposób atakuje obskurantyzm? Przede wszystkim szkołę. Tutaj szaleją wszystkie furie, grają najniższe instynkty. Zadziwiająca jest ta gorliwość, z jaką obskuranci polscy, niechętni rzecz jasna socjalizmowi i z zapałem powołujący się na pokrewieństwo z Zachodem, przemilczają oczywiście historyczne fakty — o świeckich szkołach we Francji, o indyferentyzmie w szkole zachodnio - niemieckiej, o mnożącej się liczbie szkół świeckich w krajach skandynawskich. Jakże więc z nimi dyskutować o postępie? Bardzo do nich pasują słowa Mickiewicza z artykułu „Rzym a katolicyzm urzędowy" w „Trybunie Ludów" z roku 1848: „Niepodobna dyskutować z wami poważnie. Nie dyskusji waszych się obawiamy, ale waszych intryg".

Do czego prowadził obskurantyzm polski w szkolnictwie międzywojennym — pamiętamy aż nadto dobrze. Nietolerancja na terenie szkoły powszechnej miała swój odpowiednik na uczelniach wyższych w haniebnych praktykach dyskryminacji rasistowskiej, zwanych: numerus clausus i numerus nullus. Do czego prowadzi obskurantyzm w szkolnictwie współczesnym? Czy może raczej: do czego mogłoby dojść, gdybyśmy pozwolili działać mu bezkarnie? Niewątpliwie doszłoby w pierwszym rzędzie do poważnego niepokoju i rozprzężenia na terenie, który tego rodzaju zjawisk nie znosi. Zachwiałaby się struktura ideowa naszego wychowania, które służy określonym, bynajmniej nie obskuranckim celom.

Obskurantyzm w szkole to nie czynnik spokoju czy równowagi, dozbrojenia moralnego czy wychowania etycznego, lecz — w naszych warunkach i w naszym ustroju tym bardziej — zarzewie stałych antagonizmów, źródło cynizmu i obłudy, inwazja ciemnoty i wstecznictwa. Rzecz jasna nie należy z obskurantyzmem w szkole walczyć takimi argumentami — jak to niedawno uczynił jeden z publicystów na naszym terenie — że „wychowanie religijne w szkole narobiło więcej szkód niż chuligaństwo". Podobne niefortunne skojarzenia odnoszą raczej wręcz przeciwny skutek. W walce z obskurantyzmem zwłaszcza w szkole, która jest instrumentem zbyt czułym, by stosować tu metody „catch and catch", nie wolno się zagalopowywać. Tu zadecydować muszą jedynie konkretne, empiryczne argumenty. Wstecznictwo jest przeciwko postępowi wiedzy, ciemnota jest przeciwko rozwojowi nauk, lekcja nietolerancji jest przeciwko naszym zasadom ustrojowym. Z tych powodów obskuranci i ich wiekowy bagaż ideowy nie mają nic do szukania w naszych szkołach.

Wyznając zasadę tolerancji dopuściliśmy w określonych lokalnych warunkach naukę religii w naszych szkołach. Ale obskuranci i sprzymierzeni z nimi fanatycy zamiast uznać to za akt dobrej woli ze strony naszego państwa rozpoczęli, wypisz wymaluj jak u Mickiewicza w przytoczonym cytacie, nie dyskusje lecz intrygi. W jednej miejscowości zbuntowano rodziców przeciwko władzom szkolnym, w innej dzieci przeciwko dzieciom, jeszcze gdzie indziej dzieci przeciwko wykładanej wiedzy.

Dosyć tych żniw. Obciążają one sumienie naszych rodzimych wsteczników, z którymi na terenie szkolnym trzeba sobie będzie jak najprędzej poradzić.

3

OBSKURANTYZM na pozostałych obszarach pracy, twórczości i działalności kulturalnej przybiera, jak to już powiedziałem na początku, różnorakie formy. Nie wolne są od niego zespoły ochotnicze, które mimo społecznej kontroli potrafią odtwarzać na scenach prymitywne sztuczki hagiograficzne, sięgać do repertuaru rasistowskiego czy nacjonalistycznego. Obskurantyzmowi w małych środowiskach sprzyja również przykład niektórych większych ośrodków pracy kulturalnej. Wybory „missek" w małych wioskach to nic innego jak tylko naśladownictwo imprez wielkomiejskich; tu można je sobie było wytłumaczyć doborem zainteresowań zmanierowanej już nieco i znudzonej widowni, tam stają się one karykaturalną formą tak zwanego doganiania czy dojrzewania, nie mającego nic wspólnego z pozytywnymi treściami kulturalnymi. Wybory missek w małej wiosce czy w niedużym miasteczku, cóż to za okazja dla wrogów naszej rzeczywistości. Oto, krzyczą od razu, w jaki sposób państwo socjalistyczne doprowadza naród do upadku moralnego, jak obdziera z godności ludzkiej nasze dziewczęta, jak z braku innych treści karmi lud półpornografią. Gdy załamuje się nasza kontrola państwowa czy społeczna w najniższych ogniwach władzy czy opinii, powstają szczególnie dogodne warunki dla wzrostu sił obskuranckich.

Narzekaliśmy na twórców. Ale twórcy przynajmniej czegoś poszukują, znajdują się w pogoni za formami, które, być może, okażą się pożyteczne dla kultury polskiej. Gorzej jest z wieloma działaczami kulturalnymi. Rzetelni twórcy na ogół biorą odpowiedzialność również za swoje niedawne błędy czy pomyłki. Działacze, zwłaszcza terenowi, odżegnywują się chętnie od wszystkiego. Kazano nam, krzyczą, narzucano nam plany, imprezy, materiały. Nie są w tym oczywiście bez racji, ale na pewno nie mają racji, ba — podają w wątpliwość swoją przydatność jako działacze kulturalni, gdy pławią się w skrajnościach jak w dobroczynnym żywiole i tam, gdzie poprzednio sumowali się na scenie dzielni przodownicy pracy lub racjonalizatorzy, teraz świeci bezideowy blichtr, przejęty z kiepskiego filmu, radia czy zawodowej estrady, gdzie przedtem wisiał „Poranek naszej ojczyzny", teraz błyszczy biust Lollobrygidy.

I nie ma żadnych form pośrednich między tym, co było i co niejednokrotnie słusznie poznikało z placu pracy kulturalnej, a tym co powinno nadejść, co winno ukształtować się w nurcie naszych ogólnych przemian. Możemy wskazać niektórych winowajców tego stanu rzeczy. Nie byli nimi twórcy (choć nie są oni bez winy), na których zwala się dość chętnie winę za niepopełnione grzechy, lecz przede wszystkim wielkie związki zawodowe, które — pamiętamy? — na wiele miesięcy odżegnały się od pracy kulturalnej i dopiero niedawne plenum Centralnej Rady Związków Zawodowych ustaliło jakiś ramowy plan działalności, czy nawet na razie raczej problematyki kulturalnej w ruchu zawodowym. Wskazując winowajców, nie jedynych oczywiście, nazywamy ich równocześnie dokładnie po imieniu, ponieważ mają oni pieniądze, społeczne fundusze, które tak jak dawniej rozpieszczały ruch kulturalny, teraz mogą go uratować, mogą go odwieść z drogi opacznie pojętej rentowności, która na niejednym terenie możliwa jest do zrealizowania jedynie poprzez niewybredną rozrywkę, nie mającą nic wspólnego z kulturą.

I oto małe ośrodki pracy kulturalnej, słabo w gruncie rzeczy przygotowane do swojej działalności, zaczęły tańczyć na linie dziwacznych pomysłów, które tak pasowały do Października jak pięść do nosa, by w końcu wpaść w orbitę prężnych ośrodków obskuranckich. Bo oto w pustce, jaka wytworzyła się w niejednym miasteczku, nie mówiąc już o wioskach, powstały nagle energiczne zalążki ciemnogrodu.

Niektórzy protestują: to nie ciemnogród, to ratunek dla osamotnionych grupek działaczy i entuzjastów pracy kulturalnej. Rzecz w tym, że każda tego rodzaju pomoc ze strony parafii kończyła się koncesjonowaniem pewnych treści ideowych. I tak otwierała się zielona droga dla wstecznictwa, dla mętniactwa ideowego, korzystającego z luk w naszej siatce organizacyjnej, w naszym systemie kulturotwórczym.

Na tym terenie obskurantyzm ma do zanotowania największe swoje sukcesy. Gorzej wiodło mu się i nadal wiedzie na szczytach naszej pracy kulturalnej czy kulturotwórczej. Tutaj już nie pomaga tupet ani spryt. Tu nie wystarczy również sama intryga. W starciu polemicznym trzeba mieć argumenty, argumenty muszą się zgadzać ze stanem faktycznym

4

NIEWĄTPLIWIE jest coś tragicznego w tym, że naród, który ma Dunikowskiego, w tym samym czasie roi się od szalbierzy, którzy przy pomocy magicznych zaklęć, jak gdyby podsłuchanych w szkole innego Dunikowskiego, tego, który z piasku robił złoto, wciskają się w przepaść między owym szczytem naszej pracy twórczej a milionami odbiorców.

Nikt nie sprzedaje po wsiach, żaden domokrążca nie nosi w kuferku miniaturowych głów wawelskich, by je zaoferować w chłopskich chałupach, ale od wsi do wsi wędrują sprzedawcy poświęconych kamyczków i broszek, medalików na odczynianie chorób, na zamawianie szczęścia i dobrobytu. Odbywa się to na ogół za zgodą władz duchownych, które dobrze znają cudowną moc przekonywania poprzez medaliki. Cóż się jednak dziwić tym, co z magicznych praktyk ciemnogrodzkich wyciągają dla siebie korzyść ideową?

Gdy czarny kot nam przeleci drogę i na chwilę przypominamy sobie ludowe ostrzeżenia związane z tym faktem, uśmiechamy się i mówimy: „etc. bery i bojki", ale gdy do prostego chłopa na jakimś tam zakolu czy zarzeczu przychodzi handlarz medalikami, nie ogranicza się on do zachwalenia czy sprzedaży iluś tam blaszek, lecz razem z nim wkracza do chłopskiej chałupy odwieczny ceremoniał czarnej magii, uroczystego czarnoksięstwa. Na grunt już nieco rozmiękły spływa potem błogosławieństwo odpowiedniej literatury.

Daleki jestem od przypuszczenia, że propaganda religijna jest w każdej swej formie przeciwna takiemu jak nasz ustrojowi, aczkolwiek są pewne podstawowe przeciwieństwa ideowe, które mogą współistnieć jedynie na zasadzie tolerancji. Pewna ilość poważnych publicystów katolickich przekonuje nas, że również i w tej dziedzinie możliwa jest koegzystencja i nasze państwo od dłuższego już czasu stwarza warunki dla takiej koegzystencji. Ale dobre chęci, dobra wola, uczciwość patriotyczna jednostek są w bezprzykładny sposób wykorzystywane przez ciemnogrodzkich mącicieli. Źle jest, gdy w dziedzinę tę musi już wkraczać nasze prawo, lepiej by było, gdyby ta pewna ilość poważnych publicystów katolickich sama w zdecydowany sposób rozprawiała się permanentnie ze zjawiskami obskurantyzmu, które towarzyszą propagandzie i fanatyzmowi wyznaniowemu.

Francja ma swoje Lourdes, które w wolnej grze sił ideowych nie stanowi dla tego państwa żadnego wielkiego problemu. Jest to już dziś w poważnej mierze czynnik handlowo-ekonomiczny, tak jak są nim widowiska w bawarskim Oberammergau. U nas w Polsce co rok za sprawą magów wyrasta zalążek takiego Lourdes, niestety jednak — przy niskim stanie umysłowym pewnej części społeczeństwa, w atmosferze stałych praktyk ciemnogrodzkich — każdy taki zalążek od razu wyrasta na miarę problemu narodowego, który czasem trudno załatwić jedną kpiną, któremu trzeba przeciwstawiać prawo i rozsądek najwyższych czynników intelektualnych w narodzie. Maluczko, a wizerunki Matki Boskiej na szybach w Chełmku, nie taki niewinny żart szalbierzy, jak to się zrazu wydawało, wymagać będą poważnej rozprawy samego profesora Kotarbińskiego. Oto prawdziwa nędza umysłowa, oto niepokojący stan umysłów, które uzdrowić może jedynie powszechna ofensywa zdrowej, postępowej działalności kulturalnej.

5

CO ROBIĆ?

Wydaje mi się, że okres zamętu ideowego i nieporozumień dobiega do końca. Stając na gruncie tolerancji nie będziemy chyba w sposób administracyjny ingerować w procesy twórcze, uważając, że mogą istnieć obok siebie różne zjawiska kulturowe, o ile oczywiście odznaczają się one pewnym poziomem intelektualnym, o ile cechuje je miłość do człowieka i wola jego dalszego rozwoju, zgodnego z prawami postępu. Nie uważam zatem, żeby szkodziły naszej działalności kulturalnej książki smutne, wypełnione filozoficzną zadumą, jeżeli zaduma ta porusza w człowieku pozytywne cechy jego społecznej indywidualności. Wesołość na rozkaz jest równie zawodna, co nie tak dawno propagowana w naszej sztuce krzepa, co przesadny optymizm rachmistrzów, obliczających, ile każdy z nas zyskuje na obniżce ceny na dżemy i puszki z rybimi filetami. Nie uważam także, by szkodziła naszemu rozwojowi rozmaitość form plastycznych, nawet tych, które hołdują tak zwanej „czystej sztuce", o ile ograniczają się one do ekskluzywnych kręgów i są tym samym, czym laboratoria chemików, badających próbki materiałów.

Obok tych doświadczeń — pod warunkiem, że nie będą one narzucały swoich wzorców całemu społeczeństwu, że zdobędą się na minimum tolerancji wobec całości naszych problemów kulturalnych — wyrastać musi z większą konsekwencją niż dotychczas sztuka w pełni postępowa, odwołująca się nie do laboratoryjnych prób, lecz do żywotnych, istotnych dla rozwoju naszego narodu tradycji. Będą to, jednym zdaniem, tradycje postępu, który wyrażał się w różnych, zmiennych formach artystycznych.

Tradycja nie powinna być dla nas sztywnym zapisem, tradycja jako żywotna siła kulturotwórcza rozwija się i rośnie, bogaci się, nasyca pokolenia, sama będąc nasycana nowymi ich doświadczeniami. Taką tradycję uznawać, to znaczyć z postępem służąc jak najlepiej swojemu narodowi.

Ale jeśli dalecy jesteśmy od uznawania ingerencji administracyjnej w procesy twórcze, bardzo chcielibyśmy się opowiedzieć za pomocą administracyjną w upowszechnianiu kultury. Wydaje mi się, że był to najpoważniejszy błąd naszej kulturowej rzeczywistości, że z jednakowym skutkiem traktowaliśmy pracę twórczą, jak i pracę upowszechniającą. Przy niskim stanie umysłowym części społeczeństwa liczenie na pełną samodzielność działaczy kulturalno-społecznych w najdalszych zakątkach naszego kraju było pewnego rodzaju nieporozumieniem. Nie doceniliśmy znaczenia i siły obskurantyzmu. Nie doceniliśmy także sprawności organizacyjnej obskurantyzmu.

Gdy pewne szacowne organizacje społeczne zmniejszyły sumy na zakup książek w bibliotekach na przykład gromadzkich — nie wiadomo z jakiego powodu, w każdym razie nie z ekonomicznego, raczej w wyniku pogniewania się na twórców — natychmiast wyrosły jak grzybki po wrześniowym deszczyku biblioteczki parafialne, w których rygor ideowy był pilniej przestrzegany niż w naszych bibliotekach publicznych. Gdy nasza tolerancja przekroczyła granice co pozwoliło na jednostronne organizowanie imprez rozrywkowych o niskim, żenującym, moralnie niezupełnie czystym poziomie, natychmiast kler wkroczył na zagrożony teren ze swoimi odwiecznymi kanonami moralnymi, ze swoim zespołem zasad wychowania, zyskując sprzymierzeńców, ale i grupując wokół tego sztandaru odnowy moralnej wszelkiej maści przeciwników naszego ustroju.

Nie myśmy wymyślili termin „odnowa moralna", ponieważ uważamy, że cały nasz ustrój, całe nasze dążenie do socjalizmu jest procesem odnowy nie tylko moralnej, jest lekcją historii, której nie udziela ona każdemu pokoleniu. Ale termin „odnowa moralna" stał się, może wbrew intencjom autorów, biczem na obecny postępowy ustrój.

Jest to ulubiony termin obskurantów, którzy niekiedy zyskują argumenty przeciwko nam.

6

TYM więcej potrzebna jest szeroka akcja ofensywna w dziedzinie kultury. Akces związków zawodowych nie może się ograniczać jedynie do plenumowych deklaracji, musi on przywrócić obecność tej potężnej organizacji masowej na szerokim froncie kulturalnym. Teren nowa praca kulturalna powinna się całą swą siłą zwrócić przeciwko wysłannikom ciemnogrodu, obskurantyzmu, reakcyjnego mącicielstwa. Nie będzie to, rzecz jasna, walka z religią; dostatecznie jasno określone zostały zasady naszej tolerancji. Ale musi to być walka z pochodnymi zjawiskami fanatyzmu religijnego, z którymi niektóre czynniki kościelne albo nie chcą albo nie umieją się rozprawić.

Jeżeli pragniemy, by nasze państwo było nowoczesne nie tylko pod względem urządzeń przemysłowych, musimy się zabrać z większą niż dotychczas energią do wielkiej przepierki umysłów. Intelektualne szczyty nie mogą tkwić wiecznie na pozycjach, z których trudno przemawiać do narodu. Potrzebna jest szeroka popularyzacja wszelkiej postępowej wiedzy. Samo Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, same wydawnictwa ze swoimi w najlepszym wypadku parotysięcznymi nakładami niewiele tu zdziałają. Potrzebny jest ogólnopolski plan ofensywy kulturalnej, opracowany wspólnie przez twórców i naukowców, Ministerstwo Kultury oraz organizacje społeczne.

Przy tym wszystkim jednak nie możemy ani na chwilę zapominać o potrzebie tolerancji. Tolerancja jest naszą siłą a w kulturze i sztuce potrzebą, bez której dyscypliny te usychają zwolna lub ograniczają zakres swoich wrażeń i doświadczeń. Ale tolerancja nie może być żadną miarą wykorzystywana przez wrogów ustroju, przez przeciwników naszego państwa ludowego, naszej kultury socjalistycznej — jako swobodny glejt do warcholstwa.

Nie tocząc walki z religią lecz tylko z pochodnymi zjawiskami fanatyzmu, musimy równocześnie użyźniać stale te wszystkie obszary wiedzy, które świadczą o prawdziwym postępie, które, wolne od mitów i legend, zdolne są tłumaczyć społeczeństwu zmienny rytm życia, zawiłości natury ludzkiej, drogi współczesnego rozwoju, rodowód społeczeństw, kształty poszczególnych, ożywiających je w ciągu stuleci idei oraz dziwy starej i nowej przyrody. Musimy być społeczeństwem nowoczesnym, nie można sobie bowiem wyobrazić, by w przyszłości człowiek polski, obsługujący nowoczesną aparaturę elektronową, mógł się równocześnie znajdować pod wpływem obskuranckich „ideologów", będących największym anachronizmem naszej współczesności.

Kultura w tej walce ma największe zadania do spełnienia. W równym stopniu praca twórcza, co działalność popularyzatorska. Głos twórców, choćby najdonioślejszy, nie będzie miał tego znaczenia, które przypisalibyśmy mu chętnie, gdy nie będzie mu towarzyszyć szeroka ofensywa pracy kulturalno-społecznej. Nie o centralizację wysiłków chodzi, nie o nowy system odgórnej kontroli, lecz o szerokie współdziałanie wszystkich ogniw naszej pracy kulturalnej, o wzajemną pomoc, nawet o rozumne współzawodnictwo. Trzeba powiązać to, co działa w odosobnieniu, lub na marginesie głównego naszego nurtu rozwojowego. Trzeba zmusić potężne organizacje masowe do współdziałania, również i finansowego, nie tylko pod kątem swych zawodowych zainteresowań. Trzeba stworzyć prężne ośrodki terenowej pracy kulturalnej. Wzory niedawne w wielu wypadkach mogą okazać się nieprzydatne. Ani bowiem świetlice suche i sztywne, ani domy kultury, niepostrzeżenie przeobrażające się w placówki o zainteresowaniach profesjonalnych, o czym świadczą dzisiejsze aspiracje niektórych ich artystycznych wychowanków — nie będą w stanie unieść ciężaru walki z nietolerancją, z obskurantyzmem, nadmiernie rozpowszechnionym w ostatnim naszym okresie dziejowym. Nad szczegółowymi środkami trzeba będzie pomyśleć.

Praca nasza będzie miała dwa cele równorzędne: podniesienie poziomu umysłowego naszego społeczeństwa i zwalczanie, kompromitowanie obskurantyzmu we wszelkich jego przejawach. Nie będąc fanatykami, nie zamierzamy rozpoczynać świętej wojny. Ale do organicznej, solidnej pracy warto zakasać rękawy. By ustało rozprzężenie naszych wysiłków kulturalnych, by wzmocnił się front postępowych twórców, by zatriumfowała właściwa hierarchia wartości w naszej pracy kulturalnej! Wtedy łatwiej rozprawimy się z obskurantyzmem, który zagraża naszej kulturze, który pragnie nas zepchnąć w mroki średniowiecza. Nie lekceważmy najmniejszych przejawów ciemnoty; okazuje się, że w okolicznościach sprzyjających potrafią one poważnie zmącić obraz naszego życia.

Kosztowy — Brno — Melbourne — Sztokholm — ?... Rzym!

»CHUCHRAK«

NAZWY tej miejscowości nie szukajcie na mapie; daremne wysiłki! Kilkanaście domów, szmat pola i lasu, jakaś wąska wstążeczka rzeczki — oto Kosztowy.

Jak to więc się stało, że wieś dotąd cicha, zagubiona — nabrała nagle rozgłosu, jej nazwa znalazła się na ustach całej Polski, wymieniana była przez zagraniczne gazety?

Stało się zwyczajnie — jak z tyloma innymi miejscowościami, które miały szczęście wydać na świat człowieka nieprzeciętnego. Tu w Kosztowych, nieopodal tętniącego życiem zagłębia węglowego, w ciszy wiejskich opłotków, narodził się talent wielkiego sportowca, jednego z najprzedniejszych biegaczy — Jerzego Chromika.

Tu stawiał w 1931 r. pierwsze kroki, tu przyjeżdżał potem na każdy wolny od nauki dzień, na każdy urlop — odbywając w krakowskim OWKS służbę wojskową, a obecnie przyjeżdża na odpoczynek po zawodach, po męczących podróżach. Zagląda tu niespodziewanie, kiedy wszyscy sądzą, że jest w Warszawie, czy innej stolicy europejskiej, gdzie odbywają się właśnie zawody lekkoatletyczne. Zaraz po zakończeniu konkurencji nie czekając na bankiet, wsiada w pociąg lub właśną „Ifę" — i jedzie do rodzinnego zakątka...

ZMIENILI ZDANIE

BYŁ wątły, szczupły — nie potrafił niczym zaimponować kolegom. Był przedmiotem troski wychowawców w szkole, którzy go lubili i szanowali, za zaciętość w pracy nad sobą. W sali konferencyjnej Technikum Mechanicznego w Zabrzu, gdzie na przerwy między lekcjami schodzili się nauczyciele, bardzo często trwały ożywione dyskusje na jego temat.

— Trzeba by wciągnąć go do sportu — przekonywał nauczyciel w. f. prof. Zębaczyński. — Dzięki systematycznym ćwiczeniom rozwinie się układ mięśni, chłopak będzie silniejszy, a jego rozwój prawidłowy.

I zajął się Chromikiem nauczyciel w. f. Zostawał z nim po lekcjach, aplikując mu nowe ćwiczenia. Chromik ćwiczył bez przekonania. Zraził się do sportu przez udział... w Biegach Narodowych, kiedy to nie wytrzymał tempa i zrezygnował z walki. Był przez długie tygodnie głównym przedmiotem kpin kolegów. Ale trenował, pozostawał ze swym nauczycielem po lekcjach i ciągle powtarzał:

— Muszę im pokazać, choćbym miał zemdleć.

Przygotowywał się więc starannie do swych drugich w życiu Biegów Narodowych, w których miał startować już nie z przymusu, lecz chęci rewanżu. A potem się wycofać, nie biegać nigdy więcej — postanawiał! Stał na starcie roztrzęsiony. Koledzy ze szkoły spoglądali na niego z ironią.

— Po co startujesz? I tak będziesz ostatni! — śmiali się.

Strzał startera obudził go z letargu. Zerwał się do walki! Po pierwszym okrążeniu był czwarty, po następnym już drugi, a kiedy dzwonek oznajmił finisz, jego koledzy mogli oglądać szybko oddalające się plecy Jurka. Wygrał pierwszy bieg w swym życiu, przełamując niewiarę we własne siły, budząc zdziwienie i zainteresowanie kolegów. Zresztą nie tylko rywali szkolnych. „Chuchrak" — jak o nim złośliwie mówili, stał się tematem dnia, a po zawodach ściskał mu dłoń trener państwowy Forajter:

— Masz ładny, długi krok, będzie z ciebie dobry biegacz, ale musisz się rozróść, nabrać sił, trenować i jeszcze raz trenować...

PRZELICZYŁ SIŁY...

KIEDY raz zasmakuje się słodyczy zwycięstwa, trudno potem wycofać się z tego. Tak było z Chromikiem. Chociaż zaklinał się przed startem, że to jego drugi i ostatni start, zaczął potem chodzić na treningi do Górnika; uwag trenerów słuchał jak przykazań rodziców i trenował zapamiętale. Nie opuszczał się w nauce. W szkole był pierwszym uczniem przynosząc na świadectwach prawdziwą litanię ocen: „Bardzo dobrze"! Miał zresztą idealne warunki do nauki i uprawiania sportu.

Biegł czas na nauce, treningach, pracy społecznej i startach w zawodach międzyklubowych. Nazwisko Jurka coraz częściej pojawiało się na szpaltach gazet i to nie tylko śląskich. W 1951 roku — po pełnym sezonie startów, powołany został na obóz kadry ZS Górnik przed I Letnią Spartakiadą. W kilka tygodni później stał znowu zdenerwowany na starcie — jak wówczas w biegu, który zadecydował o jego sportowej karierze. Stał na białej linii, mając obok siebie najprzedniejszych biegaczy Polski, z którymi miał stoczyć walkę na dystansie 3000 m z przeszkodami, przy wypełnionych trybunach stadionu Wojska Polskiego.

— Nie wiem jak się to stało — opowiadał po spartakiadzie kolegom w szkole, którzy teraz stali się jak jeden mąż kibicami Jurka. — Wyszedłem zaraz po starcie na czoło i kiedy po trzech okrążeniach stale prowadziłem, miałem taki doping publiczności, że nogi same mnie niosły. Jako pierwszy przerwałem taśmę, mając w dodatku najlepszy czas w eliminacjach. W finale przeliczyłem swe siły. Chciałem rozwiązać walkę podobnie jak w eliminacji, nie wytrzymałem tempa i zostałem pokonany przez brak doświadczenia i młodzieńczy temperament — jak w pierwszym biegu mego życia!

Ale i tak gazety pisały o Chromiku, jako o największej rewelacji I Letniej Spartakiady.

ZOSTAŁ MISTRZEM POLSKI

ROK olimpijski 1952. Na stadionach ruch, trwają gorączkowe przygotowania do wyjazdu na Igrzyska. Chromik jest w kadrze, trenuje pilnie, całą nadzieję pokłada w eliminacjach przedolimpijskich. Prześladujący go od pewnego czasu pech i tu go nie opuszcza. Na krakowskiej bieżni, prowadząc całą stawkę rywali, na dwa okrążenia przed metą odczuł straszliwy ból w nodze. O starcie w Helsinkach nie ma mowy. Jest zrezygnowany i chce nawet wycofać się z życia sportowego, gdy do Kosztowych listonosz przynosi depeszę:

— „Przyjeżdżać natychmiast do Wałcza! Stop! Mulak!"

W ciszy leśnej, pod okiem lekarzy sportowych leczył kontuzję i sposobił się do dalszych startów. Wytrwałość i praca uwieńczone zostały pod koniec sezonu. W drugim roku startów Chromik staje na podium zwycięzców mistrzostw Polski, zdobywając tytuł w biegu na 3000 m z przeszkodami! W zimie pilnie trenuje, a na wiosnę startuje w biegach na wszystkich dystansach. Bije rekord Polski na 1500 m — 3,52,7, by w dwa miesiące później rezultat ten poprawić na 3,50,4. Rozprawił się z rekordem Kusocińskiego na 5000 m — 14,21,6, a na 10000 m uzyskuje najlepszy powojenny wynik — 30,39,4. Był to dla niego najszczęśliwszy sezon.

Znowu zima i staranne przygotowania. Wiosną jedzie nad Sekwanę, pod olbrzymią wieżą Eiffla, startuje w tradycyjnym crosie „L'Humanite", mając za przeciwników najsłynniejszych długodystansowców świata. Po porywającej walce przegrywa tylko z aktualnym rekordzistą wszystkich kontynentów — Emilem Zatopkiem, wyprzedzając natomiast słynnych biegaczy radzieckich: Kuta i Anufriewa. Nazwisko Chromika wymieniane było we wszystkich językach europejskich. paryska „L'Equipe" typowała go na faworyta biegu 3000 m z przeszkodami na mistrzostwach Europy w Bernie (Szwajcaria).

Rekordzista świata na 3000 steeple — 3.32.0, najwszechstronniejszy Polski biegacz 7-krotnie poprawił rekordy Polski na dystansach od 1500 m do 10.000 m. Za swe wyniki odznaczony złotym medalem „Za wybitne osiągnięcia sportowe".

Oto jego rekordy życiowe:

1500 m —	3,44,8
5000 m —	15,51,0
10 km —	29,10,0
3000 m —	7,56,4
3 km przeszk.	3,32,0

PRZEKLĘTY PECH...

NA ZAWODACH poprzedzających mistrzostwa Europy, młody szczupły Ślązak uzyskiwał świetne rezultaty i był postrachem europejskich bieżni. Do Berna przyjechał jako faworyt, na starcie zagraniczni rywale uważnie mu się przyglądali. W eliminacji nie chciał się przemęczać, pamiętając dobrze pierwszy na przeszkodach bieg warszawski, którym zdobył sławę, ale nie tytuł. Tu pragnął zagarnąć tytuł. Biegł więc z rezerwą, a kiedy już jego rywale wykazywali zmęczenie wyszedł na prowadzenie, zwiększając przewagę. Jeszcze pół okrążenia i meta, gdy nagle po przejściu rowu z wodą zaczyna kuleć. Mijają go dwaj rywale, kończy bieg na 3 pozycji i kwalifikuje się do finału. O dalszym starcie nie ma mowy.

Znowu kuracja i znowu dobre wyniki. Spełnia przepowiednię speca lekkoatletyki red. Gastona Mayera, który jeszcze w Bernie napisał: „Polak w niedługim czasie rozprawi się z rekordem świata na 3000 steeple". Tak też się stało! W 1955 roku — w rok po berneńskiej kontuzji, tym razem na stadionie Brna (CSR) bije rekord świata — 8,41,2, poprawiając go w Budapeszcie na 8,40,2. Znajduje się w formie i bez namysłu wytypowany został do olimpijskiej ekipy na wyjazd do Melbourne. Nie dane mu było i tam zwyciężyć. Choroby żołądka, a potem ciężki kryzys formy uniemożliwiają mu starty. Chromik przeżywa tragedię pozostawiony sam sobie, traci kolegów i przyjaciół. Tym razem nie traci on sam nadziei. Startuje często w zawodach na krótszych dystansach. Odzyskuje równowagę psychiczną i formę.

PIĘKNY HAPPY END

POLSKI „wunderteam" lekkoatletyczny kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa. W pięknych pojedynkach z NRF, Czechosłowacją, Anglią w roku 1957, Chromik nie bierze udziału. Jego „come back" do narodowej drużyny nastąpił w najważniejszej chwili: w meczu z reprezentacją USA na Stadionie Dziesięciolecia. Początkowo mówiono, że pobiegnie na 5 km., ale ostatecznie zobaczyliśmy go na starcie jego specjalności — 3000 steeple. Wspaniały bieg i zwycięstwo w czasie nowego rekordu świata — 8,32,0! Po trzech latach rekord powrócił znowu do skromnego biegacza z Kosztowych...

Rekord to jednak nie wszystko. Każdy sportowiec marzy o medalu, o złotym medalu olimpijskim, a choćby nawet mistrza Europy. Jurek jedzie do Sztokholmu, ale nikt nie ośmiela się głośno typować go na zwycięzcę. By znowu nie speszyć chłopca, by nie... wywołać wilka z lasu. Z niepokojem oczekujemy eliminacji, które przebrnął bez wysiłku. Wreszcie finał i... resztę znacie. Zwycięstwo! Triumf okupiony tyloma niepowodzeniami ,które nie potrafiły tego prawdziwego sportowca załamać. Wrócił do domu szczęśliwy jak nigdy, rekordzistą świata i mistrzem Europy!

JERZY WYKROTA

W sporcie i tak bywa

We Francji skradziono w roku 1957 — 4370 samochodów — policja odnalazła 1267.

• • •

W Brazylii, podczas meczu piłkarskiego, wylądował w bramce jednej z drużyn, niespodziewanie spadochroniarz potrącając bramkarza. W tej chwili padł strzał i sędzia uznał bramkę, opierając się w swej decyzji na punkcie przepisów, który mówi o „sile wyższej".

• • •

Kolegium sędziowskie Szwedzkiego Związku Piłki Nożnej stwierdziło, że w roku 1958 najwięcej wykroczeń chuligańskich zanotowano podczas jednego z meczów drużyn... policyjnych. Aż 6 zawodników zostało usuniętych z boiska.

• • •

Czołowa drużyna piłkarska Francji posiada jako talizman... 4-letniego żywego krokodyla. Zawodnicy wożą go na wszystkie mecze. Podobno krokodyl z zaciekawieniem śledzi zmazania swoich opiekunów na boisku.

MĘŻCZYZNA O ZŁOTYM SERCU

ZEGAR w jednym z komisariatów policji w Chicago wybił właśnie godzinę piątą, kiedy przyprowadzono wysokiego 17-letniego młodzieńca przytrzymanego półtorej godziny temu pod zarzutem jazdy w skradzionym samochodzie. Młodzieniec upierał się przy zdaniu, że otrzymał od jakiegoś nieznajomego polecenie przewiezienia jego samochodu ze stacji samochodowej, gdzie był zatrudniony do wyznaczonego parkingu, i otrzymał za tę przysługę 1 dolara.

Nie było nikogo, kto mógłby zeznania młodzieńca potwierdzić, ponieważ warsztat samochodowy był już zamknięty, nie można też było sprawdzić, kto jest właścicielem wozu, a meldunek posterunkowych brzmiał: „W mieszkaniu młodzieńca nie można nikogo zastać".

— Uważaj mały — powiedział wachmistrz, czy nie możesz wskazać żadnego człowieka, przez nas osiągalnego krewnego, względnie przyjaciela?

— Oczywiście — odrzekł młodzieniec z namysłem. — Mógłbym wskazać jednego, którego możecie osiągnąć telefonicznie.

W pół godziny później do izby przytrzymań wstąpił wysoki Murzyn o giętkich, wysportowanych ruchach. Jego zęby zabłysły w szerokim uśmiechu, w obramowaniu ciemnej twarzy, gdy zobaczył młodzieńca. Wtedy dopiero młodzieniec zaczął mówić szczerze: przed miesiącem rodzice jego rozeszli się, nie wie do tej pory gdzie się znajduje ojciec, a matka pracuje jako sprzątaczka w jakichś biurach.

— Znam tego chłopca dobrze — wyjaśnił Murzyn funkcjonariuszowi policji. — I nie wydaje mi się, żeby mówił nieprawdę. Możecie go spokojnie oddać pod moją opiekę, jestem przekonany, że sprawa wyjaśni się w ciągu przedpołudnia.

— Jest pan jego krewnym? — zapytał wachmistrz.

— Nie, tylko przyjacielem. Nazywam się Jesse Owens. Ten młodzieniec należy do naszego młodzieżowego klubu...

— Jesse Owens? — przerwał wachmistrz. Czy aby się nie przesłyszał? Oczyma wyobraźni zobaczył przed sobą tytuły gazet z odległego lata 1936 r.: ku zdumieniu całego świata zdobył młody Amerykanin w czasie Igrzysk Olimpijskich w Berlinie złote medale nie tylko w biegach na 100, 200 metrów i skoku w dal, ale także zapewnił sztafecie amerykańskiej 4×100 m, czwarty złoty medal. I właśnie ten Jesse Owens, legendarny niemal triumfator olimpiady, wstał pewnej zimowej nocy z łóżka, aby na komisariacie policji ręczyć za młodego czyściciela samochodów!

Już przed południem odszukał Owens w warsztacie samochodowym świadków, którzy potwierdzili zeznania młodzieńca. Wiele lat później młody człowiek wyrósł na solidnego sportowca, był podporą w drużynie sportowej swego uniwersytetu.

Charakterystyczny jest dla Jesse Owensa powyżej opisany wypadek i doskonale określa ogromną sympatię jaką zwycięzca olimpiady z Berlina cieszy się wśród niezliczonych mieszkańców Chicago. Nazywają go w tym olbrzymim mieście „mężczyzną o złotym sercu" i dodają nie pytani: — z biegiem lat ten połysk złota nie pokrywa się bynajmniej patyną. Dla młodzieży jest on bożyszczem, więcej — opiekunem i ojcem. Kosztuje go to nie tylko sporo straconego czasu i nerwów, ale i... pożera wiele jego zasobów materialnych.

44 lata ma dzisiaj Owens i w ciągu swojego żywota z powodzeniem pracował na różnych odcinkach zawodowych: jako agent ubezpieczeniowy w ubezpieczalni, w wielkich pralniach i zakładach czyszczenia odzieży, w biurach pośrednictwa pracy, prowadził też własne przedsiębiorstwa itd. „Gdyby Jesse chciał rzeczywiście dobrze zarabiać, mógłby zostać bogatym człowiekiem", powiedział kiedyś jeden z jego wspólników. „Ale szkoda mu

Jesse Owens

na to czasu, musi go przecież poświęcać swoim chłopcom".

Jego intensywne zainteresowanie „swoimi chłopcami" datuje się już od roku 1949, kiedy Jesse Owens zamieszkał w Chicago. Zagadnienie chuligaństwa i przestępczości wśród młodzieży stawało się wtedy problemem numer jeden społeczeństwa zamieszkałego na przedmieściach tego wielkiego miasta. Owens zadeklarował wtedy swoją pomoc w założeniu młodzieżowych klubów sportowych w najbardziej podejrzanych dzielnicach miasta.

Stałym gościem bywał właśnie w tych zakątkach, gdzie policja notowała największą ilość dokonanych przestępstw. Powoli werbował chłopców. Po dwóch, po trzech, po czterech przechodziło ich do nowozałożonych sekcji koszykówki, base - ballu, hokeja i rugby. Po treningach Jesse Owens fundował tym podejrzanym młodocianym typkom kanapki i limoniadę. Wspominając o tym śmieje się i powiada: — „Tanio ich wtedy kupiłem". Ale czy tylko tym ich kupił? Może olśnił ich blask czterokrotnego medalisty z Berlina? A może Jesse miał specjalny dar rozmawiania z nimi?

— Czy miałeś dużo pieniędzy, nim się stałeś sławny? — pytali jego młodociani przyjaciele. — Przecież bez pieniędzy nie można pozostawać uczciwym facetem.

Pieniądze? Nie. Ojciec Owensa był biednym dzierżawcą w Alabamie, a on sam, siódme dziecko spośród 11-cioro rodzeństwa, znał dobrze smak kartoflanych łupin.

Szczęście? Kiedy rodzina jego przeniosła się do Cleveland, pracował od 11 do 17 roku życia codziennie w warsztacie szewskim, po południu chodził do szkoły, a w soboty i niedziele dorabiał czyszczeniem butów na ulicy. Aby móc uczęszczać na uniwersytet w Ohio, musiał Jesse przez dwa lata codziennie przez osiem godzin obsługiwać dźwigi pewnego magazynu, a w następnych dwóch latach obsługiwać stację benzynową i pełnić funkcję gońca w senacie miasta Ohio.

— Ale trzeba się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą, aby zostać mistrzem olimpijskim — upierali się przy swoim młodzi ludzie.

— Niech wam tego nie wmawiają. Aby być zaliczonym do drużyny olimpijskiej musiałem przez osiem lat prowadzić żelazną dyscyplinę życia i przeprowadzać twardy trening.

W krótkim czasie doprowadził Owens do tego, że zgłaszali się do niego sami przywódcy młodzieżowych gangów. Przyprowadzali z sobą swoich kolegów, zapisywali się do różnych klubów. Początkowo było ich 150, wkrótce 1500 i żaden z tych młodych ludzi nie popadł w późniejszych latach w poważniejszą kolizję z prawem.

Argumenty Owensa były proste: „Wy wszyscy chcecie kiedyś zostać championami? Trzeba więc najpierw mieć sportowego ducha. Trzeba być najpierw sportowcem z przekonania, z zasadami, trzeba się podporządkować sportowym regulaminom, tym pisanym i zwyczajowym. I to nie tylko na boisku sportowym, ale i w życiu.

Owensowi zawdzięczają pracę, przyjemne spędzenie wolnego czasu, wakacji setki ludzi. Niezliczonym potrafił on, dzięki swym staraniom, zapewnić minimum egzystencji. Potrafił też wpłynąć na niejednego ojca rodziny, aby nie przepijał swojej pensji, uregulował niejedne sprawy rodzinne. Wygłaszał rocznie 200 odczytów o sporcie w różnych środowiskach, pracował społecznie w klubach, a przecież sam był już ojcem trojga dzieci i miał wyczerpującą pracę zawodową.

Był rok 1955, kiedy Jesse Owensa spotkało pierwsze oficjalne uznanie. Ministerstwo spraw zagranicznych USA wysłało go w podróż do Indii, Singapuru, na Malaje i Filipiny, aby tam wygłaszał swoje sportowe odczyty. A w 1956 r. delegowany został na Igrzyska Olimpijskie do Melbourne. I lepszy z niego był „ambasador sportowy" USA, niż z niejednego dyplomaty... polityk.

ANEGDOTY SPORTOWE

Jeden z dziennikarzy zapytał kiedyś Manuela Fangio, w czasie jakiego wyścigu musiał wykazać maksimum zręczności i kiedy był ze swych umiejętności i ze swego refleksu najmniej zadowolony.

— W obu wypadkach było to podczas zeszłorocznego wyścigu o Grand Prix Maroka — odparł mistrz bez namysłu.

— Jasne — przypomniał sobie dziennikarz. — Wtedy miał pan najpierw poważne uszkodzenie koła, a później został pan omyłkowo zatrzymany na trasie przez kierownika wyścigu Roche'a.

— Nie, nie dlatego. Zostaliśmy wszyscy, to znaczy wszyscy kierowcy, w przed dzień wyścigu zaproszeni przez króla Maroka na tradycyjną, arabską „diffę". Musieliśmy stwierdzić, że spożywanie diffy trzema palcami wymaga większej zręczności, niż prowadzenie wozu.

★

Hemingway zawsze twierdził, że pisanie jest tylko... rzemiosłem. Miał dwóch wielkich nauczycieli: poetkę Gertrudę Stein i poetę Ezrę Pounda. Kiedy po drugiej wojnie światowej przyjechał jako korespondent „Toronto Star" do Paryża, zaczął się parać na serio literaturą. Często przebywał w towarzystwie paryskiej cyganerii, a zaprzyjaźniwszy się z Poundem, zaproponował mu wzajemną wymianę doświadczeń: Hemingway miał ich udzielać z zakresu... boksu, a Pound z literatury.

Po pierwszych stoczonych rundach sparringowych Hemingway ocenił bezpardonowo:

— Boksujesz powoli jak rak, a kryć się także nie potrafisz.

Na to Ezra Pound przejrzał jego rękopisy, czerwonym ołówkiem przekreślił wszystkie przymiotniki i napisał: określenia, mówiąc:

— Zacznij synku czytać francuską prasę sportową. Zwłaszcza sprawozdania z zawodów. Oni są rzeczowe, bo muszą być rzeczowe. Tam nie można bujać, za dużo jest świadków, którzy wydarzenia sportowe przeżywają całym sercem.

I Hemingway zastosował się do jego rady...

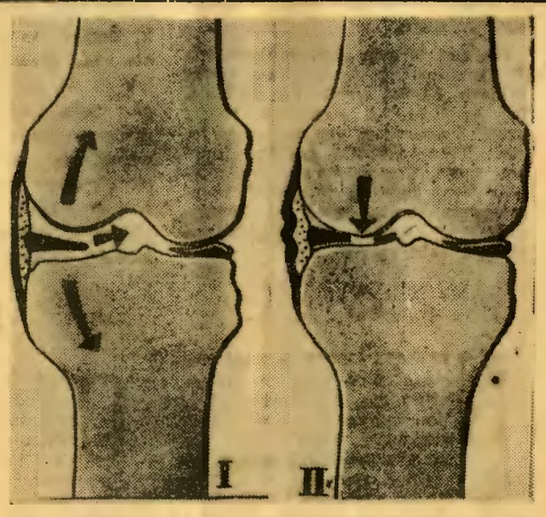

LANCET CHIRURGA PRZYJACIELEM SPORTOWCA

NIE BRAK w historii sportu przykładów, że lekarz bywa cichym współtwórcą błyskotliwych sukcesów zawodnika na stadionach. Tak było np. z Jules Fontaine, znakomitym napastnikiem drużyny Francji na mistrzostwach piłkarskich świata w Szwecji, rekordowym strzelcem tej imprezy. Pół roku przed swymi imponującymi występami w finałach Pucharu Rimeta, Fontaine poddał się poważnej operacji niebezpiecznego nowotworu w kolanie prawej nogi. Przy operacji tej uczestniczyło w charakterze obserwatorów dwóch fotoreporterów i redaktor miesięcznika „Sport et Vie" („Sport i Życie"). Oto przebieg operacji w ich relacji:

„Ostrze lancetu zalśniło błyskawicą. Chirurg przystąpił do serii swych zwykłych czynności. Wiedziony pewną ręką instrument przeciął skórę i pogrążył się głęboko w ciele. Było nas ośmiu w tym zakątku szpitala. Siedmiu w bieli, z maskami na twarzach: profesor, jego asystent, dwie pielęgniarki, fotografowie Jaques Boisleme i Roland Gota, ja i Jules Fontaine pogrążony w nieświadomości na skutek narkozy. Jego prawa noga, która strzeliła tyle bramek, zwisała teraz na wózku operacyjnym niczym bezużyteczny przedmiot. Zabieg, rozpoczęty nacięciem szerokości ok. trzech centymetrów, był dalej kontynuowany i prowadził do rozszerzenia operowanego miejsca.

Powietrze w pokoju nasycone było specyficzną wonią. Z naciętej nogi nie spadła ani jedna kropla krwi. Tak, ale noga piłkarza trzymana była przed zabiegiem przez dziesięć minut w pozycji pionowej, a następnie podwiązano ją mocno u nasady uda.

Pozbawiony przytomności Fontaine dawał jednak znaki życia: z jego ust, prowadziła długa, czarna, kauczukowa trąbka do przedmiotu przypominającego bokserską gruszkę treningową. Przedmiot ten wydymał się i spłaszczał, zgodnie z rytmem oddechu pacjenta.

Lancet rzucał dalej olśniewające błyski. Cała ta scena czyniła wrażenie czegoś nierealnego. Nie budziła oczekiwanych dreszczów. Trzeba przyznać, że widok krwi budziłby na pewno większą sensację.

Z kolei — mechaniczny gest, trochę podobny do ściągania przez kobietę pończochy i chirurg odrzucił gazę osłaniającą skórę. Zwisająca noga ukazała się zabarwiona jodyną. Profesor czynił wrażenie, że wprost z beztroską radością spełnia swe zadanie. Słychać było jego trochę świszczący oddech. Od czasu do czasu zza maski padał krótki rozkaz: „Nożyce". W końcu ukazał się rdzeń wewnętrznego nowotworu — przedmiotu cierpień piłkarza i zabiegu chirurgicznego. W kilka sekund później odcięta chrząstka znajdowała się na końcu nożyczek profesora, który pokazał ją ruchem dentysty demonstrującego wyrwany ząb i oświadczył:

— Jak przewidywaliśmy, nowotwór był pęknięty...

Otwarte miejsce przypominało rozłupaną ostrygę. Zasklepiono je troskliwie. Chirurg zdjął maskę i udał się do innych cierpiących. Operacja trwała kwadrans. Wózek odwiózł Fontaine'a, ciągle uśpionego, ale uwolnionego od bandaży, do białego łóżka.

Po dziesięciu dniach, Jules trochę kulejąc opuścił klinikę. Po niezbędnym okresie rekonwalescencji znów zaczął zajmować się piłką. Wróciła mu poprzednia sprawność, dzięki wspaniałemu chirurgowi, który przed operacją powiedział do nas:

„Zgoda. Będziecie mogli asystować przy operacji. Wolno wam będzie fotografować, opowiedzieć o jej przebiegu. Lecz moje nazwisko i siedziba kliniki pozostaną nieznane".

DLA ODMIANY PSYCHOZABAWA

PSYCHOLODZY amerykańscy opracowali pewien test psychologiczny, składający się z 40 przysłów i 160 ich tłumaczeń. Twierdzą oni, iż są w stanie na tej podstawie określić z dość dużą dokładnością charakter badanej osoby. Przedstawiamy Ci, Czytelniku część tego ciekawego testu, składającą się z 10 przysłów. Pod każdym z nich znajdziesz 4 tłumaczenia. Wybierz to, które wydaje się Tobie osobiście najtrafniejsze, które najlepiej oddaje s e n s danego przysłowia. Poszukaj następnie objaśnienia co wynika z faktu, iż wybrałeś to a nie inne tłumaczenie. Być może, rzeczywiście pomoże Ci to w zrozumieniu własnego charakteru — jeśli nie, to w każdym razie zapewni kilka minut dobrej zabawy.

OBJAŚNIENIE PSYCHOZABAWY

Odpowiedzi „d" i „y" są najlogiczniejsze. Jeśli na 10 odpowiedzi zanotowałeś 7 razy „d" lub „y" to jesteś w porządku. Potrafisz logicznie myśleć i znasz się na subtelnościach myślowych i językowych. Jeśli zanotowałeś aż 8 odpowiedzi tego typu, to masz powód do dumy. Jesteś inteligentniejszy od przeciętnego czytelnika. 9 odpowiedzi. Brawo, jeszcze raz brawo! A 10 na 10 — nie na bierzesz nas... Nie uwierzymy.

Gdy natomiast zanotowałeś „a" i „z" to należy z tego wnosić, iż masz zmysł praktyczny. Jedna taka odpowiedź świadczy, iż jesteś rozumnym i rozsądnym człowiekiem. Dwie — że stuprocentowym realistą. Trzy — świadczą, iż Twoje poczucie rzeczywistości jest cechą dominującą. Natomiast więcej niż trzy — to już sygnał ostrzegawczy. Jesteś stanowczo zbyt praktycznie nastawiony do życia codziennego i nie dostrzegasz jego prawdziwych uroków. Niedobrze!

Odpowiedzi „b" i „w" wykazują, iż nie łatwo Ci skoncentrować się. Masz skłonność do typowej gonitwy myśli. Jedną tego rodzaju odpowiedź można przeboleć, ale dwie świadczą już o roztargnieniu. Trzy — musisz stanowczo się skupić. Cztery — to już znowu sygnał alarmowy!

Najtrudniej z odpowiedziami „c" i „z". Tak oceniają ludzie o wybitnie rozwiniętym poczuciu moralności, dzięki czemu sądzą bardzo surowo swoich bliźnich. A może i Ty tylko dlatego je wynotowałeś, gdyż wydawały Ci się takie szlachetne? Jedna taka odpowiedź — wskazuje na właściwą postawę etyczną. Dwie zakrawają na purytanizm. Trzy — trudno żyć w dzisiejszych czasach człowiekowi o takich „żelaznych" zasadach. Cztery? Nie należy nigdy przesadzać na wet w cnocie, moralności i etyce.

No i jak? Zgadza się? Napiszcie nam.

Uwaga: Część tej psychozabawy podawał już „Przekrój". My staraliśmy się — w miarę możności — dostosować podane przysłowia amerykańskie do znanych polskich powiedzonek.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni

a) Głupcem jest ten, kto oczekuje od jabłoni gruszek.
b) Co się gdzie zasadzi, to tam wyrośnie.
c) Złego nigdy nie da się ukryć.
d) Po czynach poznaje się człowieka.

Nie mów hop, póki nie przeskoczysz

w) Najpierw się skacze, później się krzyczy.
x) Tylko temu kto wierzy w przyszłość pomagają niebiosa.
y) Nie chwal się przedwcześnie.
z) Czyń co do ciebie należy i nie martw się o jutro.

Z dużej chmury mały deszcz

a) Potężna chmura zwiastuje mało opadów.
b) Po niewielkim deszczu jest mało chmur.
c) Im twardsza praca, tym miększe łoże.
d) Poważne problemy dają się nieraz łatwiej rozwiązać, aniżeli te drobne.

Mierz siły na zamiary

w) Nigdy nie należy ryzykować.
x) Grzesznika kochać, to zbyt trudne nawet dla świętego.
y) Dobrze przemyślany plan jest zawsze najlepszy.
z) Należy się nad wszystkim zawsze dwa razy zastanowić.

Aby złapać złodzieja — weź złodzieja

a) Złodziej wie najlepiej gdzie się złodzieje obracają.
b) Dlaczego nie zaprząc złodziei do służby sprawiedliwości?
c) Zło zawsze samo sobie kopie grób.
d) Do specjalnych zadań zawsze potrzeba specjalistów.

Nie suknia zdobi człowieka

w) Pod suknią wszystkie kobiety są takie same.
x) Kobieta może przyozdobić ciało, ale nigdy duszy.
y) Charakter jest ważniejszy, niż wygląd zewnętrzny.
z) Ładne opakowanie nie świadczy jeszcze o wartości towaru.

Co za dużo, to niezdrowo

a) Nie buduj nigdy na niepewnym gruncie.
b) Jak nie będziesz się obżerał — to nie zachorujesz.
c) „Bogactwo" i „Bieda" zaczynają się na tę samą literę B.
d) Nawet dobre rzeczy w nadmiarze mogą zaszkodzić.

Każdy łańcuch wytrzyma tylko tyle, ile jego najsłabsze ogniwo

w) Igła z nitką we właściwym czasie uratowały już niejedną suknię.
x) Dobry człowiek jest w każdym wypadku dobry.
y) Błędy charakteru ujawniają się często dopiero w ciężkich chwilach.
z) Niedbałość w jednym miejscu może zepsuć całość.

Kto ujeżdża tygrysa, ten nie może zeń zsiąść...

a) Nie zaczynaj nigdy tego, czego nie możesz doprowadzić do końca.
b) Tygrys zawsze pozostanie tygrysem.
d) Minuta zapomnienia może niekiedy stanowić o życiu pełnym skruchy.
d) Ryzykowne przedsięwzięcie, często można tylko z dużym trudem przerwać.

Nowa miotła dobrze zamiata

w) Najlepsza jest zawsze miotła sąsiada.
x) Porządek zrobić u siebie rzecz zwykła, u drugich — zadowolenie.
y) Zmiana zawsze czyni dobrze.
z) Dobrze zamiata się tylko raz.

SKROMNY ARTYSTA

Dwaj wielcy mistrzowie kompozytorzy Rossini i Boieldieu, mieszkali w Paryżu w tym samym domu. Rossini zajmował piętro, Boieldieu — parter.

Pewnego wieczoru po pierwszym wystawieniu opery Boieldieu'a „Biała dama", cały kulturalny i muzyczny Paryż przybył na bankiet do kompozytora. Wśród gości był również Rossini. Rozrzewniony Boieldieu, widząc go przed sobą składającego gratulacje, rzecze:

Ależ mistrzu nie mogę przyjąć tych wyrazów uznania od pana, który tyle wyżej stoi ode mnie.

— Niewątpliwie, niewątpliwie — odpowiedział na to zręcznie Rossini, ale tylko wówczas, gdy wracam do domu, aby się położyć do łóżka.

Listy PANA ZAGŁOBY

DO IMĆ PANA MICHAŁA WOŁODYJOWSKIEGO PUŁKOWNIKA W SŁUŻBIE KRÓLEWSKIEJ

KOCHANY PANIE MICHALE!

LUBOM listów od acana tyleż a c c u r a t t i s s i m e otrzymał, ile kot napłakał, urazy nie żywię — ba, sam pierwszy do Cię piszę, na znaczną d i f f e r e n t i a m wieku i godności nie bacząc. Jako Chrystus Pan łotrowi przebaczył, takoż i ja Waćpanu wybaczam owo zdrożne pod mym adresem milczenie, rozumiejąc, iż jako v i r s i m p l e x i okrutnik w rozlewaniu krwie ludzkiej rozmiłowany, ni weny, ni czasu na paranie się piórem nie najdujesz.

Nie myśl wszelako, iż z afektu osobliwego ku twej osobie to czynię. Na odwrót — wiem — ci ja, żeś acan na wdzięki niewieście okrutnie zajadły, chocia się wypierasz. Dlatego chcę Ci panie Michale opisać com parę niedziel temu w Warszawie widział. Tuszę, iż od owej relacyi żądze nieczyste tak się w Waszmości poruszą, że poczniesz przebierać nogami jako kur na śmietniku. Niechaj będzie to dla Ciebie kara, za to ześ zacną naszą kompanię, gąsiorek i pannę Anusię Borzobohatą dla Tatarzyna porzucił. E r g o i n i c i p i a m:

Trza Ci panie Michale wiedzieć, czym ostatnio żywie cała Rzeczpospolita. Otóż wszystki naród (dzieci, przy piersi wyłączając) podzielił się jakoby na dwie partye, z których jedna niczym innym się nie para, jeno skrzykuje się po siołach i miastach i wybiera własną „miss". Owa „miss" jest to najgładsza i najbardziej w sobie przysadzista dziewucha z danej okolicy.

Gdy już wybiorą wszędy, w każdym mieście, tedy wiozą wszytkie do stolicy. Na wielgim zgromadzeniu, c o r a m p u b l i c o wybiera się spośród owych dzieweczek królowę piękności na cały rok pański, która — bywa — iż nawet do zagranic jeździ.

Strach powiedzieć jak się takowe c o n c o r s o odbywa. Boję się, iż z samej imaginacji szlag acana trafić może. Odmów tedy panie Michale zdrowaśkę i poleć duszę św. Ekspedytowi — patronowi niewinnych młodzianków, boć opiszę, co latoś czyniono w Warszawie pod bokiem Króla Jegomości.

Rzecz cała przypominała jakoby sąd Parysa albo pogański jarmark w Galacie, gdy sprośny Turczyn o d a l y s k i na sprzedaż wystawia, a przed gawiedzią zachwala. (Bo trza Ci wiedzieć, żem i w Galacie bywał, gdzie też sułtańscy rzezańcy z racji pewnej sułtanki oko mi wypalili).

Gdy już sędziowie na wyściełanych stolcach zasiedli, naonczas przy dźwiękach janczarskiej kapeli wprowadzono na podwyższenie mendel dziewek przecudnej urody, wprzódzi dokumentnie krawieckim metrem wzdłuż i wszerz odmierzonych, — gołych jako tureckie święte, a umytych aż podziw.

Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... Powiadam Ci panie Michale — każda gładka na pysiu, każda cienka w pęcinie a gruba w klębach niby anatolijski bachmat.

Zaczęło się wotowanie. Wraz cała gawiedź, a zwłaszcza żakowie, czeladnicy i c h u l i g a n e s gwizdać poczęli, ryczeć, a pochutnywać, z wielką konfuzją owych panienek, które uczuły się jakoby na katowskim rusztowaniu.

Tu i ówdzie wszczął się tumult i w szable się bito, gdy przyszło do ostatecznego wyboru, która z dwu najkraśniejszych ma ostać v i r g o p u l c h e r r i m a P o l o n i a e. Pan Wiktorczyk z urzędu różne ucieszne i n t e r l u d i a czyniący ledwo z duszą uciekł.

Zanim się całe s p e c t a c u l u m skończyło, dwakroć cyrulik krew mi puszczać musiał, ile że przełożonym nad sędziami będąc (dla senatorskiej powagi), sam owe pomiary nadobnych ciałek w kącie za derą czyniłem. Takoż i pan Kmicic, który łokieć za mną nosił i cały czas okrutnie nozdrzami ruszał jak za kawalerskich czasów, nakazał pachołkowi grzeszne swe cielsko kańczugiem orać, a rankiem spowiadalismy się oba u fary.

Tak — ci to bawi się nasz naród. I jeszcze inaczej, boć nie opowiedziałem jeszcze o drugiej partyi.

Podczas gdy jedna część luda niewieście zadki kontempluje, insza w azard osobliwy się wdała. Ciż udział biorą w mnogich a rozmaitych zgadywaniach, które z francuska k w i z a m i zowią. Rzecz takoż dzieje się publicznie, jeno że nie na golasa.

Siedzi sobie po kilkoro na stołkach — buzia w ciup, rączki w małdrzyk, a mistrz ceremonii zagadki im zadaje: „która rzeka największa w Polszcze?" albo: „jakoż było na imię Abrahamowi?" Który największy statysta i erudyta — ten bogaty fant dostawa. Konia z rzędem, kolasę, lub mieszek dusiów.

Ja sam — jako że mąż ze mnie dowcipu rzadkiego — i wiedzy ogromnej—gęś tuczną i kopę jajec w pół koszku do domu przywiozłem. Wszystko za iście salomonowe odpowiedzi dane na wielgim k w i z i e, który odbywał się na odpuście w Grójcu.

Nie muszę tłumaczyć panie Michale, jak bardzo owe igry i konkursa na pożytek Ojczyźnie naszej idą. Roście z onych zabaw oświata powszechna i kultura. Maluczko a w kozi róg zapędzim Italczyków, którzy wspomniane k w i z y wymyślili. Niechaj wiedzą takoż panowie A m e r i c a n e s, że prochu nie wynaleźli. Nie straszno Zagłobom, Wołodyjowskim i Skrzetuskim, nie straszno i polskim Jagnom, Kachnom i Zochnom pierś p r o p u b l i c o b o n o wystawiać.

Bywaj acan zdrów, luby panie Michale i rośnij nam na pociechę, a najbarziej pannie Anusi Borzobohatej, która wielce na acana luta za ową przydługą absencję i jeno patrzeć, gdy z desperacji sama siegnie po laury jakowejś m i s s. Nie muszę nadmieniać, że w takowym razie nie miałbyś po co wracać z Dzikich Pól, ile że wokół każdej m i s s chłopy tańcują jako niedźwiadki wokół barci. Przyjeżdżaj tedy co rychlej i bierz (pod sakramentem oczywista), a pożywaj co Twoje, czego Ci życzy

Twój po ojcowsku życzliwy
ONUFRY ZAGŁOBA

Spisał i do druku podał
EDWARD PIESTRZYŃSKI

70 lat temu

TO CZYTALI NASI DZIADKOWIE

GIMNAZJUM POLSKIE W CIESZYNIE

Na Sląsku austryackim, w księztwie cieszyńskim, z dobrowolnych ofiar prywatnych utworzono polską Macierz szkolną, której celem jest otworzenie niższego gimnazjum polskiego w Cieszynie. Organizatorzy mają nadzieję, iż rząd z czasem obejmie to gimnazjum na swój koszt, jak wszelkie inne gimnazja w państwie. Właśnie szkoły tego zakresu Polacy na Szlązku nie posiadają.

HALKA PO WŁOSKU I ANGIELSKU

Opery Stanisława Moniuszki „Halka" i „Straszny dwór" wystawione mają być na scenach włoskich i angielskich. Rokowania w tym celu prowadzi z dyrektorami tych scen p. Władysław Miller, były śpiewak opery warszawskiej.

ŻONOM NIE WOLNO

Gazety petersburskie donoszą, że w instytucjach, gdzie znajdują się znaczne sumy pieniędzy, nie będzie wolno jednocześnie zajmować posad przez bliskich krewnych, np. ojca z synem, wuja z siostrzeńcem, dziadka z wnukiem, czy męża z żoną.

NOWE PISMO NA SZLĄSKU

Nakładem filii księgarni Twardowskiego w Poznaniu, zaczęło wychodzić z dniem 1 stycznia 1888 roku nowe pismo polskie p. t. „Górnoszlązak". Siedzibą pisma jest Królewska Huta na Górnym Szląsku.

GERMANIZACJA

Z zaboru pruskiego otrzymujemy coraz bardziej smutne wiadomości. Magistrat Poznania zaczyna dzieci polskie, umieszczone w miejskim zakładzie sierot, usuwać spod władzy dotychczasowych polskich opiekunów, a to jedynie w tym celu, ażeby po pewnym czasie oddać je do wychowania do domów czysto niemieckich, gdzieby zapomniały języka ojczystego.

PUŁAPKA NA MYSZY

Pożycie małżeńskie Chaplina z Litą Grey było bardzo nieszczęśliwe. Grey dokuczała mężowi tak długo, aż wreszcie małżeństwo to zakończyło się rozwodem. W czasie jednej z kłótni małżeńskich kiedy Chaplin czynił żonie gorzkie wyrzuty, Lita Grey wykrzyknęła:

—Czego chcesz ode mnie? Przecież to nie ja za tobą latałam przed ślubem.

— To prawda — odpowiedział Charlie — pułapki na myszy też nie latają za swoimi ofiarami, a jednak je łapią...

TADEUSZ ROJ — PEJZAŻ

Z TEJ ZIEMI

ZMARTWIENIA. Berlińska poczta odsyła nadawcom wszelkie przesyłki, które jeszcze ciągle nadchodzą (najczęściej z USA) na adres Ewy Braun i Adolfa Hitlera z dopiskiem: „Adresaci zmarli".

WISIELCZY HUMOR CZY ZMYSŁ REKLAMY? Ogłoszenie z „Frankfurter Neue Presse": „W niedzielę włamano się do okna wystawowego naszego sklepu, przy Rossmarkt 10 i skradziono wszystkie obrączki ślubne. Jest to najlepszym dowodem, jak są one poszukiwane. Będziemy niezmiernie radzi, jeśli nasze tradycyjne, gładkie, lub nowoczesne, grawerowane obrączki zainteresują i Was, ale prosimy już raczej podczas godzin sklepowych".

OCZYWIŚCIE SPORT. Na pytanie, czy to sportowi zawdzięcza swą długą młodość 78-letni radny miejski Paryża Pierre Ouerre — odpowiedział — oczywiście, z okna mego biura oglądałem codziennie gimnastykę młodych wioślarek. To znakomicie wpłynęło na moje samopoczucie.

LOGICZNE. Pewna firma kosmetyczna w Londynie zatrudnia jedynie sprzedawczynie o dobrej prezencji, ale tylko powyżej 50-tki. W ten sposób pragnie bowiem udowodnić, że i w tym wieku, przy odpowiedniej pielęgnacji można jeszcze bardzo korzystnie wyglądać.

RZADKI REKORD

Jak podaje „Ilustrowany Kurier Polski" p. Pędzichowej w Białymstoku udało się „uzyskać" na 30 zakupionych jaj — 30 cuchnących i p. Da widowicz z tegoż grodu, na 15 kupionych jaj — 15 cuchnących.

OGŁOSZENIE SIĘ NIE GNIEWA

Inserat z tegoż „Ilustrowanego Kuriera Polskiego". „Ogłoszenie z dnia 12 sierpnia 1958 roku na moją żonę Helenę Wierzbińską odwołuję i przepraszam. Stanisław Wierzbiński..."

MOŻE REMBRANDT ALBO TYCJAN?

Anons zamieszczony w „Echu Krakowa": „Kupię mały ręczny magiel i obraz".

TRZYMAJ MURY BO LECĘ PO PREMIĘ...

„Głos Pracy" donosi z Hrubieszowa: „...pierwszy po wojnie wybudowany tutaj większy budynek mieszkalny — jeszcze zanim został oddany do użytku musi przejść poważną operację. Mury budynku bowiem nieco się „rozłażą" i trzeba je wzmacniać klamrami".

CIEKAWA HODOWLA

Ogłoszenie z „Dziennika Bałtyckiego": „Chłopaka do prac fizycznych na hodowlę — przyjmę. Kack Wielki za pętlą trolejbusu 23 — Hodowla Neumann".

NARESZCIE

W „Kurierze Szczecińskim" wyczytaliśmy: „...Jeden z artystów, który zaczy gnował ostatnio z pracy w teatrze szczecińskim, zdobył niezwykłą „nagrodę pocieszenia", mianowicie wygrał 120.000 zł. w Toto - Lotka. Zapytany, na co zamierza zużyć wygraną — oświadczył, że dopiero teraz będzie mógł pomyśleć poważnie o studiach aktorskich".

A propos, czy nikt, ze śląskich aktorów nie zamierza grać w Totka?

ZA WCZEŚNIE CÓRECZKO, ZA WCZEŚNIE

Ogłoszenie z „Wieczoru": „Za długi mej córki Helgi Matejczyk ur. 28. 7. 1945 (!!/ — przyp. W. T.) zamieszkałej w Bobrownikach Śl. nie odpowiadam Magdalena Matejczyk, Bobrowniki Poprzeczna 4".

SAMOKRYTYKA RADNYCH

We wrocławskim „Słowie Polskim" przeczytaliśmy: „Prawie bez dyskusji przyjęli radni uchwałę o powołaniu Towarzystwa Ochrony Zwierząt i pomocy jakiej Towarzystwo ma udzielić (podkreślenie W. T.) Prezydium Rady Narodowej.

krzyżówka

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziomo: 1. „rycerz ognia", 3. ma związek z rosołem, 8. ssak morski, 10. czar, 12. kompan, 13. dzieło, 15. duże wzniesienie 16 okres czasu, 17. wezwanie, 18. lekki wietrzyk, 21. gol, 22. część całości, 23. nie zdobią twarzy, 24. kafelek do wykładania ścian, 25. słodki sok kwiatów, 27 trzos, kaleta, 31. osobliwość, 33. większa ilość papierów, akt, 35. żyje w wodzie, 36. góry w Europie 37 potocznie — elita, 39. marka motocykla, 40. płynny tłuszcz otrzymany z wieloryba, 41 zapisek, 42. domieszka do kawy

Pionowo: 1. zakład leczniczy, 2 dowcip, 4. pył, 5. niezręczne odezwanie się, gafa, 6 czyszczenie bielizny, 7. łączy je most, 8. coś słodkiego, 9. mądry ptak, 10. część twarzy, 11 monarcha, 14. rodzaj czapki, 15. nauka o liniach, figurach i bryłach, 18. rezerwa 19. malowidło ścienne, 20. zwaliska gruzy 23. wichura, 28. zapaśnik, 29 odkryty powozik, 30 uzdrowisko polskie, 31 instrument drewniany, 32 pora roku, 33. układ, 34 drzewo liściaste, 37. wczesna pora, 38. mocny trunek.

Wśród czytelników, którzy w terminie do dnia 13 bm. nadeślą trafne rozwiązania krzyżówki, rozlosowane będą nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy nadsyłać na adres: „Trybuna Robotnicza", Katowice, ul Mickiewicza 9, z dopiskiem: **Zagadka 235.**

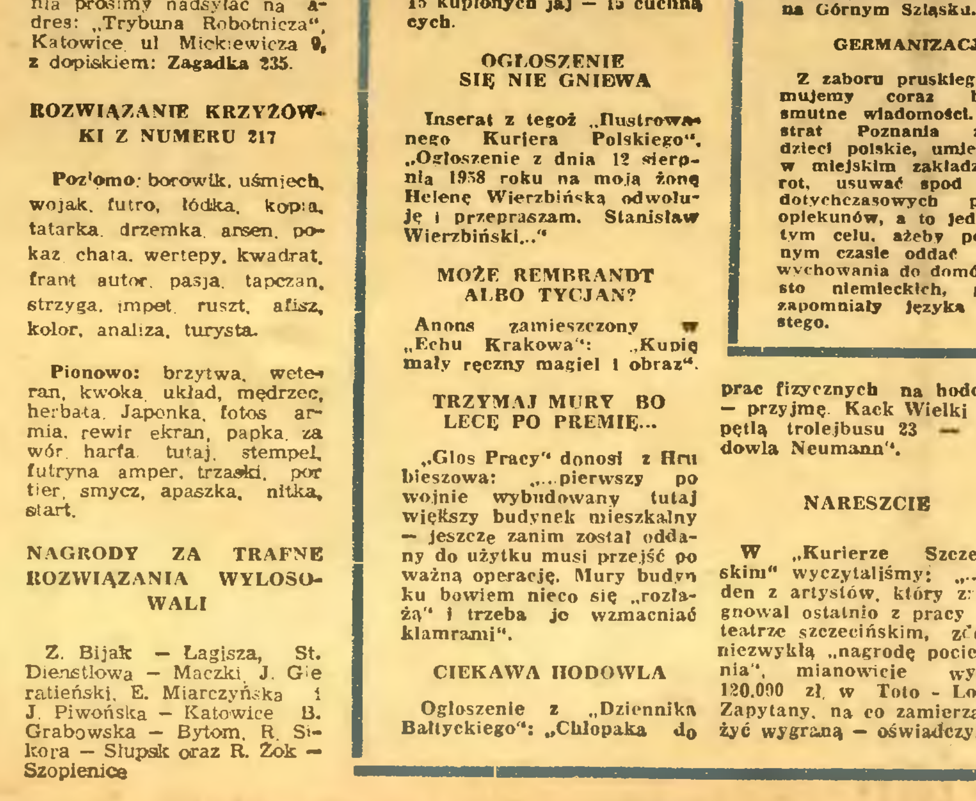

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 217

Poziomo: borowik, uśmiech, wojak, futro, łódka, kopia, tatarka, drzemka, arsen, pokaz, chata, wertepy, kwadrat, frant, autor, pasja, tapczan, strzyga, impet, ruszt, afisz, kolor, analiza, turysta.

Pionowo: brzytwa, weteran, kwoka, układ, mędrzec, herbata, Japonka, fotos, armia, rewir, ekran, papka, zawór, harfa, tutaj, stempel, futryna, amper, trzaski, portier, smycz, apaszka, nitka, start.

NAGRODY ZA TRAFNE ROZWIĄZANIA WYLOSOWALI

Z. Bijak — Łagisza, St. Dienstłowa — Maczki, J. Gieratieński, E. Miarczyńska i J. Piwońska — Katowice B. Grabowska — Bytom, R. Sikora — Słupsk oraz R. Żok — Szopienice

POWIEDZONKA

Francuski dyplomata Claude Ponisset: „Prawda jest tematem, który można zmieniać aż do tego stopnia, iż już go w ogóle poznać nie można"

Francuski psycholog Pierre Gelin: „Są mężczyźni, którzy nie myślą stale o dziewczętach. Ale jeśli już o czymś myślą — to właśnie o nich..."

Angielski kolekcjoner obrazów Philip H. Rowley: „Nowoczesne akty mają tę przynajmniej zaletę, iż można je bez najmniejszej obawy pokazywać dzieciom".

Amerykański ekspert pożarnictwa Tom Townsens: „Po dokładnym przestudiowaniu dostępnych materiałów muszę stwierdzić, iż najczęstszą przyczyną pożarów jest... ubezpieczenie od ognia".

Włoski generał Berra: „Muły i osły są dla armii niezbędne. Specjalnie nasze formacje górskie są zdane na inteligencję osłów"

Francuski biolog Jean Rostand: „Najgorszym obiektem dla studiowania nauki o dziedziczności jest człowiek. Rozmnaża się bardzo późno, płodzi mało potomstwa i posiada za dużo chromozomów".

Były amerykański prezydent Harry Truman: „Wynalazek samochodu posiada poważne znaczenie moralne. Od czasu jego popularności ilość koniokradów znacznie się zmniejszyła".

PLOTKI

M O T T O I: „Plotek słuchamy chętnie, chociaż nie zawsze odpowiadają one prawdzie. Ewentualne sprostowania zamieścimy z ochotą. Będzie to okazja do nowych plotek".

M O T T O II: „Nie powtarzamy plotek bezmyślnie, zawsze staramy się dodać coś od siebie".

Dyktator elegancji krajowej i „Magazynu Niedzielnego" Barbara Hoff ma ponoć w najbliższym czasie zmienić swój stan cywilny — tak przynajmniej twierdzi Janusz Minkiewicz. Szczęśliwym wybrańcem ma być pono, znakomity jazzolog Leopold Tyrmand, autor „Złego". Miejmy nadzieję, że z tej plotki nic z ł e g o nie wyniknie.

Noel Ranton i Leopold Borell to ponoć najbardziej popularni obecnie autorzy w naszym kraju. Pierwszy pisze nader zgrabne kryminały — drugi farsy i komedie sceniczne. Najciekawsze jest jednak to, iż obaj „cudzoziemcy" mieszkają w Krakowie i noszą jedno imię i nazwisko. Są to bowiem dwa „pseuda" znanego krakowskiego literata — ongiś podróżnika po Brazylii i autora mniej udanego kryminału o Mazurkiewiczu. Złośliwi twierdzą, iż skoro nasz znajomy zaczął tylko pisać pod innymi mianami, jego rzeczy natychmiast zdobyły powodzenie. Co to jednak znaczy cudzoziemskie brzmienie autora.

Wojciech Kilar bawił niedawno w Cieszynie Czeskim na premierze swego baletu wystawionego przez zespół amatorski z Cieszyna. Kompozytora uroczyście i serdecznie powitał konferansjer, przedstawiając licznie zebranej publiczności Kilara, jako znanego, sławnego w kraju i za granicą kompozytora.., i niestety zapomniał jego nazwiska.

JEŚLI LUBICIE WŁOSKIE FILMY

Możecie oglądnąć „Dziewczęta z Florencji", ale ostrzegamy was z góry, że znacznie słabszy od filmu „Dziewczęta z międzymiastowej". Włosi widząc powodzenie poprzednich tego rodzaju filmów nakręcili jeszcze jedną historię chłopaka-uwodziciela i czterech dziewcząt, które on nabiera. Naturalnie trzecia wersja tej samej historyjki wypadła nieco blado, i mimo ciekawych twarzy oraz stosunkowo niezłej gry, „Dziewczęta z Florencji" nie zachwycają.

BARDZO CIEKAWY

Idźcie zobaczyć doskonały film dokumentarny zachodnio-niemiecki dr Grzimka pt. „Nie ma miejsca dla dzikich zwierząt". Ten świetny film o życiu wielkich dzikich zwierząt w Afryce i ich losie jest chyba jednym z nielicznych tego rodzaju dokumentów. Autor filmu dr Grzimek sam znany zoolog, wielki miłośnik zwierząt okazał się również doskonałym filmowcem. Jego film pokazuje nam dzikie zwierzęta tak umiejętnie, że po prostu oglądając film przeżywamy ich historię. Każdy kto zobaczy ten film zostanie raz na zawsze wielkim zwolennikiem tego typu kolorowych filmów dokumentarnych, których ciągle jeszcze odczuwamy poważny brak na naszych ekranach. Dlatego idźcie koniecznie zobaczyć.

DLA AMATORÓW CYRKU

Radzieccy reżyserowie przygotowali niewątpliwie ciekawy film „Chłopiec z gutaperki". Ma to być właściwie film dla młodzieży, i może rzeczywiście młodzież będzie się nim interesowała. Starszym odradzam raczej wybieranie się na ten film, gdyż jest on zdecydowanie łzawy, a miejscami zbytnio naiwny. „Chłopiec z gutaperki" to jeden z tych filmów, które trzeba zaliczyć do okresu drętwoty filmu radzieckiego, mimo, że film ten został zrealizowany stosunkowo nie tak dawno.

DO PRZYJĘCIA

Film francuski z Jean Gabin „Bez bólu". Jest to wprawdzie bardzo poprawna robota świetnego reżysera Jean Paul Le Chanois. Grają tak doskonali aktorzy jak Jean Gabin i Nicole Coureel. Sam temat — bezbolesne porody — jest pasjonujący. Ale niestety, do zrobienia naprawdę dobrego filmu nie wystarczył zręczny reżyser i doskonali aktorzy. Filmowi po prostu zabrakło treści. To znaczy, przepraszam, treść jest, nieciekawie podana.

COŚ Z NASZEGO PODWÓRKA

W tym jeszcze miesiącu wejść mają na ekrany trzy polskie filmy. Są to: „Popiół i diament", „Pigułki dla Aurelii" i „Pożegnanie". Filmów tych nie tylko że nie widziałem, ale nie pokazano nawet fotosów. Podobno reżyserzy sobie na razie tego nie życzą. Trudno mi więc coś o nich powiedzieć.

ADAM

DONOSZĘ ŻE...

...znany krytyk i redaktor naszego działu literackiego Zdzisław Hierowski, objął funkcję kierownika literackiego Teatru im. Wyspiańskiego i przeniósł się już na stałe do budynku przy ul. Warszawskiej. Felietony „Na widnokręgu" będą się oczywiście nadal ukazywały w „Magazynie". Poza tym red. Hierowski prowadzi redakcję terenową tygodnika literackiego „Odra". „Na widnokręgu" red. Hierowskiego znajdują się ponoć również nowe tłumaczenia z literatury czeskiej.

ROZMAITOŚCI

GUSTAW MORCINEK

Z WŁÓCZĘGI PO JUGOSŁAWII

MNIE BYŁO naprawdę żal tego kelnera w restauracji na lotnisku w Warszawie, lecz winę tu ponosi jakiś Francuz, który dotarł do Warszawy, a potem skarżył się przed polskimi dziennikarzami na kelnerów w Polsce. W tym wypadku miał na myśli kelnerów w ekskluzywnym warszawskim hotelu. Powiedział, że gdyby sądzić o Polakach na podstawie zachowywania się owych kelnerów, musiałby twierdzić, że wszyscy Polacy są gburami i nieokrzesańcami.

Nie wiem, ile słuszności miał ów zgorzkniały Francuz. Przypuszczam jednak, że lekko przesadził lub zbyt pochopnie coś tu uogólnił. Miałby jednak zupełną słuszność, gdyby był w moim położeniu, gdy lada chwila trzeba włazić do samolotu, gdy celnicy niecierpliwią się, bo chcą koniecznie zobaczyć, co wywożę do Jugosławii, by stąd wywnioskować, czym chudopachołek, czy też zawodowy przemytnik, a ja, głodny i złakniony przynajmniej herbaty, siedzę i siedzę przy stoliku dosyć brudnym, patrzę błagalnie na przechodzącego koło mnie bez celu młodego kelnera, puszczam mimo uszu jego cierpką uwagę: — Kolega obsługuje!... — a kolega tymczasem zabawia trzech panów w rogu restauracji. I chociaż patrzy na mnie raz po raz, i widzi moje dyskretne podnoszenie ręki, nic...

Poprosiłem bufetową, by mnie obsłużyła. Nie, ona nie może. Kelner to uczyni. To niech go pani poprosi, by mnie obsłużył. Poprosiła i nic. Poprosiła drugi raz, a on ofuknął ją, że tu nie jest piekarnia. Wtedy ja poprosiłem ją, ale o książkę zażaleń. I to dopiero poskutkowało. Stanął przede mną ze złymi oczami i patrzył ponuro, jak piszę w książce swoje żale. Potem przyniósł mi nareszcie tej herbaty, jakieś ochłapy szynki, porwał książkę i jął mi czynić wymówki, że niepotrzebnie wpisuję takie rzeczy do księgi zażaleń, cholera....

Było mi go więc poniekąd żal, gdyż tak bardzo się martwił.

Nie było mi go wcale żal, gdym zaczął wędrować po Jugosławii.

Wcale nie byłem podobny do bogatego „Ausländera", który płaci dolarami, wcale nie pozostawiałem samochodu przed hotelową restauracją, rozmawiałem z kelnerami po niemiecku, jako że po serbsku czy słoweńsku, czy kroacku, czy macedońsku ani w ząb. Jugosłowianie mówią: „makedońsku". A wiedziałem przecież, że Jugosłowianie jeszcze nie zapomnieli okupacji hitlerowskiej. I mimo to kelnerzy byli uprzejmi. I to jak uprzejmi! Dosłownie byłem zażenowany, gdy taki kelner z prawdziwego zdarzenia martwił się, że nie zjadłem tej potrawy, którą mi zalecał, jako serbski, czy macedoński, czy bośniacki, czy dalmatyński przysmak, kłaniał mi się w pas, gdy wychodziłem, otwierał drzwi, by następnym razem witać mnie z uśmiechem jakby swego wielkiego przyjaciela i prowadzić do stolika i ustawiać kwiaty, i doradzać, co by tu zjeść na obiad za 400 dinarów. A może wino takie i owakie? Może „Dingacz", a może „Muskat Ottonel", a może prima-wino „makedońskie" lub prawie czarne, ciężkie dalmatyńskie... A że wino u nich tanie, więc czemu nie? Raz takie, potem inne, a kelner patrzył na mnie i cmokał na znak, że czuje smak jego na języku. A gdy przyszło płacić rachunek, wcale się nie mylił w zliczaniu cyfr.

Portierzy w hotelach, to poliglota. Nic w tym dziwnego, lecz to jest dziwne, że gdy przyjdzie taki gość jak ja, który nie wiedział, iż w sezonie letnim trzeba zamawiać pokój w hotelu przez tamtejszy „Orbis", który nazywa się bardzo pięknie „Putnik" — gdy więc przyjdzie taki gość w nocy do hotelu, to wtedy portier najpierw bardzo się martwi, a potem prowadzi mnie do gabinetu dyrektora i kładzie na otomanie, by biedaczysko pątnik nie musiał nocować na dworcu lub w parku na ławie. Zacni ludzie!

Tylko ci kelnerzy! Ci mi najbardziej wleźli w głowę. Do garbatego diabła, czemu nie ciskają talerzami na stół, czemu nie traktują gościa jak uciążliwego przybłędy, czemu są tacy uprzejmi? To pachnie jakimś niesłychanie chytrym podstępem!

Nic podobnego! Po długim kołowaniu dowiedziałem się, że poza wrodzoną i nabytą kulturą odgrywa tutaj rolę ten drobny szczegół, iż każdy kelner jest zainteresowany komercjonalnie, jakby to określił ekonomista, innymi słowy, że każdy kelner otrzymuje jakiś tam procent — poza obowiązkowym napiwkiem — „od utargu".

Napiwki zaś są obowiązkowe. Wiadomo, południe, sąsiedztwo z narodem, gdzie wybujał ponad wszelkie zrozumienie „bakszysz". Ten bakszysz istnieje i w Polsce, tylko z tą różnicą, że jugosłowiański kelner dziękuje, jakby to był dolar, a polski nieraz nawet nie podziękuje. Nie dasz jednak napiwka, głowy ci nikt nie urwie. Tylko że potem innemu gościowi na drugi rok mówią, że byli tu tacy turyści jak na przykład Czesi, którzy są strasznie skąpi i nie dają napiwków.

A więc dla honoru Polski, pątnikując po Jugosławii, jako „ambasador polskości" — jak mnie pouczono w Warszawie, dawałem napiwki, by potem kelnerzy nas nie obszczekiwali, że jesteśmy liczykrupy i że gotowi jesteśmy targować się o głupich pięć dinarów, za które nic nie kupisz. Chyba wykałaczkę. Przepraszam! Kupisz pudełko zapałek, jeżeli dodasz drugich pięć dinarów. Czyli pudełko zapałek kosztuje naszego jednego złocisza. Ale za tych dziesięć dinarów kupiec odprowadzi cię do drzwi, otworzy je w głębokim ukłonie i usilnie namawia, by w razie potrzeby wstąpić znowu do niego po zapałki. Po papierosy też, których jest chyba cała setka o setce pięknie brzmiących nazw i w coraz piękniejszych pudełkach. No i znaczki listowe też ma. Zagraniczne? A jakże! Zagraniczne! A pocztówki, ho, ho! To fotografie na błyszczącym papierze, pięknie wykonane. I wieczne pióra czyli „nalivpera". Czego tylko pisząca dusza zapragnie!

I z tego powodu przez kilka dni wędrowałem bardzo smutny po rozsłonecznionej Jugosławii. Potem zapomniałem o smutku, bo wino było dostałe, „bez siarki" — jak mnie zapewniał rybak na wyspie Rab, czerpiący wino z piwnicznej beczki do sporego gąsiora i pojąc mnie nim zamiast wodą. Na wyspie Rab mało bowiem wody. Trzeba się myć w miseczce do golenia. Zresztą morze tuż tuż, można się w morzu umyć. Ale gdy morze jest błękitne i słone, to wino dalmatyńskie jest bardzo czerwone i bardzo dobre. Nie słodkie, nie wytrawne, takie pośrednie.

Pijąc je szczodrze, zawsze miałem na myśli prezesowskie błogosławieństwo, dane mi na drogę w Zarządzie Głównym Związku Literatów. Błogosławieństwa nie udzielał mi wprawdzie pan prezes, lecz urocza sekretarka w jego zastępstwie. A potem ni stąd ni zowąd zaczęła mówić o Hłasce. Że to i tam to, a że Paryż i jego wypowiedź w paryskiej „Kulturze"...

Pomyślałem, co za subtelność u pani sekretarki! A że przedtem wbito mi w głowę, iż każdy obywatel wyjeżdżający z Polski za granicę, jest ambasadorem polskości, więc zrozumiałem, o co jej chodziło. Słyszała już bowiem o owym winie jugosłowiańskim i dyskretnie mnie przeto ostrzegała bym nie wygłupiał się w Jugosławii, jak Hłasko w Paryżu, bym nie brał z niego przykładu, nie upijał się, nie plótł koszałek opałek.

Wziąłem przeto do serca owo błogosławieństwo na drogę i wina nie wypiłem wiele. Może tylko z pół beczki i to na bardzo gęste raty. Zresztą wiadomo wszystkim, że co innego wino, a co innego wódka. Wiadomo także wszystkim, że „in vino veritas", przeto Jugosłowianie dowiedzieli się ode mnie sporo pięknych rzeczy.

A wiedzieli bardzo mało.

Wiedzieli tylko tyle, że Tito całował się z Gomułką i że Warszawa została haniebnie zniszczona i że warszawscy powstańcy bronili jej przez długi czas. O tej Warszawie i warszawskich powstańcach wiedzieli z filmu „Kanał". To było wszystko.

Było mi smutno na sercu, że to już było wszystko, lecz pocieszałem się tym, że my wiemy niewiele więcej o Jugosławii.

Ale wracam do tej uprzejmości.

Zjeździłem Jugosławię wzdłuż i wszerz, i na poprzek kolejami szeroko i waskotorowymi, i wtedy zawsze przypominał mi się bardzo ciekawy szczegół. U nas na Śląsku zadomowił się zwyczaj, że gdy ktoś wchodzi do przedziału w wagonie to mówi: — Dzień dobry! — No, bo tak się chyba należy.

Obarczony tym przyzwyczajeniem wszedłem raz do wagonu w podstawionym pociągu pospiesznym w Warszawie, by pojechać do domu. W przedziale siedziała już jakaś kudłata dziewica pięknie pomalowana. Rzekłem przeto z owego przyzwyczajenia: — Dzień dobry! — i usiadłem. A tamta dziewica cisnęła: — Proszę nie zaczepiać!...

W pierwszej chwili oniemiałem ze zdumienia. Ja, stary dziadek, łysy, brodaty, szczerbaty zaczepiam dziewicę? Przecież mi ani w głowie powstały takie sprośne zamiary. Rzekłem przeto bardzo grzecznie, że broń Boże, nie zaczepiam, tylko pozdrawiam i że bardzo przepraszam, iż ośmieliłem się powiedzieć „dzień dobry". Wtedy ona mruknęła:

— Gbur!...

„Czyli — myślałem — jeżeli ktoś pozdrawia w Warszawie, to jest gburem!"

I jechałem smutny aż do Katowic. Wchodzili do przedziału pasażerowie w Koluszkach, Piotrkowie, Częstochowie, lecz czynili to jak spiskowcy, jak ludzie o złym sumieniu, nadąsani, zamknięci w sobie na siedem czarnych pieczęci. Dopiero w Katowicach rozwiał się mój smutek, bo wchodzili górnicy i każdy z nich rzekł: — Dobry wieczór!... Bo to już był wieczór, słońce zachodziło.

Wszystko to przypomniało mi się przeraźliwie, gdy przemierzałem Jugosławię kolejami normalnotorowymi i waskotorowymi. Gdy ktoś bowiem wszedł do przedziału, zawsze rzekł sakramentalne: — Dobr dan!... — czyli: „Dzień dobry"! — i z miejsca zaprzyjaźniał się ze wszystkimi.

U nas jeżdżą w pociągach ponuracy i milczki, w Jugosławii gaduły, takie strasznie kochane gaduły. Nie ujadę kilka stajań, a już wszystko wiem, dokąd ktoś jedzie, ile ma dzieci, co go boli, co jadł na obiad, jak się nazywa jego ciotka,

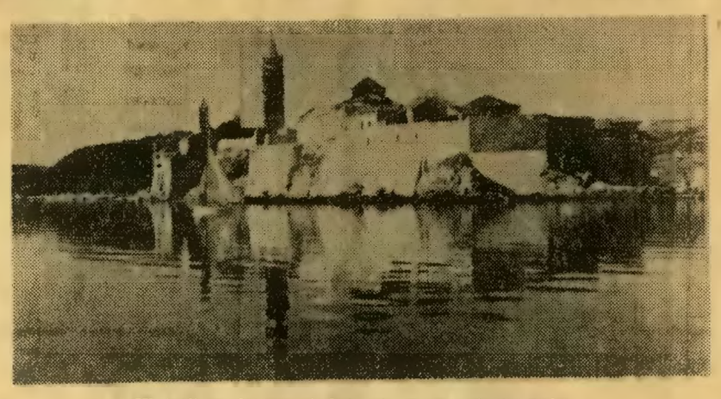

W tafli wody przeglądają się mury miasta Rabu.

gdzie pracuje, dokąd jedzie, po co jedzie, na jak długo wyjeżdża w daleki świat jugosłowiański. A przede wszystkim, że był partyzantem... Mam wrażenie, że wszyscy Jugosłowianie byli partyzantami. Z kim bowiem wszcząłem rozmowę, naturalnie po niemiecku i potem wyjawiłem, że jestem „Poljak" — gęby się rozjaśniały w szerokim uśmiechu i wtedy wmawiali we mnie, że są byłymi partyzantami. Uwierzyłem, bo gdy zaczęli opowiadać o

Osiołek jest nieocenionym zwierzęciem w górzystej Jugosławii. Zgrabnie wspina się z ładunkiem po stromych górskich ścieżynkach

tej partyzantce, włosy mi na głowie stawały ze zdumienia i kląłem z nimi niezgorzej od nich na przeklętego Hitlera. A gdy się potem dowiedzieli, żem był przez całą wojnę w niemieckim obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie było wielu Jugosłowian, a między nimi dwóch braci Kordiczów z wyspy Rab, którzy mi pośrednio życie uratowali — stawałem się przyjacielem całego przedziału i wszyscy zawierali ze mną przyjaźń do grobowej deski. Naturalnie nie obeszło się wtedy bez wina, zielonej papryki, ale tej słodkiej, co sobie z góry wymawiałem, pomidorów, salami i znowu wina.

Z tą papryką nabrała mnie bowiem polska ambasada w Belgradzie. Ale już jej przebaczyłem.

Przyleciałem do Belgradu, marynarkę zostawiłem w hotelu, pojechałem taksówką do ambasady, by się gwoli przyzwoitości przedstawić. Powinienem był wtedy wdziać frak, lecz, że w cieniu było 38 stopni ciepła, trudno myśleć o fraku. Mój były uczeń, pełniący funkcję woźnego, wywiózł mnie windą na drugie piętro i po drodze przypomniał mi, że raz dostał patykiem „po lajerze" ode mnie, bo nie wiedział, co to są przyimki.

— A teraz już wiecie?

Spojrzał na mnie ponuro i mruknął:

— Kicham na przyimki!

Ha, jeżeli kicha na przyimki, to znak, że moja nauka poszła w las.

— Z przyimków się nie strzela! — pocieszył mnie, gdyż zauważył, żem posmutniał.

— A z czego się strzela? — zapytałem ni w pięć, ni w dziewięć.

— Strzelałem z „Maschinpistole"!

— Gdzie?

— W titowskiej partyzantce!

Rany Boskie! Znowu partyzant! I pomyślałem, że teraz każdy Polak spotkany przeze mnie w Jugosławii, będzie chyba partyzantem. Coś do licha za dużo tych partyzantów! Ale widocznie byli, jeżeli posiadali swoje armaty, czołgi zdobyczne, samoloty także zdobyczne, kilka dywizji, samochody takie i owakie, angielskie zrzuty broni i czarnooką Maruszkę.

Sarajewo — miasto związane z wybuchem I wojny światowej. Na zdjęciu widok na meczet.

O tej Maruszce dowiedziałem się na wyspie Rab. Młody inżynier słoweński, mieszkający ze mną u rybaka, także był partyzantem. I była także polska dziewczyna, medyczka, Maruszka, która dziwnym trafem znalazła się w Jugosławii przed wybuchem wojny. Potem wojska hitlerowskie zajęły po Italczykach Jugosławię, a Maruszkę wraz z innymi dziewczynami i kobietami zamknięto w obozie koncentracyjnym. Przyszli partyzanci i odbili obóz. Maruszka poszła z nimi w góry. I wytrwała do końca. Inżynier mówił o niej ze wzruszeniem. Wywnioskowałem, że łączył ich bardzo głęboki stosunek uczuciowy. Słowo „Maruszka" wymawiał bowiem z dziwnym nabożeństwem. Od niej dowiedział się dużo o Polsce. Maruszka była partyzancką lekarką. Świetna dziewczyna! Wspaniała dziewczyna! Strasznie kochana dziewczyna!

— Co się z nią stało? — zapytałem.

— Wróciła do Polski. Dzisiaj jest lekarką w Warszawie...

— Czy pan z nią koresponduje?

— Nie. Jest mężatką...

Ponieważ więc między partyzantami była Maruszka, czemu nie miałby być mój były uczeń skoczowski, nie wiedzący, co to są przyimki. Wywiózł mnie przeto na drugie piętro i zaprowadził do gabinetu uroczego attache kulturalnego. Dziwna nazwa, ale niech będzie. I kamień spadł mi z serca, bo polski attache kulturalny urzędował także bez marynarki, a malutki wentylator dmuchał z biurka na jego twarz. I on to uraczył mnie sporym kieliszkiem „rakji" i jako zagryche podsunął mi zieloną paprykę. Ukąsiłem ten dziwny owoc i zacząłem płakać i spłukiwać rakiją język, i podniebienie, i przełyk z tamtej przeklętej papryki. Paliła bowiem jak wszyscy diabli.

I odtąd już byłem ostrożny. Gdy mnie przeto częstowano papryką, upewniałem się, czy to słodka, czy diabelska papryka. Jeżeli była słodka, gryzłem ją, jak gryzie się płone jabłko. Jeżeli „ostra" — nie ruszałem jej. Przemili współtowarzysze w pociągu dziwili się trochę, żem taki uparty, lecz za to polili mnie winem, karmili salami, pomidorami i gęsią!...

Z tą gęsią to była przedziwna historia.

Wybrałem się z Belgradu do Lublany pociągiem pośpiesznym. Pociąg był przepełniony. W klasie pierwszej nie było już dla mnie miejsca. Poszedłem przeto do klasy drugiej. W przedziale zastałem trzech serbskich robotników, młodych ludzi o zawadiackich gębach. Trochę mi przypominali naszego śląskiego zbójnika, Ondraszka. I nic. Powiedziałem: — Dobr dan! — jak się należało i usiadłem. A że w Jugosławii nie ma ponuraków, przeto z miejsca zaczęli się dopytywać, dokąd jadę, po co jadę, czy mam żonę i dzieci, ile zarabiam na miesiąc, czy chorowałem na tyfus, które wino jest lepsze, serbskie czy dalmatyńskie, czy mi się podoba Belgrad, czy w nocy chrapię... Wszystko chcieli wiedzieć. Odpowiadałem, jak umiałem. Trochę po serbsku, trochę po rosyjsku, trochę po czesku, trochę po polsku, a najgęściej po niemiecku. A ponieważ jeden z nich umiał jako tako po niemiecku, więc rozmowa się kleiła, a pociąg gnał jak zwariowany w kierunku morza, a upał wzrastał, a myśmy zaczęli ściągać marynarki i dobrze nam się jechało.

Byli wciąż grzeczni i starali się zabawiać mnie rozmową. Lecz poza tą jakąś zdawkową grzecznością nie wychodzili. Kiedy im w końcu rzekłem, że nie jestem wcale Niemcem, za którego mnie z pewnością uważają lecz Polakiem... gęby ich rozjaśniły się i stała się przedziwna rzecz.

— Ach, Poljak! — wrzasnęli wszyscy trzej. Potem jeden z nich, ten najbardziej milczący, ściągnął z półki karton. Drugi, więcej gadatliwy, walizkę obwiązaną sznurkiem. Pierwszy z nich rozwinął karton i ujrzałem w nim bochen chleba i pieczoną gęś w panierze. A ten drugi wydobył z walizki spory gąsior z winem. Ten pierwszy podał mi najpierw srogą pajdę chleba, potem ujął gęś za nogi i rozdarł na dwie połowy, a te dwie połowy jeszcze na dalsze dwie połowy, wcisnął mi w dłoń największą część gęsi z nogą i kazał jeść. A ten drugi przystawił mi gąsior z winem do ust i kazał pić. Trochę się broniłem, lecz zachęcony wielkim wrzaskiem jadłem gęś z chlebem i zapijałem winem. Oni także jedli i zapijali winem. Gąsior wędrował od ust do ust. Tak długo, aż gęsie udo ogryzłem do kosteczki, aż z gąsiora wydoiłem ostatnią kropelkę wina. Oni zaś radowali się, że mi smakuje gęś, którą upiekła „majka" na drogę swemu synkowi, i że mi smakuje wino, które nalała „majka" w gąsior na drogę swemu synkowi. Zjedliśmy gęś, utłuszczone palce wytarliśmy o spodnie, wypiliśmy wino, świat nam rozweselał, rozróżowił się i było nam ogromnie słodko na sercu.

W ogóle dziwni ludzie mieszkają w Jugosławii.

Dziwną była nawet ta starsza pani, która długo słuchała mojej rozmowy z owymi trzema robotnikami w wagonie restauracyjnym, siedząc przy naszym stole, a znienacka zaczęła śpiewać, mocno fałszując:

Jeszcze Polska nie zginęła

póki my żyjemy...

Zrobiłem duże, okrągłe oczy, a ona śmieje się i tak zaczyna po niemiecku:

— Słucham rozmowy panów i wywnioskowałam, że pan jest Polakiem. Jestem serbską Żydówką, jadę do Bad Gastein, w Katowicach mieszkałam przez dłuższy czas, nauczyłam się tej pieśni i zaśpiewałam ją, bo chciałam panu zrobić przyjemność!...

Albo ten inżynier z Sarajewa!

Pociąg wlókł się z Dubrownika do Sarajewa przez góry, doliny, tunele nad przepaściami, staczał się na złamanie kół, czołgał z wysiłkiem stromymi serpentynami, czasem pchały go dwie lokomotywki, a trzecia ciągnęła i zapierała się kołami, czasem gnaliśmy jak wariaty, a czasem można było wysiąść z wagonu i przejść kęs toru piechotą koło wlokącego się pociągu, słowem wspaniała podróż. Słońce oślepiało, a białe skały wapienne także oślepiały i buchały żarem. Przed pociągiem uciekały jaszczurki, spod skał zrywały się drzemiące owce, co się były skryły w skąpym cieniu, gdzieś tam płakały rzewnie osły, godziny mijały, wypiliśmy już wszystko wino, zjedliśmy wszystkie pomidory i słodką paprykę, zdołaliśmy się już wszyscy poznać i zaprzyjaźnić, a pociąg jechał i jechał. Bośniacki urzędnik kolejowy drzemał, Szwed opowiadał o swojej ojczyźnie, węgierski akademik zastanawiał się po niemiecku, które miasto piękniejsze, Belgrad czy Budapeszt, młoda pani, Serbka także drzemała, a inżynier z Sarajewa martwił się, że nie znajdę wolnego pokoju w hotelu.

— Wielkie rzeczy! Gdy nie znajdę wolnego pokoju, jadę albo do Belgradu, albo do Zagrzebia.

— Nie! Byłoby szkoda, gdyby pan nie zwiedził Sarajewa. To bardzo ciekawe miasto. Stykają się w nim dwie kultury, orientalna i zachodnia. Warto pozostać chociażby na dwa dni... Ale wie pan, co? — ożywił się. — Wracam z Dubrownika, dokąd odwiozłem żonę z dwojgiem dzieci na wczasy. Będę w domu sam. Wobec tego zapraszam pana do siebie!...

I mieszkałem u niego przez dwa dni i dwie noce. Pitraśliśmy kolacje pospólnie, jak umieliśmy, wina nie piliśmy, bo mój gospodarz był mahometaninem, zjedliśmy jego żonie wszystkie dżemy i konfitury, obrabowaliśmy jej śpiżarkę ze wszystkiego, co się dało zjeść, gotowaliśmy litry kawy po turecku, zwiedzaliśmy meczety i kościoły, pokazał mi miejsce, gdzie Princip dokonał zamachu na austriackiego arcyksięcia Ferdynanda w roku 1914, a gdzie był początek pierwszej wojny światowej jedliśmy chałwę pod rozczochranymi palmami na muzułmańskim cmentarzu, patrzyliśmy z jego mieszkania na siódmym piętrze na księżyc, słowem przemiły gospodarz, inżynier Kurtowicz. Szukrija troszczył się o mnie, jak bym był jego bratem.

Nie wiem, czym się kierował, zapraszając mnie do siebie i zostawiając mnie często samego w mieszkaniu. Albo tym, żem „Poljak", albo mi tak bardzo dobrze z oczu patrzało... Nie wiem. Wiem tylko tyle, że ten człowiek oczarował mnie swoją gościnnością.

Albo ten rybak, Mirko Mikelicz, z wyspy Rab!

On wiosłował, ja siedziałem w jego łodzi, morze bardzo błękitne za dnia przemieniało się w ciemny fiolet i szło spać, gwiazdy wysypały się na niebo, księżyc wyłaził z drugiego krańca morza i srebrzył je szczodrze, z wioseł Mikelicza spadały srebrne krople i szeleściły leciutkim srebrem, a ja, zamiast układać wiersz o srebrnej nocy na granatowym morzu, martwiłem się nieznacznie.

— Czemu się pan martwi? — zapytał po niemiecku. Rzecz bowiem znamienna, że wszyscy prawie nadbrzeżni Dalmatyńcy umieją po niemiecku. I rzecz również niemniej znamienna, że całe wybrzeże dalmatyńskie okupowali niemieccy turyści z Austrii i Niemiec. A było ich tak wiele, że trzeba było wciąż się dziwić.

Gdy więc teraz zapytał mnie rybak, czemu się martwię, powiedziałem, że tak bardzo podoba mi się na wyspie Rab, a jutro muszę wyjeżdżać, bo nie mogę uzyskać pokoju w hotelu.

— To pan będzie u mnie mieszkał! O której przyjechać po pana?

— O dwunastej w południe.

— Dobrze! O dwunastej jestem w zatoce przy molo obok hotelu „Istra".

— To może dam panu zadatek... — zaproponowałem, pragnąc go w ten sposób zobowiązać, by dotrzymał słowa.

— Proszę pana! Ein Mann, ein Wort! — rzekł z godnością.

I mieszkałem u niego przez cały tydzień, a jego żona i matka karmiły mnie rybami, cebulą, pomidorami, papryką, chlebem i poiły ciężkim, czerwonym winem dalmatyńskim. Morze zaś było niesłychanie błękitne, słońce prażyło i kłuło, nad morzem wydzierały się pod niebo srogie góry, górskimi ścieżkami wędrowały osły z jakimiś wypchanymi worami na grzbiecie i raz po raz żałosnym bekiem skarżyły się na upał i pragnienie, wody do mycia było tyle, co by kot napłakał, zatoka była daleko od wrzeszczących Niemców po jej drugiej stronie. Powoli przemieniałem się w Mulata, potem w Murzyna, a potem jeszcze w wysuszoną śliwkę. Gdy w końcu przyszło mi płacić za to wszystko, gospodarz Mikelicz podał mi tak śmiesznie małą cenę, że aż wstyd. Rzecz jasna, zapłaciłem ochotnie z nawiązką. A potem jeszcze mnie odwieźli do miasta Rab na statek. W łodzi zaś był jego syn, porucznik z gwardii Tita, przebywający u ojca na urlopie, była jego żona, dwoje dzieci, jakaś ciotka bardzo miła i jej narzeczony. Odwieźli mnie, uściskali, pożegnali i ukradli mi serce, kiedy się tego najmniej spodziewałem.

Za to powiozłem do Polski ich serce w królewskim gościńcu.

I gdy dzisiaj smęcę się pod beskidzkim niebem, bardzo niskim i bardzo szarym, śni mi się szczodrobliwe słońce jugosłowiańskie, niesłychanie błękitny Jadran, półksiężyc na niebie i półksiężyc na sarajewskich minaretach, przypomina mi się smak dalmatyńskiego wina, i palący smak zielonej papryki, i smak błękitnej wody morskiej i rubinowy kształt serca jugosłowiańskiego.

„Chwała lepa" za to serce!...

NA WIDNOKRĘGU

Wspomnienie o profesorze

Z PROFESOREM Kazimierzem Nitschem stanąłem oko w oko po raz pierwszy dwadzieścia dziewięć lat temu, jako student pierwszego roku polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Akurat w pierwszych dniach października na wykładzie opisowej fleksji języka polskiego. Piszę „oko w oko", bo starsi koledzy zdołali nas już tym profesorem postraszyć: że bardzo surowy i strasznie wymagający. Wszystko się sprawdziło bodaj już od pierwszego spotkania. Wyznaczył nam dokładnie, na jakie mamy chodzić wykłady, na jakie uczęszczać proseminaria, w jakich terminach złożyć pierwsze kolokwia i pierwsze egzaminy językowe. I zapowiedział surowo, że nie wyobraża sobie polonisty, który nie znałby przynajmniej dwóch języków słowiańskich — oczywiście poza językiem rodzimym. Budził w nas, nowicjuszach, ogromny respekt. Do opinii surowego profesora dołączała się sława znakomitego uczonego, który w znajomości problemów gwar polskich nie miał sobie równego.

Gdy kilka dni temu obiegła Polskę wieść o jego zgonie, pomyślałem o nim przede wszystkim nie jako o uczonym. Stanął mi żywo w oczach jako profesor i wychowawca. I takim właśnie wspomnieniem chciałbym uczcić dzisiaj jego pamięć. Takim go zapamiętałem, takim go czciłem, choć życie młodego studenta pod jego opieką nie było lekkie.

Zwłaszcza studenta, który przychodził na polonistykę, żeby studiować historię literatury i zagadnienia literatury, dla którego studium językoznawstwa było złem koniecznym, jarzmem, które miało tylko krępować jego polonistyczne „wzloty", jakimś czyśćcem, który trzeba było koniecznie przebrnąć, żeby dostąpić łaski czystych już studiów historyczno-literackich na trzecim i czwartym roku. Przychodziliśmy wówczas ze szkoły średniej oszołomieni porywami i żarem romantycznej poezji, której godnych kontynuatorów nauczyciele nasi widzieli zaledwie w Sienkiewiczu i Wyspiańskim. I dla takich właśnie romantyków profesor Nitsch był nieubłagany, czasem chciałoby się rzec — okrutny. Kpił z braków naszej wiedzy (zwłaszcza w zakresie literatury rodzimej, której był znawcą znakomitym), a luki te były duże, bo w szkołach średnich walkowało się najwięcej sam romantyzm, nazywał nas „literatami", wreszcie gnębił nas systematycznie wymaganiami ścisłej, nie bujanej wiedzy, logicznego i systematycznego myślenia. Poeta Marian Czuchnowski, który właśnie przeniósł się był na polonistykę po pierwszym roku prawa, nie wytrzymał tego językoznawczego rygoru i przerwał studia już bodaj w drugim trymestrze. Inni koledzy, którzy dziś cieszą się sławą uznanych poetów, też jęczeli pod tym jarzmem.

Ale było to jarzmo mądre. Kto zrozumiał to w porę, wyniósł z tej szkoły ogromne korzyści. Oczywiście, chcąc sobie pozyskać tak srogiego profesora, od razu zapisałem się na lektoraty języka czeskiego i słowackiego: co więcej — pilnie na nie uczęszczałem, zbierając od zachwyconego lektora dra Kamila Suchego noty z „odznaczeniem", których niestety skala stopni uniwersyteckich wówczas nie przewidywała, a którymi miły lektor, nie mający nigdy zbyt wielu uczniów, sypał wcale hojnie. Jeżeli dzisiaj jestem tłumaczem tych dwóch literatur — zawdzięczam to tylko profesorowi Nitschowi i temu respektowi, jaki potrafił wzbudzić dla swoich wymagań.

Względów profesora Nitscha w ten sposób nie pozyskałem. Był bowiem nieubłagany jako wykładowca i egzaminator gramatyki opisowej współczesnej polszczyzny. Z tego przedmiotu oblał mnie bezlitośnie dwa razy, mimo że kułem tę gramatykę, ile wlazło. Zawsze umiał znaleźć jakąś lukę w wiadomościach studenta. Powiedziałbym, że trafiał w tę lukę z niesłychaną intuicją, bez pudła. Egzamin zaczynał od wręczenia czwórce delikwentów maleńkiej karteczki z jakimś tekstem literackim. Biada „literatowi", jeżeli nie powiedział od razu, kto jest autorem tekstu i z jakiego utworu pochodzi urywek. Gdy się przebrnęło przez tę pierwszą pułapkę, zaczynał się najszczegółowszy rozbiór tego tekstu. I tutaj egzaminowany bardzo często wysiadał. Bo odsiew przy jego egzaminach był duży.

Ale rzecz dziwna — mało znałem studentów, którzy by się o to na profesora gniewali. Jedni przyjmowali to jak dopust boży, jak normalną kolej rzeczy, inni uznawali się po prostu za pokonanych brakami wiedzy. A przy tym wszystkim profesor potrafił obudzić w nas głębokie umiłowanie języka, mowy ojczystej, żarliwą dbałość o jej czystość i doskonałość. Zapisywaliśmy się do kierowanego przez niego Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, czytywaliśmy regularnie redagowany przez niego „Język Polski" i popularną biblioteczkę wydawaną dla członków Towarzystwa, pasjonowaliśmy się sporami językoznawczymi między szkołą krakowską a warszawską, śledziliśmy kilkuletnią kampanię profesora o reformę ortografii w kierunku jej uproszczenia. I chyba wielu z nas to umiłowanie języka wyniosło ze szkoły profesora Nitscha na całe życie. Bo nie tylko uczył, nie tylko przekazywał swoją wiedzę, ale wpajał nam także swój ideał polonisty, wykształconego możliwie najwszechstronniej, przystępującego do analizy artystycznej utworu literackiego w oparciu o poważną znajomość językoznawstwa. Od tego czasu pozostała mi jakaś lekka nieufność do niektórych historyków literatury. Jeżeli szukam sprawdzianu zasług artystycznych jakiegoś pisarza, najchętniej sięgam do książki Tadeusza Lehr-Spławińskiego „Język polski, pochodzenie, powstanie, rozwój" albo do studiów stylistycznych naszych językoznawców.

Ten wielki uczony miał swoje zamiłowania i pasje. Chyba główną z tych pasji była walka o czystość i piękno języka. Tu był społecznikiem. Szerzył kult pięknego języka, walczył o jego poprawność, daleką zresztą od pedantyzmu, od skostnienia, znał bowiem znakomicie dzieje języka, traktował go jako twór żywy, podlegający rozwojowi i zmianom, rządzący się swoimi własnymi prawami, przeciw którym hiperpoprawność jest bezsilna. Jego zasługi w tej dziedzinie są chyba równe zasługom jako badacza. Jego wpływ na szerokie kręgi inteligencji polskiej, zwłaszcza na nauczycielstwo, był ogromny i nie wygasa z jego śmiercią. Dzieło jego kontynuują bowiem liczne zastępy jego uczniów. Stosunkowo niewielu z nich poszło drogą językoznawczej pracy naukowej, ale chyba ogromna ich większość zalicza się do czynnych „miłośników języka polskiego".

Pamiętam słynną później historię z jednym z ogłoszeń naszego profesora. Na tablicy seminarium przy Gołębiej 20 wywiesił karteczkę z zawiadomieniem, które zaczynało się tak: „Studenci, co nie zdali egzaminu"... jakiś dowcipniś podkreślił ten zaimek „co" i opatrzył go wykrzyknikiem. Profesor Nitsch zauważył to i natychmiast dopisał swoim drobnym, niewyraźnym pismem, które czasem tyle sprawiało nam kłopotów: „Student, który to podkreślił, dał dowód, że nie zna pierwszych wierszy „Pana Tadeusza": Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy". Bo profesor zażarcie bronił swobody w posługiwaniu się zaimkiem „co" w znaczeniu „który, która, które".

Kilka lat temu polemiczne pióro profesora Nitscha — a był urodzonym polemistą i chętnie wchodził w szranki — wzięło w obronę i moją pracę jako tłumacza. Gdy któryś z recenzentów zaatakował dość niewybrednie pewien mój przekład z czeskiego m. in. zwroty i słowa zaczerpnięte z gwary cieszyńskiej, profesor Nitsch zareplikował udowadniając, że tak właśnie należało tłumaczyć. Nie wiem, czy podejmując tę polemikę pamiętał studenta, który musiał dwakroć kapitulować pod ciężarem jego rygorystycznych profesorskich wymagań. Wątpię. Raczej sądzę, że walczył w imieniu swoich racji — racji człowieka, który głęboko poznał i umiłował język polski i mowę ludu polskiego, który znał bogactwo tej mowy jak chyba nikt inny.

To studenckie wspomnienie składam zamiast kwiatów na trumnę tego pięknego człowieka, profesora i wychowawcy, którego imię pozostanie na zawsze w dziejach kultury polskiej. A już Śląsk będzie o nim szczególnie pamiętał, jako o badaczu mowy jego ludu w czasach, gdy świt wolności był jeszcze daleki.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

KONCERTY CZY „CHAŁTURY"?

AUDYCJE umuzykalniające dla szkół ogólnokształcących odbywają się od 1945 roku. Ministerstwo Kultury i Sztuki przeznaczyło na ten cel specjalne fundusze, zlewając podjęcie tej akcji w poprzednich latach „Artosowi" (Estradzie) obecnie zaś filharmoniom.

Koncerty szkolne jak wiadomo mają za zadanie zbliżyć młodocianego słuchacza do muzyki, zaszczepić mu kulturę muzyczną i umiejętność słuchania muzyki.

Istnieje w tej chwili powszechnie przyjęty sposób, a nawet metoda, wprowadzania początkującego słuchacza w tajniki muzyki przy pomocy ekipy złożonej z prelegenta oraz paru instrumentalistów. Prelegent jest tu pośrednikiem między słuchaczem a wykonawcą, niejako tłumaczem utworu, przygotowującym audytorium do zrozumienia jego myśli i sposobu wykonania. Pianista, skrzypek, oboista, czy też śpiewak, transponują z kolei wypowiedź teoretyczną na żywy język muzyczny, działając na wyobraźnię muzyczną słuchacza.

Programy audycji są pomyślane etapami. Od najprostszych zagadnień przechodzi się stopniowo do trudniejszych. Od zauważania takich elementów jak: rytm, melodia, harmonia, do małych egzaminów z samodzielnego słuchania. Np. któryś z instrumentalistów wykonuje nieznany jeszcze utwór — młodzież odpowiada z jakich elementów składa się kompozycja, który z nich przeważa, którego brakuje. Wprowadza się również młodych słuchaczy w zagadnienia kolorystyki dźwiękowej utworów o pewnym programie literackim jak: „Pory roku" — Czajkowskiego, „Światło księżyca" — Debussy'ego itp.

Słuchacze nie tylko poznają dorobek kompozytorski romantyków, czy wirtuozów — twórców, ale i bogactwo języka muzycznego: kontrasty dynamiczne, różne ukształtowania rytmu, melodii itd. Ostatnia audycja umuzykalniająca w roku to zwykle koncert życzeń. Wybór tematów przez młodzież jest ważnym wskaźnikiem dla organizatorów koncertów a zarazem sprawdzianem stopnia umuzykalnienia uczestników tej długofalowej akcji. Tyle o programie koncertów szkolnych.

* * *

CZY audycje spełniają swą rolę? Czy młodzież garnie się do muzyki? Różnie bywa. W każdym razie reakcja młodzieży zależy w dużym stopniu od wychowawców i ich przykładu. Niestety wielu z nich audycje umuzykalniające traktuje jako zło konieczne i może dlatego młodzież wyczuwając ten negatywny stosunek staje się często wręcz nieznośną publicznością. Brak dyscypliny wyraża się w rozmowach i gaduństwie podczas koncertu, chichotach i innych objawach lekceważenia.

Trzeba jednak przyznać, że są także szkoły, które z zapałem czekają na taki poczęstunek muzyczny — stroją instrumenty, zawczasu opalają salę, stwarzają przyjazny klimat dla artystów. Dyskusje w takich środowiskach szkolnych są zwykle żywe, dyscyplina dzięki postawie wychowawców wzorowa i młode audytorium naprawdę wiele korzysta.

Niestety koncerty szkolne według opinii wykonawców mają jeszcze bardzo wiele mankamentów. Nie bez przyczyny imprezy te określają mianem „chałtur". Warunki, jakie im się stwarza, niejednokrotnie wypaczają zamierzoną linię programową artysty, który zamiast skupić uwagę na wykonaniu, walczy z nieprzygotowanym fortepianem, z niezdyscyplinowaną publicznością, zimnem na sali itp. Niedociągnięcia audycji najdotkliwiej odczuwają pianiści skazani na przygodne instrumenty, stykające się z takimi awariami jak: niestrojony fortepian, czy zapadające się klawisze.

Ale i kierownictwo audycji nie omieszka dorzucać innych trudności. Pianista, często luminarz wielkich estrad, musi akompaniować innemu soliście, nie odbywając z nim przedtem próby. Okazuje się, że „impresario" zmobilizował w ostatniej chwili wykonawcę i spotkanie odbywa się dopiero podczas koncertu. Bywa i tak, że zawiadamia się daną osobę alarmującym telefonem że audycja musi się odbyć następnego dnia, a nawet za godzinę ponieważ... trzeba ratować sytuację! Cóż robić? Artysta niejednokrotnie czyni gest i pędzi na taki koncert, obmyślając dopiero po drodze co będzie grać.

Dlaczego tak się dzieje?

Otóż w całej Polsce ekipy artystów są angażowane na ogół na zasadzie etatu. Zespoły takie odbywają systematyczne próby, mogą się zgrać i dociągnąć wykonanie do wysokiego poziomu.

W Katowicach jednak zasada ta nie przyjęła się. Z audycji na audycję poszukuje się wykonawców, a co gorsza, źle się ich zestawia. Obok znanego i cenionego nazwiska pojawia się np. student Wyższej Szkoły Muzycznej, czy też śpiewak o wątpliwych walorach, który manifestuje swe niezadowolenie, mówiąc że mu źle akompaniowano. Wydaje mi się, że aby uniknąć tego rodzaju błędów i nie odbierać satysfakcji artystycznej wykonawcom, jest konieczne wprowadzenie ekip etatowych.

Niewątpliwie byłoby to korzystne zarówno dla muzyków, skazanych dotąd na pracę dorywczą i różne niespodzianki, jak i dla poziomu koncertów szkolnych, które posiadają naprawdę doniosłe znaczenie w umuzykalnieniu naszego społeczeństwa.

M. SADOWSKA

SUKCES LIDII GRYCHTOŁOWNY

KONKURS w Bolzano z którego powróciła niedawno pianistka *Lidia Grychtołowna*, to jeden z najtrudniejszych konkursów w jakich uczestniczyła. Stwarzał on specjalne napięcie. Trzeba było mieć w pogotowiu półtora recitalu i w ostatniej dopiero chwili jury oznajmiało co należy grać. Dla niejednego pianisty zaskoczeniem był fakt, niespotykany na innych konkursach, że sędziowie niejednokrotnie wymagali w finale powtórzenia utworu z drugiego etapu.

Do pewnego stopnia był to konkurs na „gotowość" w każdej chwili. Szczęśliwy więc „kwadrans" niemałą oddawał usługę.

Lidia Grychtołówna nie może pochwalić się nadmiarem ułatwiających okoliczności, choć osiągnęła tak wielki sukces. Zdobyła specjalną nagrodę, oraz engagement na 10 koncertów we Włoszech. Koncerty te były przeznaczone dla laureata pierwszej nagrody, której nikomu nie przyznano.

Maestro *Benedetti Michel Angeli*, który jako juror przybył do Bolzano z opóźnieniem, przez co nie mógł brać udziału w głosowaniu — winszował polskiej pianistce wyniku. Nie omieszkał też zaznaczyć, że jest to równie cenna nagroda jak zdobycie czołowego miejsca. *„Są to już nie szanse,* — stwierdził Michel Angeli — *ale otwarta droga do przyszłości artystycznej"*. Drugą nagrodę ex aequo przyznano młodocianym: *Ronaldowi Turini* (Kanada) i *Jose Kahan* (Meksyk), którzy jakby powiedział staruszek Busoni spełnili trzy najważniejsze warunki: po pierwsze posiadali technikę, po drugie technikę i po trzecie technikę. Ich możliwości pianistyczne, jak to ocenia prof. J. Hofman, który reprezentował Polskę w jury, grani czyli z najwyższą doskonałością obchodzenia się z instrumentem.

Z okazji dyskusji, które odbywały się bezpośrednio po każdej grze, wynikało jak dużą wagę przywiązuje się na Zachodzie do wielkiej gry, którą cechuje rozmach, biegłość, błyskotliwość, absolutna łatwość instrumentalna, a przede wszystkim bogaty repertuar. Te oto stwierdzenia wyniesione z konkursu powinny zastanowić przede wszystkim tych artystów, którzy sądzą, że z jednym szopenowskim mazurkiem można objechać cały świat.

(ms)

LIDIA GRYCHTOŁÓWNA

JUTRO ROZPOCZNIE SIĘ SEZON

OKROPNE są te pierwsze pourlopowe dni, gdy kręcimy się w znanym dobrze otoczeniu jak obcy starając się na nowo przyzwyczaić do spraw i ludzi, od których odwykliśmy w złoty czas nierób stwa i wypoczynku. Oczywiście, do rzeczy, zjawisk i ludzi przyjemnych wracamy łatwiej, do przykrych niechętnie i z oporami. Mimo to wracamy do jednych i drugich, takie bowiem są prawa rzeczywistości.

Wydaje mi się, że mieszkańcy Wrocławia odczuwają osobliwość tego stanu w stopniu silniejszym od mieszkańców innych dużych miast. Warszawa, Łódź Katowice, a nawet Kraków wciągają człowieka natychmiast w rytm swego życia. Inaczej Wrocław — rozrzucony w przestrzeni, ogarnięty ramionami Odry i kanałów, zadumany nad swoją dolą stolicy Ziem Zachodnich, w takim okresie jak obecny dopiero „rozkręca się", z właściwym sobie leniwym wdziękiem przygotowuje do startu.

Nie znaczy to, iż nic się tu we wrześniu nie dzieje ciekawego, owszem zdarzy się jakaś wartościowa impreza artystyczna, występ gościnny, wystawa, katastrofa, lecz owego charakterystycznego pulsu codzienności jeszcze nie wyczuwamy, brak mu bowiem ciśnienia młodości, które nasyca wrocławski dzień zdrowym, wyróżniającym kolorytem. Rok akademicki rozpoczyna się w październiku i wtedy dopiero będziemy mogli powiedzieć, że nastąpiła inauguracja wrocławskiego sezonu. Bowiem Wrocław, jak to już niejednokrotnie określano w słowie i piśmie, jest miastem młodzieży, przede wszystkim studiującej.

Gdy wraca młodzież, gdy stare uliczki okalające uniwersytet, a dalej Wybrzeże Wyspiańskiego, plac Grunwaldzki, alejki w parku Szczytnickim i nad Starą Odrą obejmą w posiadanie dziewczęta i chłopcy śpieszący na wykłady, lub do stołówek, wówczas odnosimy wrażenie, a raczej wiemy na pewno, że do starej rudery wtargnęło świeże powietrze, że nareszcie pozbywamy się zrazu molizowania kieratowości, może nawet pasywizmu, który...

Przepraszam, zagalopowałbym się w szkicowaniu tła, gdybym nie urwał w porę, a kto wie, może nawet naraził na zarzut, iż sądy wartościujące — broń mnie Panie Boże! — wyrażam, podczas gdy tylko stwierdzam fakty i nic prócz faktów.

Zresztą korzystam z przysługującego mi przywileju, aby na leżący w zasięgu mego wzroku kawałek świata patrzyć po swojemu. Dlatego z niemiłosiernie postrzępionej tradycji nie staram się wygrzebywać śladów przeszłości, dostępnych tylko nielicznym specjalistom, ani w perspektywie nadchodzących czasów wypatrywać przyszłej świetlistości, której nie zna nikt. Chodzę po mieście, w którym — trudno oprzeć się temu wrażeniu — nawet nowe domy buduje się ze starej cegły i wszędzie dostrzegam żywioł niejako organiczny i dominujący: młodość. Tylko biurokracja jest u nas stara, jak wysłużony i brudny ręcznik. Wiadomo!

*

PONIEWAŻ jednak fakty posiadają treść zrozumiałą dla każdego, przejdźmy do faktów. Oto pięć niezbitych, przyobleczonych w wydane przez „Ossolineum" książki wrocławskich pisarzy, których oceniać tu nie chcę, bo nie lubię chwalić. Lecz inicjatywę „Ossolineum" należy uhonorować oddzielnym słowem.

Zasłużone wydawnictwo stara się od kilku lat umożliwić miejscowemu środowisku literackiemu wyjście na światło dzienne. Jak każda prosta i słuszna akcja tak i ta napotyka na swej drodze trudności niewielkiego wprawdzie formatu, nb. przezwyciężane w praktyce, lecz — jak sądzę — hamujące jej rozmach i prawidłowy rozwój. Część pozycji wychodzi bowiem na zlecenie bądź oddziału ZLP, jak np. zbiór wierszy dziewięciu poetów pt. „Imiona niepokoju" i kilka innych zapowiedzianych tomików prozy, bądź też Rady Okręgowej ZSP, jak almanach młodych pt. „Dojrzewające słowa". Sytuacja taka stwarza przypadkowość i zmusza do improwizacji obniżającej ambicje środowiska i tak już zbytnio przyzwyczajonego do okolicznościowych laurek. Rodzi dziwaczne paradoksy. Tak, paradoksy, jakże bowiem inaczej nazwać wieczne kłopoty wydawnicze poetów, spotykających się na codzień z komplementami adresowanymi nie tylko indywidualnie, lecz nie mal in gremio.

Julian Przyboś w „Przeglądzie Kulturalnym" (w recenzji z „Imion niepokoju") zwraca uwagę krytyków i miłośników poezji na Wrocław, gdzie na tle Klaja i Muszyny dodatnio wyróżnia grupę młodych. Złudna jest miara wieku, zwłaszcza w poezji, dlatego nie polemizując z Przybosiem, którego autorytet w sprawach sztuki wysoko cenię, pozwalam sobie kilka jeszcze zdań na temat wrocławskiej poezji dorzucić. Po pierwsze — należy sprostować biedną informację jakoby współautorzy „Imion niepokoju" należeli do „najmłodszej" czy „młodej" generacji. Średnia wieku przekracza czterdzieści lat życia. Nic zatem dziwnego, że ci „młodzi" poeci poszukują innych, bardziej rentownych form wypowiedzi, jak dramat (Tymoteusz Karpowicz), proza (Kazimierz Koszutski), dramat, proza i krytyka artystyczna (Tadeusz Zelenay), pracując jeden z drugim jako redaktor, inny jako sędzia, jeszcze inny jako lekarz lub farmaceuta, ktoś inny jako buchalter, a reszta z tej młodzieży poetyckiej studiuje przedmioty ścisłe i dobrze na tym w przyszłości wyjdzie, skoro przestanie pisać wiersze.

*

NIE umiem usprawiedliwić sytuacji, w której dofinansowuje się tomiki prozy zaś zdolny poeta nie może znaleźć wydawcy. Wydaje się, że prozaik winien sam na siebie zarobić i w ogólnej kalkulacji wydawniczej nawet uzupełnić „deficyt" poetycki. Tym bardziej, że koniunktura taka nie sprzyja również samodzielnemu starowi rzeczywistych młodych, nie sprzyja autentycznym debiutantom, którzy powoli przyzwyczajają się do oferowania swego nie tyle talentu, ile pióra mecenasom, nie zawsze powołanym do pełnienia tej odpowiedzialnej i zaszczytnej funkcji.

Jakby nie było, oddajmy ukłon „Ossolineum" za książki wrocławskie, które już wydało i wydać zamierza. I nie grzeszmy „krakaniem" ponieważ sezon nie rozpoczął się jeszcze. Nawet w teatrach wrocławskich, które bez ubytku na honorze powróciły z przyjaznego turnee do Kijowa i Charkowa, dając po dłuższej przerwie dwie premiery z zeszłorocznego remanentu: „Malborough idzie na wojnę" Achardą i „Dramat księżycowy" Brandstaettera. Pomińmy obie życzliwym milczeniem bo szkoda słów i miejsca trzeba oszczędzać. Zaczekajmy na oficjalne otwarcie teatralnego sezonu, zapowiadane przez Jakuba Rotbauma jego własną adaptacją oraz inscenizacją „Anny Kareniny". Dawno jużeśmy we Wrocławiu żadnej powieści w teatrze nie oglądali. Trudno!

BOGDAN BUTRYŃCZUK

Na półkach księgarskich

ST. BUDZYŃSKI — PAŹDZIERNIKOWE DNI W MOSKWIE. (Wspomnienia szeregowego żołnierza). „KiW". 1958, cena zł. 4.

Wspomnienia autora dają prawdziwy obraz rewolucji widziany przez pryzmat przeżyć uczestnika tych walk. Wspomnienia napisane żywo i plastycznie przeznaczone być mogą dla szerokich rzesz czytelników. W związku z 40-leciem KPP warto również przypomnieć czytelnikom o wybitnym działaczu partii. Książeczka opatrzona została zamiast wstępu obszernym szkicem biograficznym Heleny Bobińskiej. Zawiera również fotokopie odręcznych raportów autora w dni walk oraz szereg nieznanych dotychczas fotografii, m. in. odbitkę z filmu dokumentalnego o Leninie „Lenin z Budzyńskim w 1920 r."

JERZY RAWICZ — DNO „KiW", 1958, zł. 9.—

Książka jest zbiorem opowiadań byłego więźnia obozów w Oświęcimiu, Mauthausen i Ebensee osnutych na tle przeżyć samego autora lub jego obozowych kolegów. Występują w tych opowiadaniach więźniowie różnych narodowości. Ta więźniarska międzynarodówka nie zatraciła po latach nawiązanych w obozie kontaktów. Ostatnie z opowiadań mówi o spotkaniu przyjaciół oświęcimskich z wielu krajów, po wielu latach.

Książka ukaże się w najbliższych dniach.

— ZAGADNIENIA EKONOMII POLITYCZNEJ SOCJALIZMU. „KiW". 1958, zł 22 —

Tematem pracy są niektóre ważniejsze zagadnienia ekonomii politycznej socjalizmu i okresu przejściowego, takie jak zagadnienie industrializacji, rozrachunku ekonomicznego, równowagi cen, modelu gospodarczego itp. Autorzy omawiają w/w zagadnienia w nowym ujęciu, wobec czego będą one w pewnym sensie dyskusyjne.

M. F. RAKOWSKI — NRF Z BLISKA. MON, 1958 r. cena zł. 7.—

Książka jest zbiorem reportaży. Autor — naczelny redaktor „Polityki" — nie stawia sobie za cel przedstawienia całokształtu życia w NRF, omawia jednak szereg problemów bardzo interesujących dla polskiego czytelnika. Książka napisana obiektywnie, a zarazem żywo i barwnie oryginalnym stylem wytrawnego reportera. Zasługuje w pełni na to, aby ją polecić szerokim kręgom czytelników.

A. SOKOLICZ — PORYWY. KiW. 1958 r. cena zł. 18.—

Powieść ta po raz pierwszy ukazała się w 1939 r. Do tej pory była jednak właściwie niedostępna dla czytelnika, ponieważ jej nakład został w dużej części zniszczony. Tematem książki jest życie i działalność Filipiny Płaskowickiej i rewolucyjnego środowiska ówczesnej Warszawy: Ludwika Waryńskiego, Szymona Dikształna i innych. Wstęp Michała Szulkina.

Spotkanie z czytelnikami

„Jak zostałem ekscelencją"

I WRESZCIE namówili mnie, żebym dał się poznać. Zagwarantowali nietykalność, a nawet honorarium. Tak zaczęła się moja kariera pisarza bezpośrednio kontaktującego się z czytelnikami.

Ów kontakt polega na tym, że się przyjeżdża, daj my na to, do Kusiąt. Człowiek się zrazu ociąga, no bo takie Kusięta, ale rzecznik i płatnik Domu Książki wyjaśnia, że właśnie Kusięta niczym innym nie żyją jak tylko chęcią osobistego i bezpośredniego ujrzenia człowieka pod tytułem Stanisław Broszkiewicz, że mój przyjazd do Kusiąt to dla Kusiąt wszystko, łącznie z podatkiem gruntowym minus miarki i odsypy. Że sam fakt, że znają mnie w Kusiętach to świadczy o zbłądzeniu pod strzechy i wreszcie nieodparty argument: — O co panu właściwie chodzi? Forsę wypłacamy zaraz po spotkaniu!

Najpierw więc umawiam się o audytorium. Nie, moje pisarstwo nie jest dla młodzieży, broń Boże. Dla tak zwanego szerokiego odbiorcy także w zasadzie nie. Któż więc będzie? Będzie inteligencja kusięcka, robotniczy aktyw czytelniczy, pan aptekarz też, a może nawet da się namówić miejscowy poeta Chryzostom Fafuła, drukujący swe heksametryczne poematy w „Gościu Niedzielnym".

Przyjeżdżam do Kusiąt. Miejsce spotkania — szkoła. A w szkole oczywiście dzieci. Z klas trzecich, czwartych i piątych. Dzieci, bo inteligencja udała się na ryby, robotniczy aktyw został przytrzymany przez nieufną żonę, pan aptekarz pojechał z pielgrzymką do Częstochowy, a poeta Chryzostom Fafuła oświadczył, że trzydzieści lat przeżył nie znając kolegi Broszkiewicza, więc i drugie tyle przeżyje bez tej znajomości. Pociesza mnie tylko to, że zostałem wzgardzony w znakomitym towarzystwie, jako, że kolega Fafuła odmówił również poznania Stefana Żeromskiego.

A tu wokoło dzieci. Przyszły, bo im obiecano, że jak które nie przyjdzie, to stopień z polskiego będzie raczej przeciętny. A ja co mam dzieciom czytać? „Przypowieść filologiczną"? Na nic. A tu jeszcze nauczycielka wita mnie jako tego pana, który pisze dla dzieci. Więc próbuję: Staś na sukni zrobił plamę... dalej nie pamiętam. Ktoś podpowiada, ale do mnie nie dociera. Siedzący koło mnie przewodniczący GRN nachyla się: — Może byście towarzyszu coś o tym przystanku kolejowym, co nam mieli zrobić i nie zrobili. Przebrnąłem przez bajkę pana Jachowicza i oto wywiązuje się dyskusja: — Czy pan jest żonaty? A co pan robił w czasie okupacji? Dzieci pan ma? Jak to właściwie jest w tym Libanie?

Wreszcie wręczają kwiaty. Kierownik szkoły oświadcza, że nikt nie zapomni pobytu... tu nachyla się nade mną: jak pan się właściwie nazywa? Mówię. Oklaski. Forsa. Do widzenia!

✦

JA oczywiście wyjaskrawiam i przejaskrawiam, przesadzam. Nie ma bowiem takich Kusiąt, pojedynczych Kusiąt. Kusięta to pewna zbiorowość — zbiorczość — synteza.

Odbyłem chyba z 40 wieczorów autorskich. W miastach, wsiach i miasteczkach. Porzucając na chwilę ton humorystyczny, muszę przyznać, że to wspaniała rzecz: poznają, widzą, słuchają tego, który napisał to i owo. I nic. Żadnych zgniłych jaj, żadnych kiszonych ogórków. Nawet grzecznie. Dają w końcu wyjechać. Jeszcze napomykają, żeby znów. Że bardzo się cieszą, iż mieli możność ujrzenia i poznania autora wzruszającej powieści... o Szopenie!!!

Raz, a było to w ubiegłym roku, zostałem zawiadomiony, że mam udać się do pewnej miejscowości z wieczorem autorskim w zastępstwie Wilhelma Szewczyka, który jak raz nie mógł, gdyż właśnie wypadła mu sesja sejmowa.

Przyjeżdżam. Dworzec w kwiatach, orkiestra strażacka. Wiodą mnie do strażackiej remizy. Idąc, recytuję horacjańskie: *Io triumphe... Wreszcie zaczyna się. Prezes miejscowego koła czytelniczego, czarujący staruszek, emeryt PKP, były adiunkt cesarsko-królewskiego kolejnictwa mówi: — Wasza ekscelencjo, czcigodny panie pośle! — Próbuję przerwać, bo jeśli chodzi o ekscelencję — być, może, wyglądam, ale „pośle"... Ktoś szarpie prelegenta za rękaw i tłumaczy mu coś zdenerwowanym szeptem. Staruszek rozjaśnia się, woła: — Przepraszam za pomyłkę, tym niemniej cieszę się bardzo, że mogę powitać znakomitego poetę, pana Broniewskiego, z którym miałem zaszczyt kolegować w Legionach!*

Znowu zamieszanie, wyjaśnienia, wreszcie zaciemnienie, nawała na chwilę światło, znów jaśnieje, wyjaśnia się. Prelegent jeszcze pyta, jak ma mnie tytułować, dowiaduje się i wszystko kończy się jak w jednej z recenzji „Wesela", a mianowicie pogodnym oberkiem odtańczonym przez dziatwę szkolną.

Ja oczywiście przesadzam, wyjaskrawiam, zgoda, może nawet trochę bujam. Ale niezupełnie. Na tak przyjemny temat zresztą naprawdę przyjemnie jest bujać. A jeśli chodzi o instytucję wieczorów autorskich wołam słowami pewnego znanego aktora, który na widok otwartej ćwiartki zwykł mówić: PARTYCYPUJĘ!!

ST. BROSZKIEWICZ

Pierwsi Polacy na ziemi Kolumba

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Dopiero niedawno w biuletynach Związku Sokolstwa Polskiego podano do wiadomości fakty dotyczące przybycia pierwszych polskich osadników na kontynent północnoamerykański. Wylądowali oni na ziemi Kolumba dnia 1 października 1608 roku. Przywiózł ich angielski statek „Mary and Margaret" dowodzony przez kapitana Krzysztofa Newporta. W dwóch poprzednich rejsach ten sam statek przytransportował dwie duże grupy osadników angielskich. Jednakże z pierwszej zostało po kilku miesiącach zaledwie 38 osób; reszta zginęła w potyczkach z Indianami, albo padła ofiarą panoszącej się na wyspie Jamestown malarii. Druga 120-osobowa grupa też skurczyła się w przerażająco szybkim tempie. Dlatego kierownictwo kolonii zażądało od władz angielskich nie tylko zdwojonej pomocy materiałowej i żywnościowej, ale także przysłania ludzi, dających sobie lepiej radę w trudnych warunkach amerykańskich, niż wygodni Anglicy. Kapitan Newport przywiózł właśnie Polaków i Niemców.

Pierwszego października po zawinięciu do prymitywnego portu na wschodnim wybrzeżu, statek „Mary and Margaret" wysadził na ląd czterech niemieckich stolarzy, czterech polskich rzemieślników i jednego polskiego szlachcica, urodzonego już w Anglii. Do dziś zachowały się ich nazwiska na kartach historii pierwszej osady amerykańskiej (Jamestown w dzisiejszej Virginii był bowiem pierwszym fortem wybudowanym 351 lat temu na kontynencie północno-amerykańskim). Tak więc wiadomo, że tymi pierwszymi polskimi emigrantami byli: Zbigniew Stefański, Stanisław Sadowski, Jur Mata, Michał Łowicki i Jan Bogdan. Poza opisem ich przybycia do Ameryki znajdujemy jeszcze dwie wzmianki o ich losie. Pierwsza mówi o strajku przez nich zorganizowanym; był to prawdopodobnie pierwszy strajk na zachodniej półkuli. Otóż gdy Anglicy odmówili im prawa głosu, pozbawiając tym samym możności decydowania w sprawach osiedla — nasi rodacy po prostu ogłosili strajk. Po kilku dniach Anglicy, pozbawieni najlepszych rzemieślników skapitulowali, uznając prawa Polaków do pełnego obywatelstwa. Drugi historyczny ślad, mianowicie napis w języku polskim — pozostawili nasi rodacy na studni w Jamestown, którą wybudowali. Na temat dalszych losów naszych pionierów można snuć tylko domysły. Najprawdopodobniej ulegli oni wynarodowieniu, żeniąc się z Angielkami.

Niestrudzony badacz dziejów Polonii amerykańskiej, Mieczysław Haiman już po drugiej wojnie światowej odnalazł ślad dotyczący losów jednego z pierwszych pięciu Polaków, którzy w roku 1608 wylądowali w Ameryce. Jest to pamiętnik napisany przez Zbigniewa Stefańskiego zatytułowany „Pamiętnik handlowca" i wydany przez amsterdamskiego księgarza. Obecnie trwają poszukiwania za oryginałem tego pamiętnika.

• • •

Wspomniany wyżej, nieżyjący już publicysta i historyk sporo czasu poświęcił wynajdywaniu dokumentów polskości w krótkiej historii Ameryki Północnej. Zebrał on również materiały dotyczące losów pewnego koszalińczyka, nazwiskiem Daniel Liczko. Ów dzielny nasz rodak zaciągnął się najpierw w służbę Holendrów, którzy w XVII wieku zajmowali się penetracją Brazylii. Istnieją podstawy do przypuszczeń, że Liczko odbywał służbę holenderską u boku sławnego podróżnika i arianina, Krzysztofa Arciszewskiego,

Zebrane przez Haimana dane mówią, że ambitny koszalińczyk po przybyciu do Nowego Amsterdamu — osady holenderskiej zbudowanej na wyspie Manhattan i przemianowanej później na Nowy Jork, założył tam wielką oberżę, z której ciągnął niemałe zyski. Potem wstąpił ochotniczo do załogi wojskowej Nowego Amsterdamu, pełniąc kolejno funkcje lekarza, urzędnika i oficera. Pod koniec życia zajmował stanowisko inspektora straży ogniowej grodu, który rozrósł się niebawem do rozmiarów największego miasta świata.

Z powyższych danych wynika, że Daniel Liczko z Koszalin był człowiekiem o szerokich zainteresowaniach i wszechstronnych umiejętnościach. Tacy ludzie byli zaś w owych czasach przeważnie wychowankami „braci polskich", czyli arian. Zresztą najlepszym przykładem może tu być sam Arciszewski — doskonały żeglarz, inżynier, poeta, świetnie znający rzemiosło wojenne i... medycynę.

• • •

Jednak ani tych pierwszych osadników z Jamestown, ani Daniela Liczko nie można uznać za pionierów Polonii amerykańskiej. Nawet emigracja powstała po wojnach napoleońskich i po powstaniu listopadowym nie dała organizacyjnych początków Polonii. Była to bowiem prawie wyłącznie szlachta, skora do wyrzeczenia się swej polskości. Trudnym do wynarodowienia był natomiast polski chłop i robotnik. Toteż o Polonii amerykańskiej można w zasadzie mówić dopiero wtedy, gdy do Ameryki poczęli masowo napływać chłopi i rzemieślnicy — innymi słowy, gdy powstała emigracja zarobkowa.

Pierwszą rdzennie polską kolonią w Ameryce była i nadal jest — wioska w południowo-wschodniej części stanu Teksas, w pobliżu sporego miasta San Antonio, nazwana Panna Maria. Inicjatorem jej założenia był ksiądz Leopold Moczygęba rodem ze wsi Płużnica koło Toszka. Ksiądz ów po ukończeniu seminarium duchownego w Gliwicach i wyższych studiów w Krakowie został przez braci Franciszkanów skierowany do pracy misyjnej na terenie Ameryki. Braciszkowie wyobrażali sobie, że Teksas jest pełen Indian pragnących na gwałt przyjąć wiarę katolicką.

Tymczasem po przyjeździe na miejsce ksiądz Moczygęba z żalem skonstatował, że Teksas jest pusty i dziki. Wówczas postanowił sprowadzić tam swoich rodaków, zamieszkujących przeludniony i ciemiężony przez Prusaków Śląsk.

Wiosną 1854 roku chłopi i rzemieślnicy z okolic Strzelc, Płużnicy Wielkiej, Werwentowic, Błotnicy, Księżego Lasu sprzedali swój lichy dobytek. 117 rodzin wyjechało do Teksasu. Podróż trwała prawie dwa miesiące i była dla zasiedziałych chłopów straszliwą mordęgą. Wreszcie jesienią 1854 roku — tracąc po drodze część dobytku i ludzi — przybyli na miejsce upatrzone przez księdza Moczygębę i wyznaczone przez władze. Kiedy obejrzeli okolicę, rozczarowanie ich nie miało granic. W swojej naiwności emigranci myśleli, że przybędą w okolice zagospodarowane, tymczasem ujrzeli krainę nieskażoną jeszcze cywilizacją, bez żadnych dróg, porosłą wysoką trawą i dzikimi ostami.

Początki były trudne. Szczególnie ciężka była pierwsza zima w Teksasie; dokuczały im straszne choroby, w tym najgorsza żółta febra dziesiątkująca kolonię. Pomocy nie otrzymali znikąd.

Jeszcze jesienią 1854 roku zaczęto mimo trudności budować kilka domów i kościółek z gliny. Wiosną następnego roku przystąpiono do uprawy ziemi. W pół roku później przybyła następna grupa kolonistów z okolic Toszka, a w rok później trzecia. Panna Maria rozwinęła się do rozmiarów sporej wioski.

Do trudności stwarzanych przez przyrodę doszły ciągłe utarczki z okoliczną ludnością. Szczególnie napastliwi byli cowboye, którzy z przybyłych do Teksasu emigrantów (przeważnie Polaków i Niemców) chcieli — ograbiwszy ich poprzednio z dobytku — uczynić swoich niewolników. Początkowo nasi rodacy brali w tych utarczkach solidne lanie, potem jednak uzbroiwszy się od stóp do głów, stawiali zabijakom zacięty opór, a coraz częściej sami dawali im tęgie cięgi. W okresie wojny secesyjnej przyszedł im z pomocą oddział wojsk Północy, który ostatecznie rozgromił połączone siły cowboyów, uprawiających rozbój na konto armii Południa.

Panna Maria zachowała się do dziś. Zachowały się też w tej wiosce dawne śląskie zwyczaje, przetrwał polski język.

• • •

Kiedy już mowa o wojnie secesyjnej, niesposób pominąć milczeniem zasług dla Stanów Zjednoczonych jeszcze jednego Polaka, generała Albina Franciszka Schoepfa. Od dawna wiadomo było, że generał Schoepf był pochodzenia polskiego, lecz dopiero w ostatnim czasie został odnaleziony jego grób.

Urodził się on w roku 1822 w Podgórzu koło Krakowa (fotokopię jego aktu urodzenia zamieszcza 30 numer tygodnika „7 dni w Polsce"). Po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej w Wiedniu służył w armii austriackiej w randze kapitana. W czasie powstania na Węgrzech w 1848 roku przeszedł na stronę powstańców i zaciągnął się jako szeregowiec do armii Kossutha, w której dosłużył się stopnia majora. Po rozgromieniu powstania Schoepf skazany został na banicję. Wyjechał do Turcji, gdzie służył w wojsku pod rozkazami generała Józefa Bema, walcząc m. in. pod Allepo. Przez pewien czas pozostawał w armii tureckiej na stanowisku instruktora artylerii.

W roku 1851 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i brał udział w wojnie secesyjnej, początkowo w randze generała brygady. Później jako dowódca dywizji wsławił się w zaciętych bitwach pod Perryville, pod Monticello, pod Hyatsville i w Rock Castle County.

Po zakończonej zwycięsko wojnie objął stanowisko szefa egzaminatorów w Urzędzie Patentowym w Waszyngtonie i na tym stanowisku pozostał aż do zgonu. Umarł w 1886 roku w Hyatsville, Md., a zwłoki jego zostały złożone na cmentarzu „Congresional" w stolicy Stanów Zjednoczonych.

• • •

Poważna część naszej emigracji ulega procesowi wynarodowienia, ale istnieje niemniej liczna grupa społeczności polonijnej, która nie straciła kontaktu z językiem, kulturą i obyczajami swoich przodków, która Polskę szczerze kocha i do Polski po swojemu tęskni.

JAN FIEBIG

„Bar Pulaski" w Detroit. Właściciel tego baru jest nie tylko pochodzenia polskiego — ale jest także dobrym polskim patriotą. Swój bar nazwał imieniem wielkiego bohatera dwóch kontynentów.

Paryż od A do Z

(Dokończenie ze str. 1)

H — HOTELE nie należą w Paryżu, jak u nas, do rzadkości — przeciwnie, do rzadkości należy ulica, przy której nie ma przynajmniej jednego hotelu.

I — ILUMINACJA miasta trwa stale, ulice toną w świetle neonowych reklam. W nocy na więcej ożywionych ulicach jest tak jasno, że bez trudu można czytać gazetę, chociaż gazety francuskie z zasady drukowane są bardzo małymi czcionkami. Największy nakład posiada dziennik „France Soir": 1.350.000 dziennie.

J — JAK KTO CHCE, tak się ubiera, nie zwraca tu uwagi najwięcej nawet ekscentryczny strój. Na ogół jednak nowe modele, lansowane przez królową Modę, są noszone raczej przez... cudzoziemki, zwłaszcza Polki. Francuzki ubierają się skromnie i bez ekstrawagancji, wyszły też z mody głębokie i szerokie dekolty.

K — KWIATY w Paryżu dostać można przy każdej prawie ulicy, w kioskach. Najpopularniejsze są róże, goździki i mimoza.

L — LISTEK FIGOWY jest nieodłącznym elementem nawet przy najbardziej nagich punktach programów kabaretowych. Wszelkie strip-teasy odbywają się właśnie do granicy tegoż „listka". Nawiasem wypada zauważyć, że strip-tease — wbrew naszej opinii — nie jest wynalazkiem paryskim — jest to pomysł amerykański i w Stanach Zjednoczonych należy do stałych punktów programów kabaretowych już od blisko pół wieku.

Ł — ŁAZIKOWANIE po Paryżu należy do dużych przyjemności. Każda ulica odsłania inną ciekawostkę, każda dzielnica (a jest ich 20) ma inny charakter. Niekiedy jednak widuje się „łazików" uprawiających ten sport nie dla przyjemności. Są to typowi dla Paryża włóczędzy-nędzarze („clochards").

M — METRO jest najtańszym i najszybszym środkiem lokomocji, cały Paryż podkopany jest jego tunelami. Nie ma co się spieszyć do pociągu, bo za minutę podczas dnia, za dwie lub najwięcej pięć, w godzinach późno wieczornych nadjedzie następny. Pociągi metro chodzą jak w zegarku, przewożą dziennie dwa miliony pasażerów, a długość wszystkich podziemnych linii wynosi 384 tysiące km.

N — NOTRE — DAME i wieża Eiffla — to dwa symbole Paryża: symbol średniowiecza i symbol nowoczesności. Wieża Eiffla została w tym roku nadbudowana o 20 m. wskutek zainstalowania na jej szczycie stacji telewizyjnej, wysokość jej wynosi więc obecnie 320 m.

O — OGRÓD LUKSEMBURSKI, najpopularniejszy park Paryża — kwiaty, fontanny, pomniki, a trawniki — nie ogrodzone i nie wydeptane. Nie ma nawet tabliczek z napisami „Nie niszczyć zieleni"...

Ó — ÓW PIELGRZYM, który na pomniku dłuta Bourdelle'a, patrząc w stronę Polski, na Wschód, stąpał na wysokim cokole pośrodku placu de l'Alma, od wiosny tego roku widnieje nieco dalej, a bliżej Sekwany. Tam bowiem przesunięto pomnik Adama Mickiewicza w związku z podziemną przebudową placu. Poza Mickiewiczem na pomnikach paryskich znajdują się jeszcze z Polaków Chopin, ks. Józef Poniatowski i Maria Leszczyńska, królowa Francji, żona Ludwika XV. Paryż posiada kilka pomników dłuta polskich rzeźbiarzy: Landowskiego i Witiga.

P — POLSKA DZIELNICA w Paryżu — to Saint-Paul, popularnie zwany „Sampolem". Tu spotyka się polskie szyldy kawiarni, restauracji i sklepów. Przeważnie jednak mieszkają tu wykolejeńcy i wydrwigrosze — polska emigracja robotnicza przeniosła się w inne dzielnice, m. in. opodal, do Dzielnicy Łacińskiej i na Wyspę św. Ludwika, na której znajduje się też Biblioteka Polska i jedna z trzech polskich księgarni paryskich.

Q — QUO VADIS to stały bestseller w księgarniach. Ostatnio wyszło nowe wydanie francuskie tej powieści Sienkiewicza, ozdobione fotosami z nowego filmu amerykańskiego. Powodzenie tej powieści — nie tylko we Francji — od tylu już dziesiątek lat jest wprost niebywałe.

R — RESTAURACJE, kawiarnie, bary, knajpki, kafejki, co kto chce, od największych do najmniejszych, od luksusowych do taniutkich. Prawie nie ma kamienicy w Paryżu, w której by nie mieścił się jakiś lokal gastronomiczny. Ostatnio modne stały się liczne bary samoobsługowe, „self-service", których jest już kilkadziesiąt.

S — SKUTERY stały się najmodniejsze, pobiły zupełnie rowery i motorowery. Na skuterach jeżdżą tu wszyscy: studenci na wykłady, kobiety, księża, prawie dzieci, a także dostojni staruszkowie.

T — TAKSÓWKI paryskie mają liczniki z zewnątrz i napisy (wieczorami i w nocy oświetlone) „TAXI" nad szoferką. Taksówkarze są uprzejmi, rozmowni, chętnie wskazują mijane ciekawostki i nigdy nie odmawiają jazdy nawet na najmniejszą odległość.

U — UŚMIECH jest tu emblematem powszechnym — uśmiecha się przechodzień przypadkowo potrącony, uśmiecha się policjant udzielając informacji, uśmiecha się ekspedientka w sklepie i kelner w restauracji. A skoro jesteśmy przy literce „u", to jeszcze **UPRZEJMOŚĆ**, obowiązuje ona w Paryżu wszystkich i wszędzie.

V — VADEMECUM paryskim jest tygodnik „Semaine à Paris", podający programy wszystkich lokali rozrywkowych i adresy restauracji, spisy wszystkiego, co warto w Paryżu zobaczyć.

W — WINDY w metro, w magazynach, w hotelach i w domach prywatnych — stale na chodzie! Nie ma ograniczeń zakazujących zjeżdżania w dół lub używania windy pojedynczej osobie. Także schody ruchome, których tu pełno, zawsze są czynne, co niemało zadziwia przybysza z Polski.

X — XERXES nie był w Paryżu, ale był tu Cezar, a po rzymskim władaniu nad Francją pozostały do dziś liczne i dobrze zachowane pamiątki w postaci aren, cyrków, amfiteatrów, bram triumfalnych, akweduktów i posągów od La Turbie na Riwierze aż do Paryża, który ma rzymskie areny. W tych czasach Paryż nazywał się Lutetia i znajdował się właśnie w tej Galii, którą — jak pamiętamy z którejś tam klasy — „est omnis divisa in partes tres".

Y — Y — to nazwisko — najkrótsze nazwisko francuskie. Co za oszczędność!

Z — ZAKOCHANI chodzą po ulicach objęci, siadają na ławkach i całują się. Nikt na to nie zwraca uwagi. Natomiast pocałunek w rękę wywołuje pewne zdziwienie, nieraz zażenowanie.

Ż — ŻART w Paryżu ma pełne prawo obywatelstwa, nikt się tu nie obraża o karykaturę, parodię. Bawią się młodzi i starzy, nie ma „tabu", którego by nie można obśmiać w piosence, w skeczu, w rysunku.

Ź — ŹDZIEBEŁKO PRAWDY znajduje się jak wiadomo — w każdym przysłowiu czy powiedzonku. Na pewno więc takie źdźbełko, a może więcej niż źdźbełko, znajduje się w znanym powiedzeniu, że w Paryżu nie można być nieszczęśliwym...

„Szlumerek" pod strażą niedopitej flaszki wina.

Widuje się łazików uprawiających ten sport nie dla przyjemności...

Na skuterach jeżdżą tu wszyscy... Fot. Edward Etler

RÓWIEŚNIK

SPOTKANIE PIERWSZE

Któregoś wieczoru w kawiarni „Kryształowa" w Katowicach młody człowiek podawał się za Dygata. Kilka dziewcząt otaczało go kołem, a on za ćwiartkę proponował przyjęcie wierszy i opowiadań do „Przeglądu Kulturalnego", na deser dodawał jeszcze rozmaite historie z „Leśnej Podkowy".

Opowiedziano mi to, jako doskonałą dykteryjkę; ktoś wymienił nazwisko. Zabrzmiało dziwnie znajomo. Czyżby? Zapytałem o imię, zgadzało się. Dowiedziałem się jeszcze, że pracuje jako technik budowlany w jednym z biur projektowych i właściwie zapomniałem o tej całej historii. Ale Katowice nie Paryż, któregoś dnia spotkaliśmy się niespodziewanie na ulicy. Dawny kolega szkolny z jednej ławki, z jednego koła ZMP, z jednego miasteczka i ulicy. Rodak! Jak tu nie wypić kieliszka wina?

— Spłukałem się ostatnio — opowiedział na wstępie, gdy przeszliśmy do rzeczowej rozmowy — imieniny. Mały wypadunek taksówką do Krakowa na likierek, żeby odetchnąć atmosferą...

Dał mi tym odczuć swoje położenie w „sferach". Kilkakrotnie wymieniał nazwiska czołowych katowickich publicystów rzekomo jako swoich serdecznych przyjaciół. Po tym okazało się, że jakoś nic więcej po tylu latach nie mamy sobie do powiedzenia.

SPOTKANIE DRUGIE

— Do pracy nie wracasz? — zapytałem.

Szedł obok mnie i mówił:— „To było nie dla mnie. Sam rozumiesz. Ta krępująca dyscyplina. Czy kulturalny człowiek w dwudziestym wieku może to wytrzymać? Od rana do roboty na ósmą i tak przez siedem, albo osiem godzin. To nie dla mnie. Ja chcę być wolny. I do tego muszę przecież żyć, teraz, gdy nie pracuję, muszę zarabiać.

Jeszcze ciągle nie wiedziałem, czy to ma być żart, czy cynizm. — Mieszkam teraz w Warszawie. Śląsk jest zbyt brudny, żeby tu można było dłużej zostać i mam mnóstwo interesów, nie mam czasu myśleć o pracy — wytłumaczył.

A zarobki obliczam dziennie...

— Tak, dziennie. Wypada mi 380 złotych, nie licząc prowizji 10 proc. od wszystkich nowouzyskanych prac w zakładach. Nasza fabryka robi dla tutejszych zakładów rozmaite precyzyjne przyrządy i urządzenia, w szczególności do mierzenia ciśnień.

— Wasza?

— No tak, prywatna. Ja tylko pomagam, jeżdżę na „kontrolę" i załatwiam interesy szefa. Trochę kombinuję walutą. Najczęściej przyjeżdżam na Śląsk, najlepszy zysk, trzeba tylko dobrze obliczyć co się opłaci.

— Żeby nie wpaść?

— I żeby nie stracić. To jest zupełnie legalny interes tylko trzeba „odpowiedni" obrót podawać, no i uważać...

A ty — zapytał nagle mi mochodem, z tak wyrozumiałym grymasem twarzy — na ile ty wychodzisz? No powiedzmy miesięcznie.

Chciałem się roześmiać, ale ton jego głosu był tak wielkopański i wyrozumiały zarazem.

— Zarabiam około 1500 zł miesięcznie.

— No, no nie udawaj. Po co ta mowa do mnie. Tylko, że u nas nie można tak żyć, jak na to stać. Najbardziej przykre: kupisz samochód i nie możesz nim jeździć. Kumpel chodził do „Orbisu", płacił zbyt duże rachunki, w ciągu miesiąca podpadł. Wrócił do domu, a tu wszystko zajęte: samochód, biżuteria meble, mieszkanie.

Pytają go skąd wziął, tak właśnie po chamsku zapytali.

Widzisz, takie kłopoty mamy my. Kumplowi wlepili w Katowicach półtora miliona domiaru. No naturalnie jego stać na zapłacenie, ale po co ma im oddawać taką forsę.

— Czy znalazł wyjście?

— Naturalnie. Wyjście zawsze się znajdzie. Zajdź ze mną na koniaczek — ja się teraz przestawiłem na chiński postępowo! — zaśmiał się i chciał mnie klepnąć po ramieniu. Odsunąłem się. Kiedy usiedliśmy, mówił dalej:

Sam chcę zacząć kręcić jakiś interes, tylko muszę się wkupić do którejś z prywatnych spółek. Jakieś 200, 300 tysięcy, forsa się zamortyzuje w ciągu trzech miesięcy, albo założę pracownię plastyczną, zatrudnię kilku plastyków.

— Słuchaj — powiedziałem — ja studjowałem po to, żeby być przydatny społeczeństwu.

Nie, nie wybuchnął śmiechem, udawał tylko, że bardzo zainteresowały go wypielęgnowane paznokcie. Podpatrzył gdzieś, nonszalancki sposób zaciągania się papierosem i teraz mi go bezustannie demonstrował.

— Jakbyś chciał za 20 patyków mogę ci tutaj w Katowicach skombinować mieszkanie — luksus.

• • •

Przyznam, że nigdy właściwie nie denerwowały mnie tak bardzo historie o kapitalistach, nie doznawałem w sobie uczucia nienawiści tam to wszystko było z książek, ale on: ten mój rówieśnik, który kiedyś był moim przyjacielem.

Przemknie swoim sportowym wozem brudnymi, zakurzonymi uliczkami Śląska via Zakopane. Wychował się w Polsce Ludowej nauczył się już u nas żyć kosztem cudzej pracy.

Gdzieś tutaj za stolikiem w katowickiej „Europie" czy „Orbisie" ubija swoje interesy. Drwi z nas wszystkich, drwi z naszych wysiłków i z naszego życia. On jest również przedstawicielem naszego pokolenia dwudziestoletnich, na naszych oczach stawał się tym, czym jest obecnie, na naszych oczach kształtował swoją „moralność" zaczął kpić z naszej pracy, kpić z naszych uczuć i przekonań. Nazywa się... nie sądzę, żeby jego nazwisko było tutaj potrzebne.

ROMAN SAMSEL

POPRAWKI DO KISCHA

W PEKINIE wpadły mi w ręce reportaże Egona Erwina Kischa pt. „Chiny bez maski". Wydanie drugie z roku 1949.

Kisch to doskonały reporter, człowiek, który znał Chiny i któremu bliskie były wszystkie kluczowe problemy tego wielkiego kraju, rozprzestrzeniającego się na prawie 10 milionach km. kwadr. Był on tutaj osobiście i w milionowych miastach i w malutkich, cichych wioskach. Zetknął się bezpośrednio z Chińczykami i ich życiem, wnikliwie przeanalizował ówczesne zjawiska polityczne i społeczne.

Ale przecież E. E. Kisch pisał swe reportaże przed II-gą wojną światową.

Książka jego, czytana dziś bez komentarza, da niezbyt wnikliwemu czytelnikowi bardzo jednostronne doznanie, może nawet wręcz zamącić obraz, a przed dociekliwym postawi szereg palących pytań, z nasuwającym się przede wszystkim pytaniu, a jak jest dzisiaj?.

Jest zupełnie inaczej, zmieniło się dogłębnie i radykalnie.

ZMIANA ustroju, przebudowa polityczna i społeczna. Nowi czytelnicy nowego wydania książki Kischa wiedzą o tym. Ale nie wszyscy wiedzą o zasadniczych, najistotniejszych zmianach, jakie tu zaszły w podejściu do zagadnień moralnych. Wszystko to ma posmak wydarzeń cudownych, nie mieszczących się w pojęciach przeciętnego Europejczyka. Jest to rewelacyjny dowód wielkich możliwości chińskiego narodu, zdarzenie nie notowane w historii i powinno się stać wspaniałą nauką dla każdego kraju na kuli ziemskiej, a nawet dla poszczególnego człowieka.

Proszę sobie dobrze uświadomić mówić będziemy o zmianach, które zaszły w łonie 600 milionowego narodu. W jakim czasie? W ciągu 9 lat. Słownie: dziewięciu lat, bo liczyć możemy dopiero od wyzwolenia Chin, tj. od roku 1949. Nie od chwili, gdy pisał Kisch. Nas obowiązuje data wyzwolenia, bo od tego czasu przystąpiono do walki o wychowanie narodu.

Kisch, malując tragiczne położenie Chin w okresie międzywojennym, mówi o powszechnej nieuczciwości. O tym, że wszyscy, dosłownie wszyscy, biorą łapówki, tak zwane „squeeze". Portier od przedsiębiorstwa dorożek samochodowych, kucharz od handlarza warzyw, kulis domowy od okolicznych sklepikarzy, żona urzędnika od dostawcy, urzędnik celny od klienta itd. itd. Nie można niczego załatwić bez „squeeze", nie można po prostu żyć inaczej, niż dając łapówki.

Prócz tego opisuje Kisch drugą klęskę: napiwki, tak zwane „kumsza". Trzeba je dawać każdemu: windziarzowi, boyowi w hotelu, dorożkarzowi, gońcowi itd. itd. Bez „kumsza" też nie można było uczynić ani kroku. Ponadto, jak relacjonuje Kisch, kupiec oszukuje na wadze i jakości towaru, kursują fałszywe pieniądze, ryksze zostawione bez opieki znikają natychmiast, kradzież, przestępstwa, zbrodnia, opium, inne narkotyki...

CZYTAM o tym wszystkim uważnie w reportażu „Chiny bez maski" i przeżywam bardzo skomplikowane uczucia: radości, że po tym nie ma już ani śladu, dumy z narodu chińskiego, odrzucającego tak błyskawicznie wiekowe wady, spokojnego zadowolenia ze zmian, które zaistniały.

Na czoło cech narodowych współczesnych Chińczyków wysuwa się uczciwość i życzliwa uprzejmość. Wśród wielu bardzo pięknych cech, te dwie wiążą się z sobą tak ściśle, że trudno byłoby mi mówić o jednej, pomijając drugą. Europejczyk nabiera tu przekonania, że życzliwa uprzejmość zawsze chyba towarzyszy uczciwości, że inaczej wprost być nie może.

Już od pierwszych dni pobytu w Chinach każdy przybysz z dalekiej Europy jest oszołomiony i urzeczony nie tylko nowością i egzotyką otoczenia, ale przede wszystkim odrębnością charakteru Chińczyków, wielkimi ich wartościami moralnymi.

Pierwsze olśnienie przeżyłam natychmiast po przyjeździe, w drodze z dworca w Pekinie do hotelu Ju-i Pin-Kuan. Szofer śpieszył się nieco, chcąc jak najszybciej dowieźć mnie na miejsce po długiej, męczącej podróży z Moskwy. Około jakiegoś skrzyżowania ulic wpadł niemal na nas drugi samochód. Ktoś się spieszył jak i my. Zarzuciło mocno, szofer poleciał wprost na kierownicę, ja też prawie oparłam się twarzą o przednie siedzenie. Nielepiej działo się i w drugim aucie. „A to będzie awantura" — pomyślałam ze zniechęceniem. Ale gdzie tam! Nasz szofer wybuchnął wesołym śmiechem, szofer drugiego wozu uśmiechnął się także, pomachali do siebie bardzo życzliwie rękami w białych rękawiczkach (szoferzy noszą tu takie właśnie rękawiczki) coś zagadali serdecznie i rozjechali się w dwie strony, odprowadzeni pogodnym, szerokim uśmiechem milicjanta.

Nie było wrzasków, przekleństw, złorzeczeń, wzajemnego wygrażania sobie, soczystych, aż kapiących złością, przykrych wyrazów. Nie do wiary! Nic chyba nie przekonałoby mnie bardziej jaskrawo, że jestem ogromnie daleko od ojczyzny...

PAŁAC LETNI W PEKINIE — Foto — CAF

A potem olśnienia poszły długim szeregiem i wciąż narastają, choć mija już wiele miesięcy od mojego przyjazdu.

UCZCIWOŚĆ Chińczyków uderza na każdym kroku. W hotelu nikt nie zamyka biurka ani szafy na klucz. Drzwi pokoju są tu także stale otwarte. Dzień i noc. Mowy nie ma, by coś zginęło, by ktoś czegoś dotknął, coś ruszył. Cudza rzecz w Chinach to naprawdę rzecz święta i ważniejsza od własnej. Bieliznę do prania wykłada się na korytarz, obok drzwi pokoju, nie troszcząc się wcale o jej dalsze losy. Wróci na pewno w całości, wyprana, z dyskretnie położonym na niej rachunkiem, o zapłacenie którego nikt się nie upomni. Musimy sami o tym pamiętać, by „nie stracić twarzy".

W restauracji, teatrze itd. można zapomnieć torebkę. Wróci na pewno do właścicielki cała i nietknięta. O takich drobiazgach jak szalik, sweter, rękawiczki — nie warto nawet mówić — po prostu nie ma sposobu, by je zgubić. Zawsze, prędzej czy później wrócą do właściciela. Chińczycy dojdą do tego, czyja to własność, i odniosą. Mój znajomy Polak zostawił w aucie szalik. Nie pamiętał numeru wozu, machnął ręką. Ale... po tygodniu szal wrócił do niego i to pięknie wyprany!

W miejscach publicznych, w szatniach nie ma szatniarzy. Każdy sam wiesza i sam bierze swoje okrycie. Nikt nikomu nic czego nie porywa, nie zabiera, nie kradnie, nie zamienia.

Dla przykładu: w hotelu „Pekin", czy w innym jakimś lokalu, wiszą długim szeregiem cenne futra, piękne płaszcze, na nich tu i ówdzie ktoś zawiesił, wchodząc do restauracji, swój aparat fotograficzny, torebkę itp. Spokojna głowa! — jakby powiedział Wiech — zastanie wszystko na miejscu, gdy będzie wychodził. W nie zamkniętych autach zostawia się wszystkie okrycia, pakunki, drobiazgi, aparaty fotograficzne itd. Samochód stoi na ulicy. Mijają go setki i tysiące ludzi. Wcale nie zamożnych, nie przesyconych dobrobytem, wręcz przeciwnie, bardzo skromnie bytujących, ciężko wiążących koniec z końcem, bo tak właśnie żyje tu przeciętny obywatel. Ale nic nikomu nie ginie bo bardzo poważnie zajęto się zagadnieniem złodziejstwa, włączając umiejętnie cały naród do walki o powszechną uczciwość.

Czy wobec tego w tym kraju nie może zdarzyć się wypadek kradzieży?

Starałam się znaleźć na to pytanie odpowiedź. Wypytywałam moich studentów — Chińczyków, rozmawiałam z Polakami mieszkającymi w Chinach, z inżynierami Polakami, Rosjanami, Niemcami, którzy przemierzają tu cały kraj. Sama podróżowałam. Jeden jedyny raz dowiedziałam się o wypadku kradzieży. W maju bieżącego roku w Sianie (duże miasto) złapano Chińczyka na drobnej kradzieży kieszonkowej. Niemal wszystkie domy i płoty oblepiono plakatami z fotografią złodzieja i odpowiednimi do tego uwagami. Wszyscy mieszkańcy byli wzburzeni, czuli się wprost współwinni i zawstydzeni głęboko, że stało się to w ich mieście.

W SKLEPACH można zaufać informacji i radzie każdego ekspedienta. Na pewno określą oni jakość towaru, na pewno zmierzą czy zważą uczciwie i bardzo dokładnie, solidnie obliczą cenę i wydadzą jak należy resztę. Można spokojnie im polecić swój los przy zakupach. Jeśli towar nie jest najlepszy, nie będą go zachwalać — przeciwnie — przestrzegą, ale jeśli kupiec — Chińczyk powie, że coś jest dobrej jakości to trzeba mu wierzyć bez ciążą ekzekucji na zbrodniarzach, jednego wcisnęli w rozłupany pień i piłują go razem z tym pniem, drugiemu głowę zanurzają w rozpalonym kotle itd.

Jestem w Pekinie już tyle miesięcy — nic i nikt mi o tej świątyni nie mówił, choć przecież starałam się poznać stolicę Chin jak najdokładniej. Nie mogę i teraz jakoś się o nią dopytać.

Signum temporis! Świątynia kar straciła aktualne znaczenie, bo i któż by tam nosił ofiary i słał modły do władców „osiemnastu czarcich prowincji" — jeśli nie ma złodziei i oszustów? Komu właściwie może być teraz potrzebna?

IRENA KRZECZEWSKA
PEKIN

Na zdjęciu: Pekin. Po prawej: nowy hotel, po lewej szpital.

LICHWIARZE

POJAWIAJĄ się niemal codziennie. W Katowicach w Krakowie, w Warszawie — słowem w całej Polsce. We wszystkich gazetach zamieszczających drobne ogłoszenia. Znajdziecie je zawsze w rubryce „Różne". Brzmią niemal zawsze jednakowo, zmienia się tylko kwota — prawie nigdy treść. „Mam 30.000, 50.000, 70.000 — Oczekuję propozycji".... Nie ma adresu — to zrozumiałe, nie należy się przecież afiszować z grubszą gotówką, jest natomiast szyfr ogłoszenia. Na liścik, — propozycję zjawia się natychmiast. Bez zwłoki. Byznes yz byznes...

Nie, na spółkę w jakimkolwiek legalnym interesie nie reflektują... Nie kalkuluje się... Jeszcze, gdy w grę wchodzi jakiś nielegalny „geszeft", ale dostatecznie bezpieczny i przynoszący szybko zysk, to może się ewentualnie skuszą — ale najchętniej służą pożyczką... Nie z grzeczności. Dla lichwy.

Procedura jest prosta. Nie potrzeba żadnych biurokratycznych ceregieli. Tu nikt nie wystaje przed okienkiem, nie wymaga mnóstwa kwestionariuszy, ankiet. Tu załatwia się szybko i dyskretnie, ale za to się żąda. Procentu. Wysokiego 10—20% miesięcznie. Kto się nie zgadza, komu nie odpowiada — niech nie pożycza... Niech idzie do banku, i tak nie dostanie, przyjdzie z powrotem, będzie za późno. Gobseck z Katowic, Chorzowa, czy Zabrza nie zna pardonu. Śmierć frajerom.

Procedura jest prosta. Wystarczy zastaw. Może być papierośnica (oczywiście złota), może być pierścionek, może być inny przedmiot wartościowy. Pożycza się i tak tylko pod połowę wartości zastawu według ceny udzielającego pożyczki, który nie lubi taksować fantów zbyt wysoko. I powtórzmy — procedura jest prosta. Po miesiącu należy przynieść pożyczoną kwotę, plus omówiony procent. Jeśli się nie ma całej kwoty, też nie szkodzi... Ale procent musi być i wtedy transakcja przedłuża się automatycznie o dalszy miesiąc. A jeśli nie zgłosi się w terminie, to trudno. Katowicki Gobseck nie zna litości. Któż to zresztą widział by w sprawach handlowych (dla Gobsecka uprawianie lichwy to wszakże handel) kierować się miłosierdziem. Zastawiony fant znika. Zostaje sprzedany lub nie, ale nieszczęsnemu dłużnikowi oświadcza się, iż został sprzedany. Dłużnik już na to nic nie poradzi. Zwróci się na milicję? Owszem, organa M.O. natychmiast rozpoczną śledztwo, tylko... Po pierwsze nie ma świadków przekazania lichwiarzowi przedmiotu pod zastaw (tego rodzaju transakcji dokonuje się przecież tylko w cztery oczy) a Gobseck nie obawia się rewizji. U niego w mieszkaniu MO zastawu na pewno nie znajdzie... Rozpoczęte śledztwo musi zostać umorzone. Z braku dowodów winy...

Niekiedy Gobseck nie bierze nawet zastawu. Jeśli pożyczającym jest ktoś zasiedziały, od lat zamieszkały w danym mieście, obywatel znany, Gobseck nie weźmie fantu. Po co? To potrzebne jest tylko wobec osób niepewnych. Ktoś znany nie ujdzie lichwiarzowi. Wystarczy jeśli wystawi odpowiednie weksle. Procencik się jeszcze bardziej powiększy, weksle wystawi się na zaokrąglone sumy, a resztę załatwi inkaso bankowe. Jeśli się weksli nie wykupi — załatwi to komornik.

Bywa, że w rodzinie ktoś poważnie zachoruje. Choroba wymaga leczenia, lekarstw i lekarzy. Nieraz drogich. Nie wszyscy mają w domu kilka tysięcy odłożonych na „czarną godzinę". Wówczas trzeba pożyczyć. W zakładzie pracy kasy zapomogowo—pożyczkowe nie zawsze dysponują pieniędzmi, nie zawsze szybko mogą je wypłacić, nie zawsze decydują się na pożyczki powyżej 1.000 złotych. A bywa, że choroba wymaga więcej... Skąd wziąć, jeśli się nie ma zamożnych przyjaciół? Wiadomo — tylko z jednego źródła. Jedynego i to nie zawsze najczystszego. Gobseck.

Pieniądz musi rodzić pieniądz — to przysłowie usłyszycie zawsze z ust Gobsecków. Oni się nie narzucają. Są cisi, usłużni, rozumieją ludzkie nieszczęście, tylko... Pieniądz musi rodzić pieniądz... Owszem, skoro ktoś znalazł się w potrzebie, jakże to nie pomóc bliźniemu? Tylko, że z tego powodu Gobseck nie może ponieść straty, więc sam potrzebujący rozumie, pożyczka musi być oprocentowana.

Gobseck nie pracuje, nie płaci podatków, nie rzuca się w oczy. Skąd ma pieniądze? Ze sprzedaży domu, z wygranej w „Karolince", w „Toto—Lotka". Jeśli nawet nie wygrał, zawsze znajdzie kupon na który padła wygrana i nim się wylegitymuje. Nie od dziś za każdym wygrywającym w gry liczbowe chadza gromada agentów skupujących szczęśliwe talony. Gobseck zawsze jest czysty, przynajmniej wobec władz skarbowych. Nigdy wobec sumienia. Zresztą — czy Gobseck ma sumienie?...

Oto akt oskarżenia. Krótki, wymowny. I właściwie można by na tym zakończyć. Ale jest w tym wszystkim jedno „ale". Gobsecków nie można zlikwidować. Nie można ich wykryć, są dobrze zakonspirowani. Rzadko kiedy korzystający z lichwiarskich pożyczek wyda swego Szyloka władzom... Nie dziwcie się temu. Nie wie, przecież, czy kiedyś los nie zmusi go do ponownego szukania pożyczki, a wówczas nie będzie już miał u kogo jej zaciągnąć. To proste. A niestety o pożyczkę, zwykłą normalną i bez lichwiarskiego procentu, niełatwo. Banki nie udzielają, chyba w wyjątkowych wypadkach, określonych specjalnymi ustawami, a i wtedy trzeba na nią bardzo długo czekać. Kasy zapomogowe pełne są podań i nie zawsze mogą spełnić prośby najbardziej potrzebujących. Skąd wziąć potrzebne pieniądze jeśli nie od Gobsecków?

Tak więc Gobseckowie czują się bezpieczni. Siedzą sobie spokojnie w kawiarni i czekają na klientów. Nie obawiają się niczego. Nie narzucają się nikomu, a jeśli ktoś korzysta z ich usług, to zawsze tylko z własnej, nieprzymuszonej woli. Nieprzymuszonej?...

W Poznaniu Spółdzielnia Usług Różnych otworzyła lombard. Jest to pierwszy lombard w naszym kraju. Nie wiem, czy jest to właściwe rozwiązanie, choć przypuszczam, że tego rodzaju placówka ma duże wzięcie w grodzie Przemysława. Nie wiem, gdyż sama myśl, iż mógłby tam ktoś zastawiać wartościowe przedmioty, by uzyskać pieniądze nie na jakieś ważne i istotne cele — lecz na wódkę, już nasuwa pewne zastrzeżenia. Ale jedno nie ulega wątpliwości. Powinien powstać jakiś Spółdzielczy Bank, który by udzielał ludziom prywatnym, krótkoterminowych pożyczek za zabezpieczeniem i oprocentowaniem, oczywiście unormowanym przez przepisy, by człowiek w potrzebie nie był zdany na łaskę Gobsecków. I by oni nie wzbogacali się, dziś jeszcze, na ludzkiej krzywdzie.

WIERNY PRZYJACIEL

KROCZĄCA niepewnie kobieta stuka laską o betonowe płyty chodnika. Ludzie mimo woli potrącają idącą. Kobieta przechodzi ulicę. Jadący rowerzysta nagle zahamował, zaklął szpetnie, że jakaś tam baba pcha się pod koła roweru. Kiedy jednak spostrzegł białą laskę stukającą o kamienny bruk, machnął ręką.

— Biedaczka — mruknął do siebie i pojechał dalej.

Rozmawiamy ze znajomą niewidomą z ulicy. Nazywa się Danuta Góralska. Jest magistrem prawa. Pracuje jako aplikant w Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu. Wzrok straciła w powstaniu warszawskim. Stało się to tak nagle... Odłamki sypiącego się szkła zraniły oczy. Nie pomogła operacja. Pani Danuta nie zdawała sobie początkowo sprawy z tego, co się właściwie stało. Życie stało się nocą. Noce — jedna za drugą — bezsenne. Góralska nie dała za wygraną. Rozpoczyna studia prawnicze. Kończy je z wynikiem bardzo dobrym. Pisze pracę magisterską. Ta pogodna, uśmiechnięta niewiasta znalazła sobie miejsce w życiu.

Dziś już pani Danuta nie jest samotna. Ma wiernego przyjaciela. Lassie, aczkolwiek niedawno służy swej pani, już zaprowadzi ją do sklepu, do znajomych itp.

— Wie pan, gdy ludzie pchają się przednim pomostem do tramwaju, Lassie szczeka głośno, dając znak, iż właśnie mnie należy się pierwszeństwo. Kiedy przychodzę do domu — mówi p. Góralska — odbiera mi torbę, przynosi do stóp ranne pantofle.

W czasie rozmowy z panią Danutą Góralską, siedzi między nami dumnie wielki pies. Obserwuje swą panią bystrymi oczyma, gotów w każdej chwili spełnić jej życzenia.

*

— Nora, chodź tu do nogi!

Owczarek bezszelestnie podchodzi do swego pana, siada obok niego na dwóch łapach, oczekując dalszych rozkazów.

— Oddaj głos...

— Hauu, hauu — Nora szczeka krótko i donośnie.

— Waruj.

Pies czujnie nadstawia uszy.

Walcownik huty „Florian" *Leon Kłusek* zadowolony z treningu, woła do siebie psa. Głaszcze go po sierści, częstuje kawałkiem cukru.

Kłusek wytresował już trzy psy dla niewidomych. Jednym z nich jest właśnie Lassie, czworonożny przyjaciel Danuty Góralskiej. Często otrzymuje listy od obecnych właścicieli psów. Z rozrzewnieniem piszą o ich wierności i posłuszeństwie.

W ogrodzie Oddziału Polskiego Związku Kynologicznego w Chorzowie przeszkolono już 15 psów dla użytku niewidomych.

Byłem ostatnio na niecodziennej uroczystości w Chorzowie. Z okazji X-lecia istnienia Polskiego Związku Kynologicznego otwarto tu pierwszy w kraju „uniwersytet" albo też jak kto woli, ośrodek szkolenia psów dla ociemniałych.

Oglądam klatki dla psów. Jest ich na razie 10. Obszerne, wygodne, z budami wewnątrz.

Zamierzamy wybudować dalszych 10 klatek, doprowadzić do nich kanalizację, światło. Cóż, nie mamy jednak pieniędzy. — tłumaczy nam prezes oddziału w Chorzowie — Rżok.

Chorzowski ośrodek, mimo skromnych możliwości, postanowił przeszkolić i wytresować dla niewidomych do końca br. ponad 30 psów.

J. Janik

Studentka

JUŻ sobie wyobrażacie ten szał? Cudowne damy na obłędnych szpilkach, suknie sterczące na boskich halkach, parasolczki od słońca, wieczorem dekolty, brokaty, etole i dyskretna woń wytwornych perfum? Wszystko w trapezach lub co najmniej w kapeluszach!

Troszkę to jednak nie tak wygląda. Jest ogromny, nie przeliczony tłum pracowicie zwiedzający wystawę. Ubrany wygodnie, praktycznie. Raczej mocno zgrzany i rozchełstany. Po kilku godzinach czy dniach zwiedzania, nie każdy ma jeszcze siłę zachować twarz. Panie moczą nogi w sadzawkach, panowie podwijają rękawy, kociaki niosą szpilki w rękach.

Ludzie ubrani są raczej konserwatywnie. Prawie nie widzi się trapezów, worków itp.

Mężczyźni rzeczywiście — w miękkich i spiczastych butach, do marynarek noszą rzeczywiście białe koszule i są — co uderza szczególnie Polaków — ubrani o wiele lepiej od kobiet (u nas odwrotnie). Mają modnie poszyte miękkie marynarki, krótko ostrzyżone włosy.

EXPO-58

Kobiety ubrane skromnie, tyle, że w modnych butach. Króluje szmizjerka i spódnica z bluzką. Lepsze materiały, ale brzydkie buzie. Większość kobiet ubrana w plisowane spódnice z terlenu, które się nie gniotą i po praniu nie trzeba prasować.

Nie wierzcie w to, że nikt na nikogo nie patrzy. Wszyscy patrzą. Właśnie po to przyjechali, żeby się nawzajem obejrzeć.

Są Murzynki pozawijane w kolorowe szaty, prawie z kością w nosie, z przerażonymi Murzyniątkami na rękach. Japończycy w dżinsach, jacyś dziwni Szkoci w przedziwnych mundurkach i mnóstwo, mnóstwo dzieci wrzeszczących do rodziców wszystkimi językami świata.

Młodzież kolorowa, pełna fantazji, ubrana raczej campingowo, wygląda zupełnie jak u nas. Tylko młodzi Anglicy bladzi i poważni chodzą w granatowych marynarkach ze złotymi guzikami.

Jedynie Amerykanki sprawiają wrażenie, jakby zmęczenie, ani upały ich się nie imały: zawsze wyprostowane, wysokie i starannie zrobione chodzą w pończochach i na niebotycznych obcasach i często w niezwykle wąskich spódniczkach.

Wieczorem całe to towarzystwo bawi się bardzo wesoło. Ale nikt nie jest ubrany inaczej jak przez cały dzień (co nie znaczy, że tak jest i w innych krajach).

Jedna tylko sprawa jest niezwykła: starsze panie. Szczupłe i zgrabne, dyskretnie umalowane, z bardzo starannie uczesanymi włosami, ubrane modnie, ale bardzo skromnie, mają pięknie pozestawiane subtelne kolory, modne szpilki. To one właśnie są wcieleniem prawdziwej elegancji i dobrego smaku. Kobiety po 40-tce — wszystko przed wami!

HOFF

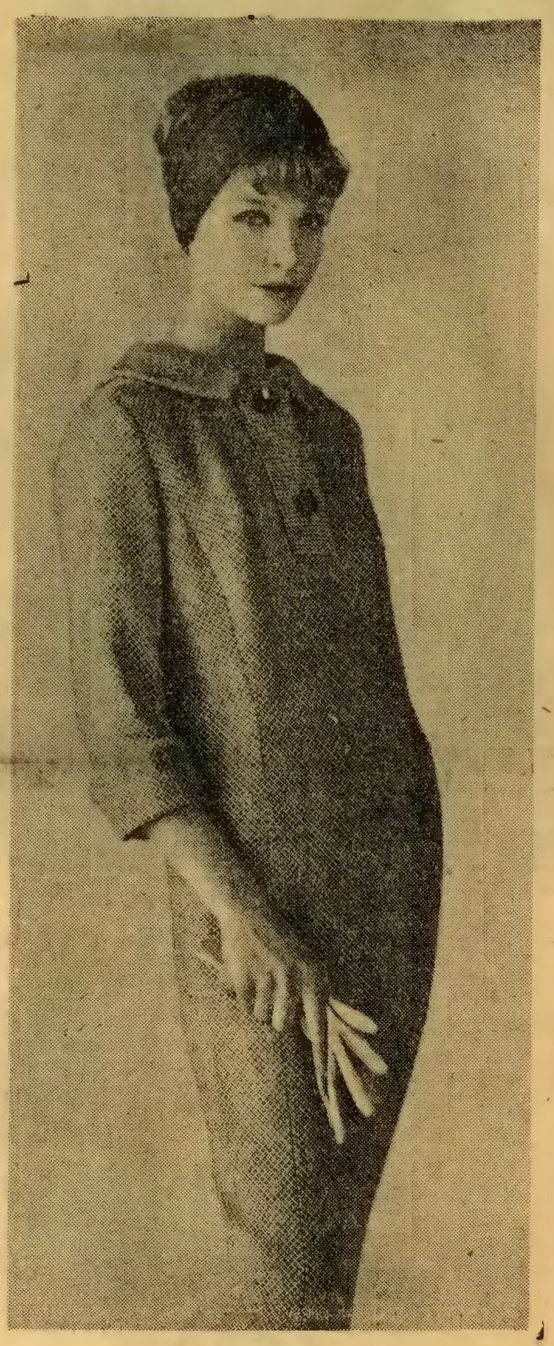

IDĄC na studia, młoda kobieta po maturze marzy o sprawieniu sobie czegoś „dorosłego". Nareszcie można wyrwać się spod kurateli mamy nareszcie można wyciąć sobie głęboki dekolt.

Tymczasem życie uczy, że na studiach trzeba być wyłącznie dobrze ubraną na codzień. Na potańcówki i tak idzie się zwykle tak, jak się stoi.

Moda studencka miała ostatnio wielki wpływ na żurnale, stąd pełno tam spódnic układanych w fałdy, prostych żakietów, granatowego koloru, a nawet złotych guzików.

Najważniejsza w gardrobie studenckiej jest prosta spódnica. Jeżeli można się na coś „szarpnąć", to radzę na nie gniotącą się spódnicę. Modna jest plisowana lub układana w małe kontrafałdy z prostego. Może też być wąska, z jedwabną podszewką.

Do tego bluzka koszulowa z wełenki, popeliny lub jedwabiu i szeroki pasek mocno ściągnięty, albo prosty sweterek noszony na wierzch.

Na zimę wskazana kamizelka swetrowa lub gruby sweter.

Jeżeli ktoś planuje wełnianą suknię proponuje worek lub trapez (wbrew plotkom nadal modne, pełno ich w żurnalach).

Na ulicę krótka kurtka (jak na zdjęciu), ale na zimę konieczna dłuższa: trzy czwarte, na wątolinie.

Najładniej wygląda się na szpilkach i w cieniutkich nylonach, ale chodzi się w kolorowych, wełnianych pończochach, gładkich, w żywych kolorach (znowu bardzo modne) i w półbutach.

Zwracam uwagę na modne przepaski na włosach, które świetnie „robią" obecną fryzurę.

Modne studentki noszą ledwo przykryte kolana!

Chusteczkę na głowie modnie jest wiązać pod brodą na węzeł (a nie z tyłu, jak dawniej).

HOFF

SWETROWE KAMIZELKI

Swetrowe kamizelki są ciągle niebywale modne. Są zupełnie proste, czasem bez ściągacza, a jeżeli ściągacz, to tylko zaznaczony. Jak najgładsze i skromne, zawsze jednego koloru.

Obecnie nosi się je za pięte, bez bluzki, do wąskiej lub układanej spódnicy.

Można naturalnie wkładać je na bluzkę, lub cienki sweterek — odpięte lub zapięte.

Rękawy zawsze podciągnięte (jak na zdjęciu).

Po południu można nosić kamizelkę z kilkoma sznurami korali.

Gdy nie jest zbyt gruba można nosić ją wieczorem bez bluzki, zapiętą pod szyję — do strojnej spódnicy.

Ładnie wyglądają wełniane pończochy w tym kolorze co kamizelka.

Na obu zdjęciach modne przepaski na włosach, które także powinny być w kolorze odpowiednim do kamizelki.

(h)

POWIEDZ MI JAK MIESZKASZ

Czy nasz przemysł meblarski może się pochwalić osiągnięciami? Niewątpliwie tak. Świadczy o tym chociażby eksport naszych mebli za granicę. Trzeba przyznać, że są one coraz ładniejsze, lepiej wykonane, poprawia się znacznie ich estetyka. Ze zdziwieniem jednak należy odnotować fakt, że na ostatnich Targach Jesiennych w Poznaniu, nie pokazano mebli najlepszych, pokazano natomiast asortyment mebli wręcz brzydkich, o formach dalekich od współczesności, ciężkich i bardzo drogich. Wystawcy tłumaczyli, że klienci „lubią" takie tradycyjne landary i kupują.

Stara wymówka! Klienci na pewno woleliby mieć meble lekkie, nowoczesne, przystosowane do skromnej powierzchni naszych mieszkań, ale niestety pojawiają się one w tak znikomych ilościach, że można na nie popatrzeć zwykle tylko przez wystawową szybę i to krótko, ponieważ są w mig rozchwytywane.

Dziś załączamy dwa rysunki — jeden z nich przedstawia wnętrze urządzone według przebrzmiałej „mieszczańskiej" mody z okresu międzywojennego, drugi pokazuje skromne estetyczne wnętrze współczesne. Meble niewielkie, lekkie zajmują na pewno mniej cennej przestrzeni w mieszkaniu niż „tradycyjne" landary.

(Stel)

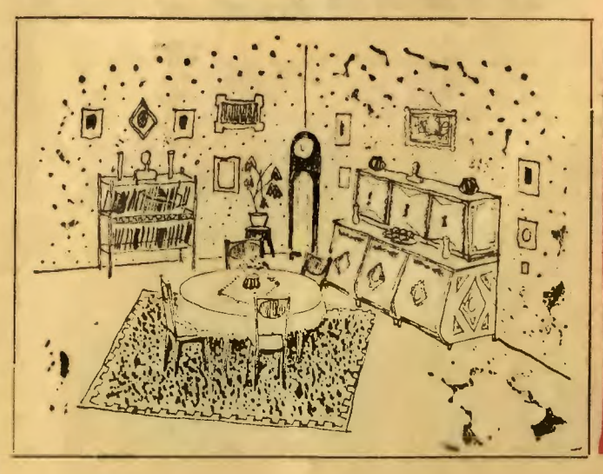

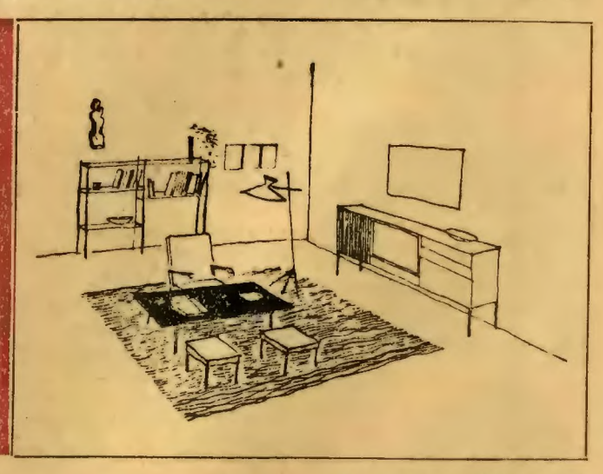

Kosmetyka

Nie bądźmy grubasami

NIESTETY, nadmierna tusza jest u nas zjawiskiem dość częstym. Wszyscy wiemy, że otyłość to największy wróg młodości i urody kobiecej, że prowadzi organizm do szybkiego męczenia i ociężałości, czyni go mało odpornym na choroby zakaźne, zabiegi chirurgiczne, sprzyja szybkiemu rozwojowi sklerozy tętnic, itd. itd...

Aczkolwiek wiele kobiet wie o tym i pragnęłoby stracić swą tuszę, jednak nie walczy z nią, bo to niewygodne, męczące i w ogóle — czy warto?

A jednak!

W zabiegach o szczupłą sylwetkę podstawowym przykazaniem będzie — „mniej jeść" i „inaczej jeść". Oto sedno całego zagadnienia. W Polsce w ogóle jada się okropnie dużo i bardzo tłusto w porównaniu z krajami zachodnimi czy południowymi. Wynika to przede wszystkim z łakomstwa i chęci „dogodzenia sobie". Jeżeli chodzi o obfitość spożywanych pokarmów, niejedna słaba kobieta pochłania ilość pokarmów odpowiadającą ciężko fizycznie pracującemu robotnikowi. Prawda, przyznaję, że pewien procent przypadków nadmiernej otyłości, jest wynikiem zaburzeń gruczołów wewnętrznego wydzielania, lecz i w tym wypadku dieta będzie miała ważne znaczenie.

Na początek trzeba odważnie stanąć na wagę i przekonać się ile kilogramów przybyło ponad normę. Norma? — tyle kilogramów wagi, ile centymetrów wzrostu ponad metr, dla mężczyzn z odchyleniem 10—15 proc. A więc, osoba o wzroście 1,65 m. powinna ważyć około 65 kg (mężczyzna do 75 kg).

Co zatem i ile należy jeść? Wystarczy jadać 3 razy dziennie, z tym, że nie wolno opychać się nigdy do syta. Trzeba unikać „przegryzania czegoś" między posiłkami, jak również dużej ilości płynów. Pić herbatę i czarną kawę bez cukru oraz wodę mineralną. Unikać zaparcia, gdyż często może być ono również przyczyną nadmiernej tuszy. W takich wypadkach należy stosować środki przeczyszczające.

PODSTAWĘ pożywienia, powinny stanowić czyste zupy, chude mięso tylko gotowane, nie zasmażane jarzyny (w obecnej porze: kapusta brukselska, szpinak, selery, marchew, pomidory, ogórki, zielone sałaty), surówki, chleb razowy lub Grahama, ryby, wątroba (wskazana o ile możności raz w tygodniu), chuda szynka, zbierane mleko, ser, owoce, herbata (zamiast cukru zalecam sacharynę).

Znakomicie na odchudzenie działa 1 dzień w tygodniu całkowicie „owocowy". W takim dniu jada się tylko surowe owoce, obecnie najlepiej jabłka, około 2 kg podzielonych na 6 do 8 porcji. Kto woli, może zastąpić owoce surówkami, lub zamiast dnia „owocowego", zastosować dzień „mleczny". (1,5 l. mleka dziennie podzielonego na 6 porcji). Ważne jest również, by ostatni posiłek zjeść co najmniej na godzinę przed udaniem się na spoczynek. W takie dietetyczne dni, wskazane jest więcej nieco leżeć.

Na drugim miejscu w walce o schudnięcie należy postawić regularne ćwiczenia gimnastyczne, oraz uprawianie sportów (tenis, pływanie, kolarstwo, spacery) naturalnie tylko przy zdrowym sercu. O ile ktoś nie ma czasu na gimnastykę poranną, powinien przynajmniej drogę do pracy odbyć pieszo. Chodzić szybkim, energicznym krokiem. Bardzo dobrze robi w czasie trwania diety odchudzającej, codzienna gorąca kąpiel, z dodatkiem soli kąpielowej, która oczyszcza pory skóry. Wskazane są także masaże odchudzające.

Sądzę, że warto spróbować i zastosować się do powyższych porad. (warto również zapoznać się z dietą proponowaną ostatnio przez pisma „Przekrój" i „Świat"), a przekonacie się o pomyślnych rezultatach. Zgrabna sylwetka, zdrowie i dobre samopoczucie, które tą drogą osiągniecie będą najlepszą nagrodą za niewielkie trudy i wyrzeczenia.

ALEKSANDRA KORTA

87

Ilustrował: J. MAREK

Jak zwykle, terminu nie udało się dotrzymać, i dopiero przed szóstą wszystko było gotowe i spakowane. Na czwartym siedzeniu znalazł miejsce miotacz. Bagażu wzięli bardzo niewiele, za to przytroczyli z tyłu do bagażnika stulitrowy kanister na wodę — większego nie dało się przeciągnąć przez tunel.

Inżynier, uzbroiwszy się w dużą lornetę, wlazł po obiedzie na wystający z ziemi kadłub i poszedł po nim, stąpając ostrożnie, w górę. Rakieta wbiła się wprawdzie w grunt pod bardzo małym kątem, ale dzięki jej długości koniec kadłuba z wylotowymi tulejami wznosił się dobre dwa piętra nad równiną. Znalazłszy niezłe miejsce do siedzenia między stożkowato rozszerzoną obsadą górnej tulei a zakleśnięciem głównego korpusu, Inżynier spojrzał najpierw za siebie, w dół, wzdłuż oświetlonej słońcem, olbrzymiej rury, gdzie u czarnej plamki tunelowego wylotu stali ludzie, nie więksi od chrząszczy, potem przyłożył oburącz lornetę do twarzy, i wcisnął starannie obie jej muszle w oczodoły. Powiększenie było znaczne i obraz drgał od wysiłku rąk, musiał oprzeć łokcie na kolanach, a to nie było łatwe. Nic prostszego, pomyślał, niż zlecieć stąd. Ceramitowa powierzchnia, twarda nie do zarysowania, była tak gładka, że wydawała się pod palcami śliska, jakby natarta cieniutką warstewką tłuszczu. Zaparł się gumową, profilowaną podeszwą buta o wypukłość tulei i systematycznie jął wodzić lornetą wzdłuż linii horyzontu.

88

Powietrze drgało od żaru. Czuł niemal fizyczny ucisk słońca na twarzy, kiedy patrzał tak na południe, bez większej nadziei, że coś dojrzy. Był rad, że Doktor chętnie przyjął plan Koordynatora, który wszyscy zaakceptowali. On sam mu go przedstawił. Doktor nie chciał nawet słyszeć o jakichś przeproszeniach — obrócił wszystko w żart. Zdziwił go, a nawet zaskoczył jedynie koniec tej rozmowy. Byli z Doktorem we dwóch i wyglądało, że nie mają sobie już nic więcej do powiedzenia, kiedy tamten dotknął naraz jego piersi jakby w roztargnionym zamyśleniu.

— Chciałem cię o coś spytać... aha. Czy wiesz, jak ustawić rakietę pionowo — kiedy ją odremontujemy?

— Najpierw będziemy musieli uruchomić ciężarowe automaty i kopaczkę — zaczął.

— Nie, przerwał mu Doktor — nie znam się na szczegółach technicznych, przecież wiesz, powiedz mi tylko, czy ty — ty sam — wiesz, jak to zrobić?

— Przeraża cię cyfra szesnastu tysięcy ton, co? Archimedes gotów był poruszyć Ziemię, mając punkt oparcia. Podkopiemy ją, i — przepraszam — jeszcze nie tak. Więc, nie — czy ty wiesz teoretycznie, czy znasz podręcznikowe sposoby, ale — czy jesteś pewien, że będziesz to umiał zrobić — czekajże! I czy możesz mi dać słowo, że mówiąc „tak", mówisz to, co myślisz? Inżynier zawahał się wtedy. Było tam kilka niejasnych punktów, w owym, jeszcze dosyć mglistym programie robót, ale powiadał sobie zawsze, że gdy nosem utknie właśnie w tej, najtrudniejszej fazie — jakoś to będzie. Zanim się odezwał. Doktor powoli ujął jego rękę i uścisnął ją.

— Nie, już nic — powiedział — Henryku, czy wiesz, dlaczego krzyczałeś tak na mnie? Ależ nie, ja ci tego nie wypominam. Jesteś takim samym bałwanem, jak ja — i nie chcesz się do tego przyznać. I uśmiechając się tak, że stał się naraz podobny do swojej fotografii ze studiów, którą Inżynier widział u niego w szufladzie, dodał:

— Credo, quia absurdum — czy uczyli cię łaciny?

— Tak — powiedział Inżynier — ale już ją zapomniałem. Doktor zamrugał, puścił jego rękę i odszedł. Inżynier został na miejscu, czując jak w opuszczonej ręce niknie ślad jego palców i pomyślał, że Doktor chciał właściwie powiedzieć coś całkiem innego, i jeśli się zastanowi, odgadnie, o co mu naprawdę szło — ale zamiast skupić się, poczuł, nie wiadomo czemu, rozpacz i strach. Koordynator zawołał go do maszynowni, gdzie na szczęście było tyle roboty, że nie miał już ani sekundy czasu na rozmyślanie.

Teraz rozpamiętywał tę scenę i to uczucie ale tak, jakby mu to ktoś opowiadał. Nie posunął się ani o krok dalej. Lorneta ukazywała równinę, aż po niebieszczejący horyzont wydętą w łagodne garby, poprzedzielane smugami cienia. To, czego spodziewał się poprzedniego wieczoru, i co zachował dla siebie — przeświadczenie, że odnajdą ich i rankiem przyjdzie do walki — nie sprawdziło się. Już tyle razy postanawiał sobie nie zważać na te przeczucia o mocy pewności, które go tak często nawiedzały! Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. W podwójnych szkłach rysowały się kępy smukłych, szarych kielichów, zasłaniane chwilami pyłem, podnoszonym przez wiatr, który musiał tam wiać, i to silnie, chociaż nie czuł go wcale na swym obserwacyjnym posterunku. Pod widnokręgiem teren stopniowo wznosił się w górę a jeszcze dalej, ale nie wiadomo już było, czy nie ogląda po prostu chmur, przepływających nad krajobrazem w odległości dwunastu, czy piętnastu kilometrów — majaczyły długie zagęszczenia ciemniejszej barwy, od czasu do czasu coś unosiło się tam i ropływało, czy zanikało, obraz był tak niewyraźny, że nic nie mówił — ale w owym zjawisku zaznaczała się jakaś niepojęta regularność; nie wiedział, na co patrzy, ale mógł zbadać częstość zachodzącej zmiany, i uczynił to, rzucając okiem na wskazówkę sekundnika — między jednym a drugim wypiętrzeniem czegoś ciemniejszego z czegoś mglistego naliczył osiemdziesiąt sześć sekund.

Schował lornetę do futerału i ruszył w dół, stawiając stopy mocno, całą powierzchnią na ceramitowych płytach, zrobił może dziesięć kroków, kiedy usłyszał, że ktoś za nim idzie. Odwrócił się gwałtownie, tak gwałtownie, że stracił równowagę. Wyciągnął ręce, zatrzepotał i upadł na pancerz. Zanim jeszcze podniósł głowę, usłyszał, wyraźnie powtórzony, odgłos własnego upadku.

Podniósł się na kolana, zgarbiony.

Jakieś dziewięć metrów dalej — na samym brzegu górnej sterującej tulei ponad dwupiętrową pustką siedziało coś małego, jak kot i śledziło go uważnie. Zwierzątko to — wrażenie, że ma przed sobą zwierzę, narzuciło mu się jako oczywistość — miało bladoszary, wydęty brzuszek, a że siedziało słupkiem jak wiewiórka, widział jego założone na brzuszku wszystkie cztery łapki, ze schodzącymi się pociesznie w samym środku pazurkami. Obrzeże ceramitowej tulei obejmowało czymś lśniącym żółtawo, jak zastygła galaretka, co wychodziła z końca jego tułowia. Szara, okrągła, kocia główka nie miała pyska ani oczu, ale cała była wysadzana czarnymi błyszczącymi paciorkami, jak poduszeczka z mnóstwem powbijanych, jedna przy drugiej, szpilek. Inżynier zerwał się, zrobił trzy kroki w stronę zwierzątka, tak osłupiały, że zapomniał prawie, gdzie stoi, i usłyszał potrójny odgłos, jak echo kroków. Zrozumiał, że stworzonko potrafi imitować dźwięki, postąpił wolno jeszcze bliżej i zastanawiał się właśnie, czy nie zerwać z siebie koszuli, aby posłużyć się nią, jak siatką kiedy zwierzątko nagle się odmieniło.

Łapki na bębenkowatym brzuszku zadrgały, błyszczący odwłok rozsnuł się, rozwinął, jak wielki wachlarz, kocia główka wyciągnęła się sztywno na długiej nagiej szyi, i stworzenie uniosło się w powietrze, otoczone migocącą słabo aureolą, przez chwilę wisiało nieruchomo nad nim, a potem oddaliło się spiralą nabierając wysokości, zakrążyło raz jeszcze i znikło. Inżynier zeszedł na dół i opowiedział najdokładniej, jak mógł co mu się przydarzyło.

— To nawet dobrze — a już się dziwiłem, czemu nie ma tu żadnych latających zwierząt — powiedział Doktor. Chemik przypomniał mu białe „kwiaty" znad strumienia.

— Wyglądały raczej na owady — powiedział Doktor — na tutejsze — no — motyle. Ale powietrze jest tu w ogóle bardzo słabo „zaludnione" — jeżeli na planecie ewolują żywe organizmy, powstaje „ciśnienie biologiczne", dzięki któremu muszą zostać obsadzone wszystkie możliwe środowiska, „nisze ekologiczne" — brakowało mi tu bardzo ptaków.

— To było coś podobnego raczej do — nietoperza — powiedział Inżynier. — Miało sierść.

— Możliwe — powiedział Doktor, który nie wyzyskiwał swego monopolu wiedzy biologicznej wśród załogi. I jak gdyby bardziej z uprzejmości, aniżeli dlatego, że go to naprawdę interesowało, dodał:

— Powiadasz, że imitowało odgłos kroków? To ciekawe. No cóż, musi być w tym jakaś celowość przystosowawcza.

— Przydałaby się dłuższa próba terenowa, ale chyba nic nie nawali — powiedział Koordynator, wyłażąc spod łazika, gotowego już do drogi. Inżynier był rozczarowany obojętnością, z jaką przyjęto jego odkrycia, ale powiedział sobie, że głównie zaskoczyły go niezwykłe okoliczności spotkania, aniżeli samo latające stworzonko. Wszyscy obawiali się trochę chwili rozstania. Pozostający stali pod rakietą i patrzyli jak śmieszny pojazd zatacza wokół niej coraz większe koła, prowadzony pewnie przez Koordynatora, który siedział okrakiem na przednim siodełku, osłonięty szybą. Doktor i Chemik umieścili się za nim, i jako towarzysza miał obok siebie tylko miotacz o cienkiej lufie. Naraz podjeżdżając całkiem blisko do rakiety, Koordynator zawołał:

— No, to postaramy się wrócić przed północą, do widzenia! — zwiększył gwałtownie szybkość i po chwili widać już było tylko coraz wyżej i dalej sunącą, odwiewaną łagodnie za zachód, złotawą ścianę pyłu. Łazik był właściwie gołym metalowym szkieletem, tylko od spodu zamkniętym przezroczystym dnem, by kierowca do ostatka widział brane przeszkody. Elektryczne silniki miał w tarczach kół, a dwie rezerwowe opony chwiały się wysoko na przymocowanym z tyłu kanistrze. Jak długo teren był gładki, robili do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Obejrzeli się za siebie, Doktor rychło stracił z oczu ostatni ślad rakiety. Motory śpiewały cicho, kurz bił falami z wyschłego gruntu i rzednąc, odchodził w stepowy krajobraz.

Nikt się przez dłuższy czas nie odzywał, zresztą plastykowa szyba chroniła od wiatru tylko kierowcę. Siedzącym z tyłu mocno dmuchało w twarze, i można było rozmawiać tylko krzycząc. Teren podnosił się, zarazem stawał się bardziej falisty, ostatnie szare kielichy znikły,

89

90

91

92

mijali rozrzucone daleko w przestrzeni pojedyncze kępy pojęczastych zarośli. Gdzieniegdzie stały na pół uschnięte, oddychające drzewa, o zwisających bezwładnie gronach liści, kiedy niekiedy tylko drgających słabym, na przemian bijącym pulsem. W oddali przed nimi pojawiły się rozsypane rzadko, długie bruzdy, ale wirujących tarcz nigdzie nie dostrzegli. Kilka razy opony podskoczyły miękko, przecinając bruzdy, z gruntu wynurzały się ostro kończyste, białe jak wysuszona kość skałki, długie języki osypisk, ciągnęły się od nich w dół ogromnego stoku, po którym jechali, ostry żwir chrobotał niespokojnie pod brzuchatymi kołami, pochyłość rosła. Jechali już dosyć wolno, choć silniki miały rezerwę mocy, ale Koordynator dławił je w tym trudnym terenie.

Wyżej, między płowo-brunatnymi grzbietami błyszczało coś, długa, cienka wstęga, poprzeczna do kierunku jazdy. Koordynator jeszcze bardziej zredukował szybkość. W poprzek stoku, tam, gdzie niewielką stromizną przechodził on w płaskowyż, nad którym bardzo daleko sterczały niewyraźne kształty, biegł, wpasowany gładko w grunt, w obie strony, jak okiem sięgnąć, lustrzany pas. Łazik stanął, dotykając jego brzegu przednimi kołami. Koordynator zeskoczył z siodełka, dotknął zwierciadlanej powierzchni kolby eżektora, uderzył w nią mocniej, stąpnął, podskoczył — ani drgnęła.

— Ile zrobiliśmy już? — spytał go Chemik, kiedy wsiadał.

— Pięćdziesiąt cztery — powiedział i ruszył ostrożnie z miejsca. Łazik zahuśtał się miękko, przejechali przez wstęgę, wyglądającą jak idealnie równy kanał, pełen zamarzłej rtęci, i z rosnącą szybkością mijali podlatujące to z lewej to z prawej strony maszty z kolumnami dygocącego wirowania powietrznego u szczytów. Potem wieloszereg masztów skręcił wielkim łukiem na wschód, a oni jechali dalej prosto, mając strzałkę kompasu ustawioną wciąż dokładnie na literze „S". Płaskowyż przedstawiał obraz ponury — roślinność przegrywała powoli walkę z masami piasku, które niósł gorący, jak z pieca, zachodni wiatr. Z niskich wydm wyrastały ledwie sczerniałe, blado karminowe zarośla, osypywały się z nich skórzaste strąki, czasem coś popielatego zaszuściło w zeschłym gąszczu, raz i drugi smuga wyrwała się niemal spod samych kół łazika, ale nie zdołali dostrzec nawet zarysów tych stworzeń, z takim impetem uciekały w gęstwinę.

Koordynator lawirował, wymijając kępu zbitych, kolczastych krzewów, raz zawrócił nawet, kiedy przecinka, w którą wjechali zamknęła się ślepo piaszczystym spiętrzeniem pośród krzaków, teren był coraz bardziej nieprzejrzysty, zdradzał brak wody — większość roślin była spalona od słońca, wydawała w gorących podmuchach martwy, papierowy szelest. Łazik kręcił pospiesznie jadąc między ścianami nawisłych gałęzi, z popękanych gron sypał się żółtawy pyłek, który pokrył przednią szybę, kombinezony, nawet twarze siedzących. Z głębi krzaków

93

walił znieruchomiały żar, trudno było oddychać. Doktor uniósł się z siedzenia i pochylił do przodu, kiedy hamulce zapiszczały nagle. Stanęli.

Przed sobą mieli odległe zbocza górskie, wystające wysoko nad kotliną, przesłoniętą najbliższym otoczeniem. Koordynator wysiadł i podszedł do ostatniego krzaka, o długich witkach, chwiejących się łagodnie na tle nieba.

— Zjedziemy — powiedział, wracając.

Wóz potoczył się ostrożnie naprzód, naraz zadarł tył, jakby chciał przekoziołkować, kanister szczęknął, uderzając w kraty bagażnika, hamulce zapiszczały ostrzegawczo. Koordynator włączył pompę, koła nabrzmiewały w oczach, nierówności stromizny stały się od razu mniej wyczuwalne. Zobaczyli, że zesuwają się ku wełnistej powłoce chmur, którą od wnętrza przebija dołem walcowata, w górze bulwiasta maczuga brunatnego dymu, który prawie nie rozpraszał się w powietrzu, stojąc wysoko ponad szczytami wzgórz. Tak jak gdyby wulkaniczna erupcja trwała kilkadziesiąt sekund, potem kolumna dymów z ogromną chyżością zaczęła ściekać w dół, kryjąc się między białymi chmurami aż znikła w nich, jak gdyby napowrót wessana do gigantycznej gardzieli, która ją przedtem wyrzuciła.

Cała dolina dzieliła się na dwa piętra, górne pod słonecznym niebem, i dolne, położone daleko, niewidzialne, bo osłonięte warstwą nieprzenikliwych chmur, ku którym łazik biegł kołysząc się i podskakując z przerywanym popiskiwaniem hamulców. Zwalniali coraz bardziej, naraz otoczyły ich nieprzejrzane opary, poczuli duszną wilgoć, zrobiło się prawie ciemno. Koordynator przyhamował raz jeszcze, toczyli się krok za krokiem, rozwidniało się, oczy ich przystosowywały się do mlecznego półświatła. Koordynator zapalił na chwilę reflektory, ale zaraz je zgasił, bo elektryczny blak uwiązł bezsilnie we mgle, która jednak rozwiała się nagle.

Było chłodniej, w powietrzu wisiała wilgoć. Znajdowali się na pochyłości dużo łagodniejszej, tuż pod niskimi chmurami, które sięgały daleko, ku burym, czarniawym i szarym plamom, wyraźniejącym w głębi doliny. Na wprost nich błyszczało coś słabo, jakby, w powietrzu rozlana była warstwa oleistej cieczy. Doznali takiego uczucia, jakby zamgliły im się nagle oczy. Doktor niemal równocześnie z Chemikiem podnieśli ręce, aby przetrzeć powieki — bezskutecznie. Z tego rozchybotanego błyskania wyłonił się ciemny punkt i zmierzał prosto ku nim. Łazik jechał teraz po terenie prawie równym, tak gładkim, jakby sztucznie zniwelowanym i utwardzonym, czarny punkt przed nimi rósł, zobaczyli, że toczy się na okrągłych balonach — to był ich łazik, jego odbicie w jakiejś powierzchni. Kiedy obraz stał się tak wielki, że prawie odróżniali już rysy własnych twarzy, zaczął się chwiać i znikł. Przez miejsce, w którym spodziewali

94

się niewidzialnego lustra, przejechali nie napotykają żadnej przeszkody, niespodzianie musnęła ich tylko fala mdłego ciepła, jakby przejeżdżali poprzez niedostrzegalną, rozgrzaną przegrodę. Zarazem raptownie znikło owo „coś", co zamgliło im przed chwilą oczy i utrudniało patrzenie.

Opony zamlaskały — łazik wjechał w płytkie, błotniste rozlewisko, raczej kałużę, grunt pokrywały łachy mętnej wody, ciągnął od niej słaby, gorzki swąd, jakby rozpuściła w sobie jakieś zgliszcza. Tu i ówdzie wznosiły się nieregularne kopce wyrzuconej, jaśniejszej ziemi, nasiąkłej wodą, ciekły od nich strumyki, zlewające się w kałuże. Dalej, po prawej stronie, ciemniały jakieś złachmanione zwaliska, nie szczątki murów, ale jakby podbrudzonych, sfałdowanych tkanin, jedne zwalone na drugie, splątane, to wznoszące się na wysokość kilku metrów, to przycupłe nad samą ziemię, z nieregularnymi, pustymi, czarnymi otworami. Jechali pośród wykopów. Tego, co kryło się w nich, nie widzieli. Koordynator zatrzymał wóz, podjechał do gliniastego zwału, otarł się oń przednim kołem, wysiadł i wszedł na jego wierzch. Pochylił się do przodu nad prostokątną studnią. Siedzący zobaczywszy, jak zmieniła mu się twarz, bez słów skoczyli za jego śladem, bryła gliny osunęła się pod stopą Doktora, prysnęło błoto. Chemik podtrzymał go i pociągnął za sobą.

W wykopie o pionowych, jakby ubitych maszyną ścianach leżał na wznak, zanurzony twarzą, nagi trup. Tylko sam wierzch grubych piersiowych mięśni, spomiędzy których wychodził dziecięcy tors, wystawał ponad czarne lustro wody.

Trzej ludzie podnieśli głowy, popatrzyli na siebie i zeszli z gliniastego kopca. Krople wody wyciekały z ciastowatych kawałów gliny, kiedy stawiali na nich nogi.

— Czy tylko groby są na tej planecie? — powiedział Chemik. Stali przy łaziku, jakby nie wiedzieli, co począć. Koordynator odwrócił się, pobladły, spojrzał dokoła. Nieregularne szeregi gliniastych kopców ciągnęły się po całej okolicy, po prawej szarzały dalsze teraz fragmenty owych ruin, coś bielało wśród nich wężowatą, niską linią, po drugiej stronie, za plamami rozkopanej gliny, błyszczała szeroka u dołu wyżej zwężająca się równia pochyła, jakby odlana z ziemistego, porowatego metalu. Do jej podstawy dochodziły ząbkowane smugi, daleko między obłokami przepływającej leniwie pary widać było prześwitywanie czegoś pionowego, czarnego, jak gdyby ściany ogromnego kotła, ale było to wrażenie chwiejne i niepewne, bo przez pojedyncze rozziewy mgły, czy pary przecierały się pojedyncze strzępy całości — i czuło się tylko, że stoi tam coś ogromnego, jakby wyciosanego ze skał.

Koordynator siadł już do wozu, kiedy dobiegło ich głębokie, jakby podziemne westchnienie, białawe tumany

95

z lewej strony, zakrywające dotąd wszystko rozpadły się w potężnym dmuchnięciu, które w następnej chwili owionęło ich gorzką, przenikliwą wonią. Ujrzeli wówczas wystrzelające ku chmurom cielsko dziwacznie uformowanego komina. Odwróconym wodospadem bił z niego brunatny słup stumetrowej chyba grubości, roztrącał niespokojnie falujące mleko chmur i znikał. Trwało to może minutę, potem nastała cisza. Znowu rozległo się stłumione stęknięcie, podmuch, szarpiący im włosy, zmienił kierunek, chmury opadły niżej, oddzielały się od nich długie pióropusze i zakrywały czarną wyrzutnię, aż niemal całkowicie skryła się za nimi.

Koordynator dał im znak, wsiedli, łazik, zakołysał się niezgrabnie na grudach wyrzuconej gliny i podjechał do następnego wykopu. Zajrzeli do środka. Był pusty, stała w nim tylko czarna woda. Znowu dał się słyszeć odległy, przygłuszony szum, chmury wydęły się, z wulkanicznego komina bluznął brunatny gejzer, znowu nastąpiło ssanie, coraz mniej uwagi zwracali na te miarowe przemiany i kotłowanie się chmur i dymów wewnątrz kotliny, pochłonięci jazdą i ciągłym przystawaniem. Obłoceni wyżej kolan skakali w ciastowate zwały, pięli się po oślizłych zboczach i zaglądali do wykopów.

Na osiemnaście zbadanych wykopów, martwe ciała znaleźli w siedmiu. I dziwna rzecz — zgroza, wstręt, i przerażenie ich zmniejszały się jakby w miarę odnajdywania następnych. Powracała zdolność obserwowania. Zauważyli, że w wykopach tym mniej było wody, im bardziej zbliżali się, jadąc zygzakiem po błotnistym gruncie, ku ścianie oparów, która na przemian to zasnuwała, to ukazywała czarnego kolosa. Pochyleni nad którąś z rzędu kwadratową studnią, której całe dno zakrywał zgięty w pół kadłub, zauważyli, że różni się nieco od innych. Był bledszy i jakby odmiennie uformowany — wrażenia tego nie potrafili sprawdzić, pojechali dalej, wysiedli, natrafili na dwa wykopy puste, a w czwartym z kolei, zupełnie już suchym, ledwo o kilkaset kroków od szuflowatej równi pochyłej, ujrzeli leżące na boku ciało, którego mały tors ukazywał rozpostarte ręce — jedna z nich była rozszczepiona u samego końca na dwa grube wyrostki.

— Co to jest? — nieswoim głosem wybełkotał Chemik, ściskając ramię Doktora. — Widzisz?

— Widzę.

— To jest jakieś inne — on nie ma palców?

— Może kalectwo — mruknął Koordynator. Nie zabrzmiało to przekonywająco. Zatrzymali się jeszcze raz, u ostatniego wykopu przed równią pochyłą. Wydawał się zupełnie świeży — kruszynki gliny odpadały powoli od ścian, osuwały się, drżąc, jakby ogromna łopata dopiero przed chwilą wysunęła się z czworokątnej jamy.

(Ciąg dalszy w poniedziałek)

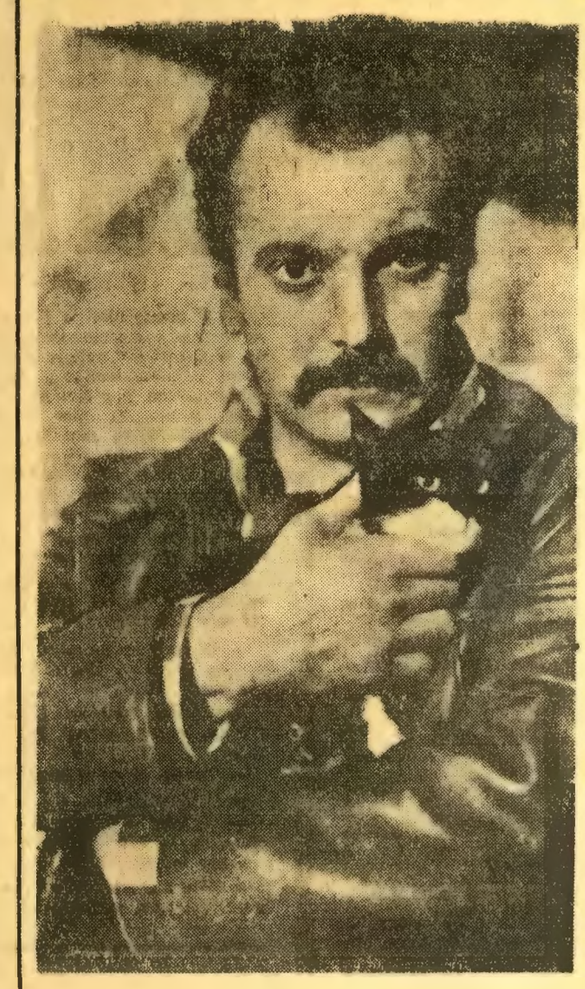

Georges Brasseurs

Taka sobie ballada

SĄ LUDZIE, którzy opowiadając stary znany wszystkim dowcip potrafią go ubrać w takie słowa, że jeśli nawet towarzystwo zna pointę żartu, słucha opowiadania z wielkim zainteresowaniem a na końcu wszyscy śmieją się równie serdecznie jakby usłyszeli najnowszy, dobry dowcip. Ale są również tacy, którzy najlepszy żart potrafią „zarżnąć" nieumiejętnym podaniem (lub jak kto woli, złym opowiadaniem). Tych pierwszych cenimy zawsze w towarzystwie i nazywamy ich z francuska „causerami". Tych drugich nazywa się całkiem po polsku nudziarzami i niechętnie ich słuchamy.

Absolutnie tak samo jest w filmie. Są reżyserzy, którzy stare jak świat historie potrafią tak odświeżyć, że oglądamy je z zachwytem. Ci mistrzowie kamery nie muszą sięgać po gigantyczne dekoracje, po kolor, ani po żadne cineramy. Im wystarczy stary, prostokątny biało-czarny obraz, a jednak każdy ich film będzie zawsze czymś wyjątkowym. Chociażby opowiadał historię znaną od dawna.

Takim właśnie reżyserem jest Rene Clair. Jego filmy są jakieś inne. Mają na sobie wyraźnie wyciśnięte piętno autorstwa.

Na czym to piętno polega, nikt właściwie powiedzieć nie potrafi. Wprawdzie o Rene Clair napisano już kilkanaście tomów, w których próbowano zanalizować dokładnie technikę jego pracy i tematykę jego filmów, ale nikt z wielkich krytyków nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właśnie kilka filmów Rene Clair'a jest dziś zaliczanych do nieśmiertelnych arcydzieł naszej kultury? Dlaczego właśnie filmy Rene Clair'a są nie tylko arcydziełem, ale równocześnie cieszą się olbrzymią popularnością na całym świecie, a to przecież nie zawsze idzie w parze.

I znów w filmie „Porte des Lilas" Rene Clair opowiada nam zwykłą historyjkę. Ot, na przedmieściu mieszka sobie Artysta z którym przyjaźni się Juju pijaczyna i nieboń. W domku Artysty ukrywa się bandyta. W bandycie zakochuje się dziewczyna. Artysta chce się pozbyć bandyty i postanawia mu ułatwić ucieczkę. Bandyta wyciąga pieniądze na ucieczkę od dziewczyny. Juju, który dotychczas zachwycał się bandytą, teraz widząc jego cynizm zabija go.

Naiwny melodramat, prawda?

A jednak w rękach Rene Clair'a ta historyjka nabiera cech klasyki. I znów trudno odpowiedzieć dlaczego tak się dzieje.

Sam film jest frapujący jako całość, niewątpliwie doskonałe są role poszczególnych aktorów.

Juju w wykonaniu Pierre Brasseur jest doskonały, również Georges Brassens jako Artysta, mimo że jest to jego debiut na ekranie jest jakiś niesłychanie przekonywający i prawdziwy. Chwilami zdaje się, że ten człowiek gra po prostu siebie. Trzecia, równie dobra rola to Maria w wykonaniu młodziutkiej aktorki Dany Carrel. Jako ciekawska kobietka, szukająca przygody jest klasą dla siebie. Wreszcie czwarta rola, czołowa, bandyta w wykonaniu Henri Vidal. Tu spotyka nas pewne zaskoczenie. Henri Vidal, ten typowy dotychczas amant ekranów francuskich jest nieco inny w tej roli. Można powiedzieć, że Rene Clair też na nim wycisnął swe piętno.

Ta czwórka czołowych aktorów jest jak to się mówi prowadzona w cuglach przez cały film. Nikt nie wypada ze swej roli, każdy szczegół filmu jest zapięty na przysłowiowy ostatni guzik, a przeżycia psychiczne ukazywane bardzo oszczędnymi środkami przemawiają do nas wyjątkowo silnie.

Tyle już było ballad filmowych o Paryżu. Sam Rene Clair poświęcił temu miastu swe najlepsze dzieła, a jednak temat okazuje się niewyczerpany. Co więcej, gdy się wychodzi z kina człowiek uświadamia sobie nagle, że to już nie paryski dramat, ale jakaś ogólnoludzka powieść obyczajowa. W filmie pozostał naturalnie „klimat" Paryża, jakim go widzi Rene Clair.

Filmy Rene Clair'a cieszą się w Polsce zawsze wielkim powodzeniem. Ten film polecam wam jednak specjalnie. Trzeba go stanowczo zobaczyć.

ADAM

Jedna ze scen filmu

KINA

KATOWICE: **Zorza** — Cichy Don seria II, od 5. 10 — Cichy Don seria III (10.30, 13.00, 15.30, 18.00, 20.30). **Światowid** — Ucieczka skazańca (10.00, 12.30, 15.15, 18.00, 20.45); (w sobotę pierwszy seans o godz. 12.15). **Młoda Gwardia** — Dziewczęta z Immenhofu (15.00, 17.15, 19.30); w niedz. poranek o 10. **Śląsk** — Noce Cabirii (15.45, 18.00, 20.15). **Przyjaźń** — Dobry wojak Szwejk **Kleofas** — Skandal w Benderath od 5. 10. — Miałem siedem córek. **Torkat** — Wyznanie hochsztaplera Feliksa Krulla (18.00 i 20.15). **Dębina** — 5. 10. — Oszukani. **Apollo** — O'Cangaceiro od 5. 10. — Kochanek o północy (15.30, 17.45, 20.00), w niedz. poranek o godz. 11. LIGOTA — **Iskra** — O'Cangaceiro. PIOTROWICE — **Piast** — Szalona Barbara (15.30, 17.45, 20.00, w niedz. poranek o 10.30). LIGOTA — **Bajka** — Kapitan z Kolonii od 5. 10. — Hotel du Nord (15.30, 17.45, 20.00, poranek 11.00). ZAŁĘSKA HALDA: **Tęcza** — Szeregowiec Browkin.

SIEMIANOWICE: **Jedność** — Kurier carski (15.00, 17.15, 19.45, w niedz. poranek 10.30). **Tęcza** — Dziewczyna z domu poprawczego (10.00, 17.00, 19.30, w niedz. 10.00, 14.45, 17.00, 19.30).

SZOPIENICE: **Blask** — Generał śmierci. **Hutnik** — French cancan.

JANOW: **Słońce** — Jutrzenka.

MYSŁOWICE: **Adria** — Srebrny wiatr. **Piast** — Dziewczyna z domu poprawczego. **Świt** — Śmiech w raju.

DĄBRÓWKA WIELKA: **Bałtyk** — Na trasie do Bordeaux.

TYCHY: **Halka** — Szatan zazdrości (15.15, 17.45, 20.15, w niedz. poranek 11.00). **Górnik** — Oddział Turbaczowa (14.30, 17.45, 20.00, w niedz. poranek 11.00). **Budowniczy** — Biedny może umierać.

CHORZÓW: **Panorama** — Cichy Don — seria I (15.15, 17.45, 20.15, w niedz. 10.30, 14.45, 18.00, 20.00). **Polonia** — Cichy Don — seria II (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 10.00). **Colosseum** — Zapaśnik i błazen (10.00, 17.30, 20.00). **Pionier** — Dawne czasy (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 11.00).

CHORZÓW BATORY: **Śląskie** — Człowiek w nieprzemakalnym płaszczu (15.45, 18.00, 20.15).

ŚWIĘTOCHŁOWICE: **Colosseum** — Niezwykły człowiek.

LIPINY: **Odrodzenie** — Noce Cabirii.

BYTOM: **Bałtyk** — Cichy Don — seria I (10.00, 12.30, 15.30, 18.00, 20.30, w sobotę 15.30, 18.00, 20.30). **Gloria** — Wolne miasto (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 11.00). **Śląsk** — Ostatni będą pierwszymi (15.30, 17.45, 20.15, w niedz. 10.30, 15.15, 17.45, 20.15). **Pokój** — Droga życia (10.30, 13.00, 15.15, 17.45, 20.15). **Świt** — Kapelusz pana Anatola (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 10.30). **Rozbark** — Nieznośna dziewczyna. CHRUSZCZÓW: **Jutrzenka** — Dziewczęta z Immenhofu. MIECHOWICE: **Świt** — Śmiech w raju. ŁAGIEWNIKI: **Przyjaźń** — Symfonia Leningradzka.

ZABRZE: **Marzenie** — Stewardessy (10.30, 15.30, 18.00, 20.30, w sobotę 15.30, 18.00, 20.30). **Roma** — Dorośli i dzieci (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 10.30). **Apollo** — Dziadek Hassan na I seansie; Monsieur Ripois na II i III seansie. **Słońce** — Ulica ubogich kochanków (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 10.30). **Zaborze** — od 5. 10. Igraszki z diabłem. **Rokitnica** — **Pokój** — Jutrzenka. **Mikulczyce** — **Atlantic** — Koniec nocy od 5. 10. — Pewnego dnia.

GLIWICE: **Bajka** — Klub kobiet (10.00, 13.30, 15.30, 18.00, 20.30, w sobotę 15.30, 18.00, 20.30) **Grażyna** — Hotel du Nord (17.00, 19.30, w niedz. 11.00, 14.30, 17.00, 19.30). **Jutrzenka** — Pamiętnik mjr Thompsona (15.45, 18.00, 20.15, w niedz. poranek 11.00) **Potęga** — Futro nurkowe (15.00, 17.15, 19.30, w niedz. poranek 10.00). **Klub Garnizonowy** — Wieczorni goście. **Zryw** — Czarna teczka SOSNICA: **Wyzwolenie** — Piękne dni.

RYBNIK: **Śląsk** — Siedmiu złodziei (15.00, 17.30, 20.00). **Górnik** — Cena strachu ser. I (17.15, 19.30).

NOWY BYTOM: **Pokój** — Wiosna przy ul. Zarzecznej. **Lech** — Historia jednego myśliwca. **Piast** — O'Cangaceiro.

RUDA ŚLĄSKA: **Bałtyk** — Księżna Gerolstein. **Piast** — Alena.

TARNOWSKIE GÓRY: **Światowid** — Król Maciuś I.

PIEKARY: **Casino** — Umberto „D". **Dom Kultury** — Pamiętna wiosna.

ŁABĘDY: **Zorza** — W obcym kraju. **Metalowiec** — Imieniny Henrietty, od 5. 10. — Widmo.

CZĘSTOCHOWA: **Bałtyk** — Paragraf i miłość (15.30, 18.00, 20.30, w niedz. poranek 11.00). **Wolność** — Klub kobiet (10.00, 12.30, 15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek 11.00). **Hutnik** — Złota karoca.

SOSNOWIEC: **Zagłębie** — Folies Bergere (15.00, 17.30, 20.00, w niedz. poranek o 10.00). **Górnik** — Neapol miasto milionerów. **Momus** — Urlop w Wenecji. NIWKA: **Lutnia** — Na trasie do Bordeaux. MILOWICE: **Pionier** — Dwa zeznania. CZELADŹ: **Uciecha** — Bosonoga contessa. **Piaski** — Dziecko potrzebuje miłości od 5. 10. — Zemsta.

DĄBROWA GÓRNICZA: **Ars** — Księżniczka Sen. **Bajka** — Wolne miasto (15.00, 17.30, 20.00).

BĘDZIN: **Nowości** — Historia jednego myśliwca. **Lotnik** — Szatan zazdrości. GRODZIEC: **Polonia** — Złoty kask.

ZAWIERCIE: **Stella** — Generał śmierci.

BIELSKO: **Apollo** — Klub kobiet (15.30, 17.45, 20.15, w niedz. 10.30). **Wanda** — Agnieszka wśród gangsterów (14.30, 17.00, 19.30, w niedz. poranek 10.00). **Rialto** — Igraszki z diabłem (14.45, 17.15, 19.45, w niedz. poranek 10.30). MIKUSZOWICE: **Krokus** — Dziadek Hassan, WODZISŁAW: **22 Lipca** — Śmiech w raju.

CIESZYN: **Piast** — Wałkonie.

RADIO

PROGRAM I

SOBOTA — 4 PAŹDZIERNIKA

DZIENNIKI: 5.00, 6.00, 7.00, 8.00, 13.55, 16.00, 19.00, 21.00, 23.00.

6.35 Kalendarz radiowy. 6.45 „Radio-Reklama". 7.15 Muzyka poranna. 7.45 „Kolejowa sztafeta". 9.00 Audycja dla kl. III i IV. 9.20 Muzyka baletowa. 10.00 „Rzeka nie tylko długa" — pogadanka. 10.10 Koncert orkiestry PR w Krakowie. 11.00 Audycja dla kl. VII — „Głupi Franek" — fragm. opow. 11.30 Z cyklu: „Rodzice i dziecko" 11.35 Melodie taneczne. 12.04 Audycja dla wsi. 12.15 Na swojską nutę. 12.35 Pieśni Zygmunta Noskowskiego. 12.50 Kalejdoskop muzyczny. 14.00 Audycja dla kl. III i IV pt. „Najdzielniejszy". 14.20 Muzyka dla wszystkich. 15.00 Wesołe melodie. 15.30 Z życia Związku Radzieckiego. 16.05 Audycja aktualna. 16.15 Sobotnie popołudnie. 17.00 Dla dzieci audycja pt. „Otwarta szkatułka". 17.30 Muzyka i aktualności. 17.55 Wędrówki muzyczne po kraju. 18.40 Encyklopedia humoru i satyry. 19.26 Wiadomości sportowe. 19.30 Podwieczorek przy mikrofonie. 21.05 — Transmisja międzypaństwowego meczu bokserskiego Polska — NRD w Rostocku. 22.15 Koncert orkiestry rozgłośni śląskiej PR. 22.45 „Wesoły kramik" — audycja 23.10 Muzyka taneczna.

PROGRAM II

SOBOTA — 4 PAŹDZIERNIKA

DZIENNIKI: 5.30, 6.30, 7.30, 8.30, 12.04, 15.00, 18.30, 20.00, 22.00, 23.50.

6.50 Gimnastyka. 7.00 Audycja poranna. 8.36 Miniatury symfoniczne. 9.00 Zespoły lokalne. 9.30 „Żelazny krzyż" — opowiadanie. 10.00 Najpiękniejsze walce Emila Waldteufla. 10.35 „Radiostacja młodości". 11.00 Muzyka lekka. 11.20 Wiadomości i przegląd prasy śląskiej. 11.30 Muzyka i aktualności. 15.10 Pieśni i tańce ze zbiorów Oskara Kolberga. 15.30 Słuchowisko dla dzieci pt. „Pięcioro dzieci i coś". 16.00 Koncert reklamowy. 16.10 „Połów pereł". 16.25 Z kawiarni „Kryształowa" grać będzie orkiestra Rajfa. 17.00 Śląski magazyn informacyjny. 17.30 Gra zespół Waldemara Kazaneckiego. 17.50 Drobne utwory muzyki lekkiej. 18.00 Spotkanie z pisarzami radzieckimi. 18.35 Audycja aktualna. 18.45 Koncert orkiestry PR. 19.30 Muzyka taneczna. 19.50 Wiersze Tsang Ko-tsia, współczesnego poety chińskiego. 20.27 Kronika sportowa. 20.40 Muzyka taneczna. 21.00 „Matysiakowie" odc. powieści radiowej. 21.30 Muzyka taneczna. 22.05 Koncert słynnych solistów. 22.35 Audycja literacka. 23.05 Muzyka taneczna.

PROGRAM III
na fali ultrakrótkiej

SOBOTA — 4 PAŹDZIERNIKA

21.03 Serenada na orkiestrę. 21.47 „O Imć panu Józefie Gozdzkim i mądrej Katarzynie Kossakowskiej" — montaż fragmentów Pamiętnika Cieszyńskiego. 22.00 Jazz. 22.28 Kwartety Bartoka — kwartet smyczkowy Nr 4. 23.00 Hymn i koniec audycji.

NIEDZIELA — 5 PAŹDZIERNIKA
PROGRAM I

DZIENNIKI: 6.00, 7.00, 8.00, 9.00, 16.00, 21.00, 23.00.

6.45 Niedzielne rozmaitości rolnicze. 7.10 Sportowcy wiejscy na start. 7.25 Muzyka poranna. 7.55 Kalendarz radiowy. 8.06 Przegląd prasy. 8.15 Muzyka dla wszystkich. 8.50 „Radioproblemy". 9.05 Fala 56. 9.20 Amatorskie zespoły przed mikrofonem. 9.40 Dla dzieci w wieku przedszkolnym. 10.00 Radiowy magazyn wojskowy. 10.30 Przeglądy i poglądy. 11.00 Muzyka rozrywkowa. 11.42 Zagadka naukowa. 12.10 Rytm i piosenka. 12.45 Fragment powieści. 13.15 Gra kapela F. Dzierżanowskiego. 13.45 „Zielony magazyn". 14.00 „Gdzieś w powiecie". 15.00 Z życia Związku Radzieckiego. 15.30 Radziecka muzyka popularna. 16.05 Tygodniowy przegląd wydarzeń międzynarodowych. 16.20 „Madame Sans-Gene" — słuchowisko. 17.50 Muzyka taneczna. 19.00 „Tydzień w kraju i na świecie". 19.30 „W różnych nastrojach". 20.30 „Matysiakowie". 21.05 Gra orkiestra taneczna PR. 21.40 Audycja literacka. 22.10 „Piękne głosy". 22.40 Muzyka taneczna.

PROGRAM II

DZIENNIKI: 6.30, 7.30, 8.30, 17.00, 22.00, 23.50.

7.05 Gromy i beromy. 7.40 Muzyka poranna. 8.36 Utwory charakterystyczne. 8.50 Polska popularna muzyka symfoniczna. 9.20 Teatr „Eterek". 9.50 Wesołe piosenki ludowe. 10.00 Koncert małej orkiestry dętej. 10.30 Bardzo stare nagrania. 11.00 Poezja i muzyka. 11.30 Ciekawostki muzyczne. 11.45 Audycja na temat Millenium. 12.10 Audycja z cyklu: „Słuchacze o radio — radio o sobie". 12.20 Pieśniczki regionalne. 12.55 Muzyka popularno-symfoniczna. 13.15 Audycja historyczna. 13.40 Koncert życzeń. 15.00 Dla dzieci. 15.45 Rozmowa o kulturze. 16.07 Ulubione melodie. 16.20 Felieton z cyklu: „Porozmawiajmy". 16.30 Koncert chopinowski. 17.05 Korespondencja z zagranicy 17.15 TRANSMISJA MIĘDZYPAŃSTWOWEGO MECZU PIŁKARSKIEGO POLSKA — IRLANDIA Z DUBLINA. 18.00 „Proszę mówić, słuchamy". 18.30 Czego chętnie słuchamy. 19.00 „Eliksir Gaucher" — słuchowisko. 19.30 — Transmisja z Filharmonii Narodowej Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień 1958 r." Stan pogody i dziennik wieczorny d. c. koncertu. 21.30 Melodie taneczne. 21.40 Gra poznańska „15-tka radiowa". 22.05 Ogólnopolskie wiadomości sportowe. 22.35 Lokalne wiadomości sportowe. 22.45 Muzyka taneczna. 23.20 W nocnym nastroju. 24.00 Muzyka taneczna.

PROGRAM III

19.30 Transmisja z Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień 1958 r." 21.30 Program dnia. 21.32 „Jegor Bułyczow i inni" — słuchowisko. 22.47 Muzyka jazzowa.

Polskie Radio zastrzega sobie prawo zmian w programie.

KOMUNIKATY

ROZRYWKOWY „FEDRUNEK" W BIELSKU

W niedzielę, 5 bm. o godz. 16 i 19 odbędzie się w Hali Sportowej BBTS w Bielsku-Białej przy ul. Leszczyńskiej, koncert pod nazwą: „Melodyjny fedrunek".

W koncercie weźmie udział m. in. reprezentacyjny chór Związku Zaw. Górników z Siemianowic, popularny zespół „Czelodki Radiowej" oraz znana orkiestra pod kier. Konrada Bryzka. (n)

W NOCY NIE BĘDZIE PRĄDU W CHORZOWIE

W nocy dnia 4. X. na 5. X. br. od godz. 00.00 do godz. 5.00 nastąpi przerwa w dostawie energii elektrycznej dla wszystkich odbiorców Chorzowa I i Chorzowa II.

Bliższych informacji udziela Rejon Energetyczny Chorzów, ul. F. Dzierżyńskiego 113 — telefon 400-17.

FILMY—BAJKI DLA DZIECI W KLUBIE TPPR

Klub Zarządu Wojewódzkiego TPPR w Katowicach pl. Wolności 12a informuje, że klubowe kino „Przyjaźń" od dnia 5 października 1958 r. po przerwie wakacyjnej, rozpocznie znowu wyświetlanie filmów—bajek, połączonych z opowiadaniem bajek dla dzieci.

Seanse te będą odbywały się w każdą niedzielę. W październiku niedzielne seanse tych bajek będą wyświetlane o godz. 11,30, natomiast od listopada br. o godz. 10.00 (seanse filmy) o godz. 11.30 (filmy połączone z opowiadaniami bajek).

RETROSKOPIA

Adaś uśmiechnął się blado ale serdecznie i gestem wychudłej dłoni wskazał mi miejsce w fotelu. Kiedy usadowiłem się, spojrzałem ponownie na przyjaciela i uświadomiłem sobie, że musi cierpieć na jakąś śmiertelną chorobę. Po chwili rozmowy zahaczyłem o mizerny wygląd kolegi i bez osłonek zapytałem o powód. Adaś zarumienił się lekko i niechętnie odparł:

— Nie ma o czym mówić. Nic ważnego. Niegroźny przypadek.

— Jak to? Od ostatniego razu schudłeś chyba o dziesięć kilo! I to ma być nic wielkiego?

— O czternaście kilo, ale to nie z winy choroby. Choroba naprawdę nie jest groźna.

— Ładna historia! Choroba nie groźna, a wyglądasz jak kościotrup!

— To nie z winy choroby.

— A z czyjej?

— Retroskopia. To jest... Jakby ci tu wyjaśnić... To jest, pewnego rodzaju badanie.

— Wiem... Ale co to ma wspólnego z twoim wyglądem?

— Widzisz.

— Widzę. Ale nie rozumiem w jaki sposób...?

— To jest bardzo proste. Otóż do retroskopii trzeba się przygotować. To znaczy jakiś kleik na obiad, na kolację szklanka herbaty, a potem troszkę rycynusu... no i wiesz....

— Nie wiem.

— No, jak by ci powiedzieć... tę... lewatywkę...

— Aha! rozumiem...

— Tak jak trzeba zrobiłem i rano bez śniadania oczywiście, poszedłem tam gdzie trzeba.

— I co dalej? — zapytałem lekko rozczarowany.

— Niestety nie trafiłem na dzień przyjęć i polecono mi przyjść nazajutrz. Nazajutrz historia powtórzyła się. Trzeciego dnia zastałem lekarza, ale niestety... Czwartego dnia kazano mi się zgłosić w dniu następnym.

— No i co dalej?...

— Mam iść jutro... Może załatwią...

— I ty tak przez cały czas.. rycynkę, kleik i lewatywkę?

— Przez cały czas... Ale może masz ochotę na kieliszek wina?

Adaś wyszedł i wrócił z butelką Mistelli. Postawił dwa kieliszki i jeden z nich napełnił winem.

— A ty? Nie pijesz — zapytałem wiedząc, że nigdy nie odmawia lampki wina.

— Zaraz, tylko sobie naleję. Mówiąc to wydobył spod stolika pękatą butelkę i napełnił swój kieliszek. —

— Na zdrowie!

— Na zdrowie! A co to? No w tej butelce?

— Rycynka przyjacielu. No lu!

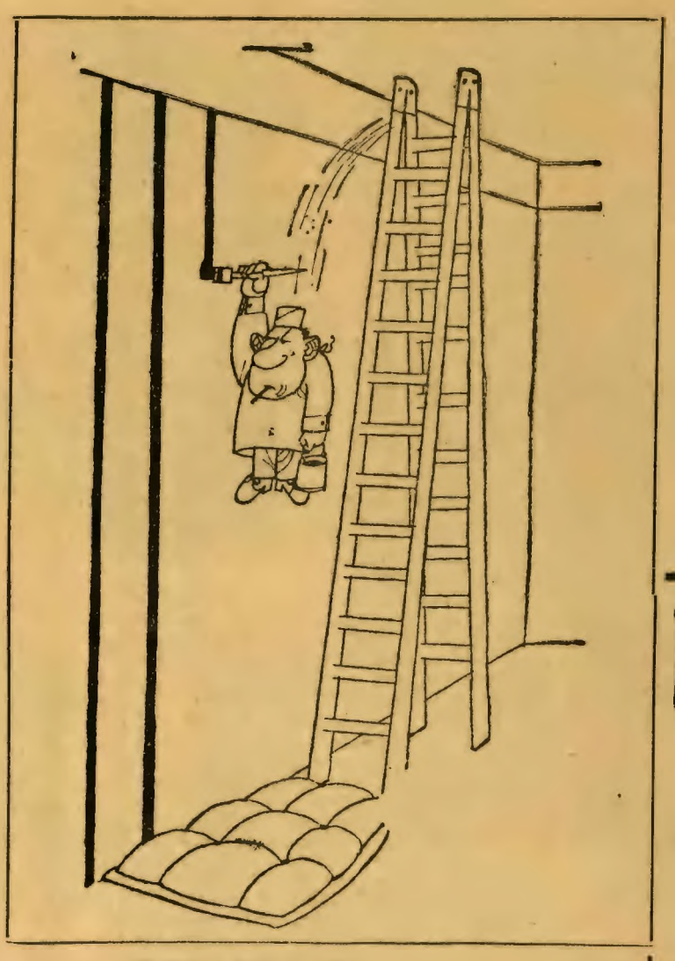

STEFAN TOPOLSKI

CHCĘ, CZEKAĆ

Ja nie narzekam tak jak inni.
Nie denerwuję się ja wcale.
Mnie się nie śpieszy. Siadam. Czekam.
i ani słowem się nie żalę.

Inny to zaraz zrobi „drakę"
i gotów stanąć jest na głowie,
że pan referent pił herbatę
zamiast go przyjąć. Durny człowiek.

Albo podgląda ktoś przez szparkę
do gabinetu... no i szczeka,
że szef obłapia sekretarkę,
miast frontem stanąć do człowieka!

A ja spokojnie, bank, apteka,
urząd, kawiarnia, pogotowie,
w kąciku siadam, grzecznie czekam
na kolej swą i myślę sobie,

że gdy nadejdzie moment w którym,
przejść będę musiał w stan spoczynku,
to jakiś głos usłyszę z góry,
— śmierć zaraz wróci! Czekaj synku!

I znów się nie sprzeciwię słowem.
Zaczekam. Będę spał i jadł.
I zanim przyjdzie na mnie kolej,
to może minie z dwieście lat.

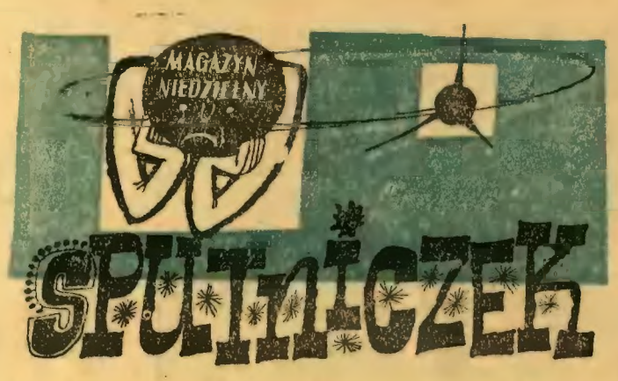

LEONARD DRZEWIECKI

Typek

Ledwo do niego powiedzieć słowo,
zaraz typ oczy w rozmówcę wlepi,
i odpowiada na to, czy owo,
że on ma źródła, że on wie lepiej.

Bo z Peru pisał do niego stryjek,
bo mu mówiła ciocia w Warszawie,
że to niejasne, że coś się kryje
i co tu mówić, piszczy coś w trawie.

Że to jest nie tak, ale inaczej,
bo mu sam szwagier donosi z Kłaju,
że tam miał medal dostać pan Raszek,
na mur, na beton, a mu nie dają.

Z tego drobnego na pozór faktu
widać wyraźnie idące zmiany,
więc trzeba czekać i trzeba taktu,
by się nie mieszać, by się nie splamić.

Powiedz, że przemysł nasyci rynek,
że ceny spadną, że żona schudła,
to on wie naprzód, on zna przyczynę,
bo on ma takie poufne źródła.

Jeśli ów typek, o źródłach wspomni,
gdy go przypadkiem spotkacie w mieście,
to mu poradźcie kochani moi,
by się w tych źródłach utopił wreszcie!

WYWIAD Z PRZEDSTAWICIELEM KDWZPINWO

Reporter:
Pozwoli pan, że zacznę od zapytania: co dokładnie oznacza ów tajemniczy skrót?

Przedstawiciel:
K. D. W. Z. P. I. N. W. O.?

Reporter:
Tak.

Przedstawiciel:
„Komitet Do Walki z Prostytucją i Nierządem w Ogóle". Ze względów dydaktycznych w codziennej praktyce używamy jednak wyłącznie skrótu, tak że wyjaśniając go niniejszym, zrobiłem wyjątek dla pana.

Reporter:
Dziękuję.

Przedstawiciel:
Proszę

Reporter:
Z tego względu, że zakres waszej działalności został zasadniczo wyjaśniony, pozwoli pan, że zadam tylko jedno pytanie: jakich środków używacie w walce?

Przedstawiciel:
To pytanie jest rzeczywiście najistotniejsze. Tym bardziej, że formy walki są naprawdę szokujące przemyśleniem, dostosowanym do meritum problemu. W zasadzie główny nacisk położyliśmy, że tak powiem, na zabieg profilaktyczny, który rezygnuje z ambicji doraźnego skutku, ale zapewnia za to niewątpliwe rezultaty za parę lat. Mianowicie, na centralnej naradzie, wspólnie z architektami i urbanistami doszliśmy do wniosku, że główna przyczyna rozwoju plagi prostytucji tkwi w niewłaściwym systemie oświetlenia naszych miast i osiedli, który daje niestety przewagę stojącym lampom ulicznym nad zwisającymi. A słup stojącej lampy ulicznej działa deprymująco na każdego przechodnia w ogóle, a co dopiero na jednostkę moralnie nieustabilizowaną. Pan to chyba rozumie...

Reporter:
Chyba tak...

Przedstawiciel:
...Z tego też względu staramy się przeforsować ustawę, która ureguluje ten palący wstydem problem dość zasadniczo; nowe miasta i osiedla mają być oświetlone wyłącznie lampami wiszącymi, zaś dotychczasowe lampy uliczne słupowe winny być wymienione lub usunięte w jak najszybszym czasie. W ten, jak że prosty i nawet, można powiedzieć, naiwny na pierwszy rzut oka sposób damy istotnie trwałe podstawy pod całkowitą likwidację owej tak żenującej plagi.

Reporter:
Należy więc przypuszczać, że za parę lat prostytucja przestanie być zagadnieniem?

Przedstawiciel:
Sądzę, że tak...

Reporter:
(podziękował za rozmowę i odszedł uradowany).

Edmund Wojnarowski

TRYBUNA ROBOTNICZA
MAGAZYN NIEDZIELNY

PRZEBLYSKI

Szczyt roztargnienia: oddać salwę honorową w pierś honorowego gościa.

❀

Jeżeli już mamy kochać dobro społeczne, to kochajmy platonicznie.

❀

Nawet największa kokietka nie lubi przeglądać się w lustrze sumienia.

❀

Sepleniący może napisać rozprawkę o dykcji, nie powinien jej jednak sam wygłaszać.

❀

Kamienia z serca nie zrzucaj na głowę podwładnego.

❀

Życie jest jak cebula, wyciska z oczu łzy, ale smakuje.

❀

Każda śmietanka traci smak po pewnym czasie — nawet towarzyska.

❀

Na zakręcie historii nie ma tablic ostrzegawczych.

❀

Nie zanieczyszczaj drogi, którą idziesz, kto wie czy nie przyjdzie ci nią wracać.

TELEWIZJA

TELEWIZJA KATOWICE

SOBOTA — 4 PAŹDZIERNIKA

15.30 Sprawozdanie sportowe z międzypaństwowych zawodów żużlowych Anglia — Polska — transmisja ze stadionu w Rybniku. 17.00 „Śpiąca królewna" — widowisko telewizyjne wg bajki Grimma. 18.15 Program tygodnia. 18.30 Aktualności 19.00 Uwaga! Promieniotwórczość! — reportaż telewizyjny. 19.30 Dziennik telewizyjny. 20.00 „Wałkonie" — film fabularny produkcji włoskiej — dozwolony od lat 16. 21.55 „Dziurki w nosie" — program satyryczny w opracowaniu muzycznym Juliusza Borzyma.

NIEDZIELA — 5 PAŹDZIERNIKA

16.00 Program dla dzieci starszych — „Sport młodych". 16.25 — Młodzieżowy Klub Poetycki — „Wiersze jesienne". 17.00 „Teleturniej" — Wieczór trzech panów. 17.45 Dziennik telewizyjny. 19.25 — Festiwal muzyki współczesnej. Koncert symfoniczny w wykonaniu Leningradzkiej Orkiestry Symfonicznej pod dyr. Mrawińskiego. Transmisja z Filharmonii Narodowej w Warszawie. 21.30 „Sezam" — Magazyn rozmaitości.

Telewizja Katowice zastrzega sobie prawo zmian w programie.

TEATR

SOBOTA — 4 PAŹDZIERNIKA

KATOWICE — **Śląski, duża scena** — g. 19 Zemsta; **mała scena** — g. 19.30 — Policja. MYSŁOWICE: (Dom Kultury) Zagłębia — g. 19 Pozwólcie mi zmartwychwstać. CZĘSTOCHOWA — **Mickiewicza** — **scena wielka** — g. 18.30 — Tramwaj zwany pożądaniem; **scena kameralna** — g. 19.15 — Wspólne mieszkanie. BIELSKO — **Polski** — g. 19 — Hedda Gabler (premiera). CIESZYN, **Polski** — g. 19 — Strach

OPERA

NOWY BYTOM — g. 19 — Straszny dwór.

TEATR SATYRY

KATOWICE — g. 19.30 Kabaret „Kundel" — Co państwu dolega?

WYSTAWY

KATOWICE — **pl. Wolności, Izba Rzemieślnicza** — Wystawa rzemiosła. SOSNOWIEC, **ul. 22 Lipca 16** — Fotografika jugosłowiańska. **Dom Kultury „Górnik"** — „Rada Delegatów Robotniczych w dokumencie archiwalnym". GLIWICE, **Rynek 6** — Malarstwo Fryderyka Haydera.

Wystawy zwiedzać można w godzinach od 11—19.

PLANETARIUM

CHORZÓW WPKiW — g. 16 — Ciała niebieskie i sposoby ich rozpoznawania; g. 18 — Starożytne legendy o gwiazdozbiorach.

NIEDZIELA — 5 PAŹDZIERNIKA

KATOWICE, **Śląski — duża scena** — g. 19 — Zemsta; **mała scena** — g. 19.30 — Policja. DĄBROWA GÓRNICZA (Dom Kultury) Zagłębia — g. 19 — Pozwólcie mi zmartwychwstać. CZĘSTOCHOWA — **Mickiewicza, scena wielka** — g. 18.30 — Tramwaj zwany pożądaniem; **scena kameralna** — g. 19.15 Wspólne mieszkanie. BIELSKO — **Polski** — g 19 — Hedda Gabler. CIESZYN, **Polski** — g. 19 — Strach

OPERA

NOWY BYTOM — g. 19 — Straszny dwór.

TEATR SATYRY

KATOWICE — g. 19.30 — Kabaret „Kundel" — Co państwu dolega?

WYSTAWY

KATOWICE, **pl. Wolności, Izba Rzemieślnicza** — Wystawa rzemiosła. SOSNOWIEC, **ul. 22 Lipca 16** — Fotografika jugosłowiańska. **Dom Kultury „Górnik"** — „Rada Delegatów Robotniczych w dokumencie archiwalnym". GLIWICE, **Rynek 6** — Malarstwo Fryderyka Haydera.

Wystawy zwiedzać można od g. 11 do 19.

PLANETARIUM

CHORZÓW — WPKiW — g. 12 — Niebo jesienne; g 14 — Niebo w różnych krajach; g. 16 — Ciała niebieskie i sposoby ich rozpoznawania; g. 18 — Starożytne legendy o gwiazdozbiorach.

TRYBUNA ROBOTNICZA — Organ KW Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — Wydawca: Śląskie Wydawnictwo Prasowe RSW „PRASA" Katowice. — Redaguje Kolegium — Katowice, ul. Mickiewicza 9. Numery centrali telefonicznej: 372-44-49, 372-4, 372-38, 340-41, 358-23. Sekretariat naczelnego redaktora 361-03. Działy: partyjny 304-16, 375-54, ekonomiczny 322-95, 350-24 30-28 (informacja ekonomiczna), zagraniczny 330-48, sportowy 322-94, 338-74, listów 323-73, Magazyn Niedzielny 370-23, miejski 301-87, red. nocna 343-51 (po godz. 19). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę pocztową w cenie 14,50 zł miesięcznie, 43,50 zł kwartalnie — przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. C-19